

WILLIAM FAULKNER

# CZERWONE LIŚCIE

OPOWIADANIA

## CI WIELCY LUDZIE

Minęli ciemny kształt gręplarni, zobaczyli oświetloną sylwetkę domu i drugi samochód, dwuosobówkę doktora, właśnie zatrzymujący się przed bramą, i usłyszeli ujadanie psa.

– Jesteśmy na miejscu – powiedział stary zastępca szefa lokalnej policji.

– Co to za drugi wóz? – spytał młody mężczyzna, obcy przybysz w tych stronach, inspektor stanowej komisji poborowej.

– Doktora Schofielda – wyjaśnił szef. – Lee McCallum prosił, żebym go też przysłał, kiedy zadzwoniłem i powiedziałem mu, że się wybieramy.

– Co?! – wykrzyknął inspektor. – Ostrzeżliście go? Zatelefonowaliście, żeby mu powiedzieć, że przychodzimy z nakazem aresztowania tych dwóch dezerterów? W ten sposób wykonujecie polecenia rządu Stanów Zjednoczonych?!

Szef był chudym wysokim mężczyzną, żuł zawsze tytoń, urodził się tutaj i tutaj mieszkał całe życie.

– Myślałem, że wam chodzi tylko o to, żeby aresztować chłopaków McCalluma i zabrać ich do miasta – powiedział.

– Właśnie, o to mi chodziło – odparł inspektor. – Ale teraz, po waszym ostrzeżeniu, zdążyli uciec. Prawdopodobnie naraziliście rząd na koszty poszukiwania ich przez wojsko. Czy zapomnieliście o waszej kaucji? Chcecie ją stracić?

– Nic nie zapomniałem – powiedział szef. – I od Jefferson próbuję panu wytłumaczyć jedną rzecz. Ale widzę, że chyba dopiero McCallumowie wbiją to panu do głowy. Niech pan stanie za tamtym wozem. Najpierw dowiemy się, jak chory jest ten, kto jest tak chory, że aż trzeba było doktora.

Inspektor podjechał tuż za samochód doktora, wyłączył światła i motor.

– Co za ludzie! – powiedział, a pomyślał: „Ten żujący tytoń stary nudziarz jest jednym z nich. Ambicja i autorytet stanowiska powinny go były przecież zmienić.” Nic więcej nie powiedział głośno, zabrał kluczyk ze stacyjki i wysiadł z samochodu, potem go zamknął, podniósłszy najpierw szyby, a przez cały czas rozmyślał: „Co za ludzie! Składają fałszywe zeznania, ukrywają, że są właścicielami ziemi i nieruchomości po to, żeby otrzymać pomoc z Funduszu Bezrobocia albo pracę, z której nie mają zamiaru się wywiązać; upierają się przy swoim konstytucyjnym prawie niepracowania, ryzykują w każdej pracy stosując głupie i naiwne podstępny, żeby tylko uzyskać za darmo materac, który mają zamiar natychmiast sprzedać, chętnie rzuciliby nawet samą pracę, jeśli bez

niej mogli darmo jeść i mieć kąt do spania, bodaj najgorszą norę, a gdy są farmerami, składają fałszywe oświadczenia, żeby dostać pożyczki nasienne, i pieniądze z pożyczek obracają na zupełnie inne cele, a potem udają święte oburzenie i są bardzo zdumieni, gdy się ich na tym przyłapie. Ale kiedy znoszący to wszystko cierpliwie zagrożony rząd prosi w zamian o jedną rzecz, jedną jedyną rzecz – zarejestrowanie się do poboru – to odmawiają.”

Stary szef prowadził, inspektor dreptał za nim, minęli wielką bramę z surowego drzewa w parkanie z żerdzi i poszli ceglana ścieżką między dwoma rzędami starych, zmarniałych cedrów prowadzącą do pękatej rudery, piętrowego domu również z surowego drzewa. W otwartym hallu paliła się dyskretnie lampa; inspektor zauważył, że parter jest z bali, pierwsze piętro z desek. Za werandą z solidnych nie malowanych bali, która biegła wzdłuż całego frontu, widział hall pełen łagodnego światła, a spod werandy wyczołgiwał się pies, którego warczenie już przedtem słyszeli, wyczołgał się, rozkraczył na ścieżce, ujadał, póki nie uciszył go głos mężczyzny z werandy. Inspektor wszedł za szefem po schodkach, mężczyzna stał w drzwiach, czekał na przybyszów; miał lat może czterdzieści pięć, nie był wysoki, ale muskularny, opalona nieruchoma twarz, duże ręce jeźdźca; spojrzął na inspektora raz, przelotnie, twardo, a potem już więcej nie obrócił ku niemu oczu mówiąc wyłącznie do szefa.

– Dobry dzień, panie Gombault. Proszę wejść do domu.

– Dobry dzień, Rafe – odparł szef. – Kto chory?

– Buddy – wyjaśnił zapytany. – Pośliznął się i wpakował nogę pod parowy młot. Dziś po południu.

– Poważna rzecz? – spytał szef.

– Myślę, że poważna. Dlatego posłaliśmy po doktora zamiast wozić Buddy’ego do miasta. Nie mogliśmy zatamować krwi.

– Bardzo wam współczuję – powiedział szef. – A to jest pan Pearson. – Inspektor po raz drugi poczuł na sobie wzrok mężczyzny, brązowe oczy w opalonej twarzy patrzyły bez specjalnego zainteresowania, w miarę grzecznie, ręka, którą mężczyzna podał, uścisnęła jego rękę w miarę mocno, ale chłodno, bez entuzjazmu. Szef mówił dalej:

– Z Jackson, z komisji poborowej. – A potem dodał zupełnie tym samym tonem: – Ma nakaz aresztowania chłopaków. – Żadnej zmiany w głosie.

Inspektor nigdzie nie dostrzegł żadnej zmiany. Bezwładna dłoń puściła tylko jego dłoń, nieruchawa twarz obróciła się w kierunku szefa.

– Co ty gadasz, wypowiedzieliśmy wojnę?

– Nie – odparł szef.

– Nie o to idzie, panie McCallum – wtrącił inspektor. – Nie chodzi nawet o to, żeby

od razu szli do wojska. Mieli tylko stanąć przed komisją i zarejestrować się. Ich numer na pewno by nie wyszedł. Małe prawdopodobieństwo, żeby akurat wylosowali pobór. Ale oni odmówili... nie stawili się do rejestracji.

– Już rozumiem – odparł tamten. Nie patrzył na inspektora. Inspektor nie był nawet pewien, czy patrzył teraz na szefa, chociaż do niego mówił. – Chcesz się widzieć z Buddy’em? Jest u niego doktor.

– Chwileczkę – przerwał inspektor. – Bardzo panu współczuję z powodu wypadku, jakiemu uległ pański brat, ale ja...

Szef obrócił się na chwilę w jego kierunku, nastroszył splątane, bujne siwe brwi, w jego oczach był szacunek, była niecierpliwość, w tym ułamkowym krótkim spojrzeniu inspektor dostrzegł podobną czujność i badawczość, jaką widział przedtem w szybkim spojrzeniu tamtego mężczyzny. Inspektor był człowiekiem o nieprzeciętnej inteligencji i dlatego już zaczynał zdawać sobie sprawę, że zetknął się z czymś zupełnie innym, niż się spodziewał, ale pracując od tak wielu lat w departamencie opieki społecznej rządu stanowego, mając przeważnie do czynienia z ludźmi ze wsi, uwierzył w końcu i dalej wierzył, że ich dobrze poznał. Spojrzał więc na starego szefa myśląc: „Tak. Tacy sami ludzie. I ten, mimo zajmowanego stanowiska, mimo władzy, jaką posiada, mimo odpowiedzialności, jaka go obarcza, nie zmienił się, pozostał taki sam.” I zaraz pomyślał: „Och ci ludzie, ci ludzie!”

– Mam zamiar wrócić nocnym pociągiem do Jackson – odezwał się. – Zamówiłem już przedział. Proszę doręczyć nakaz aresztowania i zabierzemy...

– Dobra – przerwał szef. – Na to jest dużo czasu. Chodźmy do Buddy’ego.

Poszedł więc za nimi, cóż miał robić, wściekły jak osa, usiłując w czasie krótkiego przejścia przez hall odzyskać panowanie nad sobą, aby z kolei zapanować nad sytuacją, ponieważ zdawał sobie sprawę, że jeśli aresztowanie chłopców ma się odbyć sprawnie, to może liczyć tylko na własną sprawność, a nie na sprawność szefa policji. Miał rację. Stary urzędnik prowincjonalny nie tylko był w głębi duszy jednym z nich, jednym z tych ludzi, ale najwidoczniej od razu został skorumpowany tą niesamowitą atmosferą, stał się zupełnie nieodpowiedzialny przez sam fakt wejścia do tego domu. Inspektor poszedł za nim przez hall do pokoju sypialnego, a gdy się tam rozejrzał, w oczach pojawiło mu się zdumienie i coś bardzo bliskiego przerażenia. Sypialnia była wielka, podłogę miała z heblowanych desek, poza łóżkiem stało w niej tylko parę krzesel i jeszcze jakaś sztuka staroświeckiego umeblowania. Jednakże w oczach agenta wydawała się pełna wielkich ludzi stworzonych na podobieństwo mężczyzny, którego spotkali w wejściu; było ich tak wielu, że ściany zdawały się pękać. A przecież w rzeczywistości nie byli oni olbrzymi, nie byli wysocy, nie tryskali żywotnością, nie rozsadzała ich żadna aktywność, stali w milczeniu, patrząc spokojnie na przybysza, który zatrzymał się w drzwiach, ich twarze nosiły nieomal identyczne pieczęcie pokrewieństwa: chudy drobny starzec lat około

siedemdziesięciu, nieco wyższy od pozostałych; drugi mężczyzna również siwy, ale poza tym kropla w kroplę podobny do tego, który ich powitał u progu domu; trzeci mniej więcej w tym samym wieku co mężczyzna, który ich powitał, ale o rysach nieco delikatniejszych i z tragicznym, ponurym akcentem w takich samych ciemnych oczach; dwaj identyczni młodzieńcy o niebieskich oczach i wreszcie niebieskooki mężczyzna w łóżku, nad którym pochyla się doktor, podobny do pierwszego lepszego lekarza z miasta, porządnie ubrany, w dobrze skrojonym garniturze. I wszyscy obrócili się i spojrzeli w milczeniu na inspektora i szefa policji, kiedy ci dwaj weszli do sypialni. A za plecami doktora inspektor widział rozciętą nogawkę spodni mężczyzny leżącego w łóżku i obnażoną zmiążdżoną nogę; odwrócił się czując napływ mdłości, stanął w cieniu futryny, czuł wycelowane w siebie czujne spojrzenia; szef podszedł do leżącego mężczyzny palącego fajkę, na stoliku obok łóżka stało staromodne naczynie z koszykową pokrywką, takie samo, w jakim dziadek inspektora przechowywał whisky.

– Źle się sprawujesz, Buddy – powiedział szef.

– Moja cholerna wina – odpowiedział mężczyzna na łóżku. – Stuart mówił, żebym ostrożnie chodził koło młota.

– Święta prawda – zgodził się drugi stary mężczyzna.

Pozostali milczeli. Patrzyli nadal spokojnym, ale czujnym wzrokiem na inspektora, patrzyli, póki szef nie odwrócił się i nie powiedział:

– To jest pan Pearson z Jackson. Ma nakaz aresztowania chłopaków.

Wtedy mężczyzna na łóżku spytał:

– Za co?

– To sprawa poboru do wojska, Buddy – wyjaśnił szef.

– Nie ma przecież wojny – zauważył mężczyzna na łóżku.

– Nie – przyznał szef. – Ale jest takie nowe prawo. Nie zgłosili się do rejestracji.

– I co z nimi zrobicie?

– Jest nakaz aresztowania, Buddy. Urzędowy nakaz.

– To znaczy, że pójda do więzienia?

– Jest nakaz aresztowania, Buddy – powtórzył szef.

Inspektor zobaczył, że mężczyzna na łóżku przygląda mu się pykając miarowo z fajki.

– Nalej mi troszkę whisky, Jackson – powiedział.

– Nie – zaprotestował doktor. – Wypiłeś już za dużo.

– Nalej mi whisky, Jackson – powtórzył mężczyzna. Pykał miarowo z fajki patrząc na inspektora. – Pan przyjechał z polecenia rządu? – spytał.

– Tak – odparł inspektor. – Powinni byli stanąć do rejestracji. Nic więcej nikt od nich nie żądał. Ale nie stanęli... – Zamilkł, siedem par oczu nie odwracało wzroku od jego twarzy, mężczyzna na łóżku pykał miarowo.

– Po co się rejestrować? Jak będzie potrzeba, zawsze nas tu można znaleźć – powiedział mężczyzna na łóżku. – Nie mieliśmy i nie mamy zamiaru stąd uciekać. – Odwrócił głowę. Obaj młodzieńcy stali w nogach łóżka. – Anse, Lucius! – rzucił.

Odpowiedzi obu zabrzmiały w uszach inspektora jak jedna odpowiedź:

– Tak, ojcze!

– Ten pan przyjechał aż z Jackson, żeby wam powiedzieć, że rząd na was czeka. Najbliżej do wojska jest chyba w Memphis. Idźcie na górę i spakujcie się.

Inspektor ruszył w głąb pokoju i krzyknął:

– Czekaście!

Ale uprzedził go Jackson, najstarszy z obecnych, i jeszcze przed nim powiedział: „Czekajcie!” Nikt już nie patrzył na inspektora. Wszyscy patrzyli na doktora.

– Co z nogą? – spytał Jackson.

– Spójrzcie! – odparł doktor. – Prawie ją sobie odciął. Nie możemy tego odkładać. I nie możemy go stąd ruszać. Potrzebna mi do pomocy moja pielęgniarka i muszę mieć eter; mam nadzieję, że nie wypił za dużo whisky, żeby wytrzymać narkozę. Jeden z was może pojechać do miasta moim samochodem. Zatelefonuję...

– Eter? – zdziwił się mężczyzna na łóżku. – Po co eter? Powiedziałeś, że noga już jest prawie odcięta. Sam bym wziął jeden z rzeźnickich noży Jacksona i skończył robotę, gdybym dostał jeszcze parę łyków whisky. No jazda, kończ, jak jest.

– Nie wytrzymasz nowego wstrząsu – powiedział doktor. – Teraz tak mówisz, bo popiłeś sobie.

– Bzdury! – usłyszał odpowiedź. – Kiedyś we Francji lecieliśmy przez zboże i zobaczyłem, jak z tego zboża wysuwa się lufa karabinu maszynowego, chciałem ją przeskoczyć, tak jak przeskakuje się żerdź, którą ci ktoś podstawia pod nogi, ale mi się nie udało. Rąbnąłem na ziemię, byłem załatwiony, pod wieczór zaczęło jak cholera boleć i wtedy coś znowu rąbnęło mnie w tył hełmu, jak cholera rąbnęło, i już nie wiedziałem, co się ze mną dzieje, póki się nie obudziłem. Leżała nas cała gromada wzdłuż rowu przed polowym punktem opatrunkowym, ale zanim do mnie przyszedł doktor, upłynęło sporo czasu i wtedy to już bolało jak cholera. Ale teraz tutaj, jak sobie łyknąłem, prawie wcale nie boli, nie warto nawet o tym mówić. No jazda, kończ, co zaczęte. Jeśli potrzebujesz

pomocy, pomogą ci Stuart i Rafe. Nalej mi troszeczkę z gąsiorka, Jackson.

Tym razem doktor podniósł pod światło naczynie i sprawdził poziom whisky.

– Wypiłeś z pół litra – oświadczył. – Jeśli od czwartej po południu wypijeś pół litra, to wątpię, czy mógłbym ci dać narkozę. Myślisz, że wytrzymasz krajanie na żywca?

– Nie gadaj, bierz się do roboty. Zgniotłem ją sobie, trzeba się jej pozbyć.

Doktor rozejrzał się po obecnych, po twarzach podobnych do siebie, po oczach obserwujących każdy jego ruch.

– Gdybym go mógł zabrać do miasta, do szpitala, i gdybym miał pielęgniarkę, poczekałbym, aż minie szok i whisky wyparuje mu ze łba. No, ale nie mogę go ruszyć i nie mogę też zatamować upływu krwi. Gdybym nawet miał eter czy coś do miejscowego znieczulenia...

– Bzdura – powiedział mężczyzna na łóżku. – Najlepsze miejscowe i inne znieczulenie, jakie stworzył Pan Bóg, jest w tym gąsiorku. I nie gap się na nich, to nie noga Jacksona ani Stuarta, ani Rafe'a, ani Lee. To moja noga. Ja ją sobie zgniotłem i ja mam prawo decydować, w jaki sposób się jej pozbyć.

Ale doktor dalej patrzył na Jacksona.

– No, panie McCallum? Pan jest najstarszy.

Odpowiedział mu jednak Stuart.

– Dobra – odpowiedział. – Do roboty! Czego panu potrzeba? Gorącej wody pewno?

– Tak. I paru czystych prześcieradeł. Macie jaki duży stół? Dałoby się go tu wnieść?

– Jest stół kuchenny – powiedział mężczyzna, który powitał inspektora na werandzie. – Ja i chłopcy...

– Poczekaj chwileczkę – przerwał mężczyzna na łóżku. – Chłopcy nie będą mieli czasu pomagać. – Spojrzał na nich po raz drugi. – Anse, Lucius!

I znowu inspektorowi wydało się, że odpowiedział jeden głos:

– Tak, ojczy?

– Temu dżentelmanowi pod ścianą, zdaje się, jest pilno. Zastanowiłem się i myślę, że chyba nie potrzebujecie się pakować. Lepiej od razu ruszajcie w drogę. Za parę dni dostaniecie mundury. Weźcie ciężarówkę, bo kto was odwiezie do Memphis? Ciężarówkę zostawicie w Gayoso Feed Company, niech tam sobie stoi, póki ktoś po nią nie pojedzie. Chciałbym, żebyście wstąpili do starego szóstego pułku piechoty, gdzie ja służyłem. Ale chyba tak dobrze nie będzie, więc pójdziecie, gdzie was poślą. Ale to właściwie nieważne, i tak będziecie w wojsku. Rząd miał pociechę ze mnie w swoim czasie, będzie miał pociechę i z was. Zapiszcie się tam, gdzie was będą potrzebować, słuchajcie sierżantów i

oficerów, póki nie nauczycie się być żołnierzami. Słuchajcie ich, ale nie zapomnijcie, kim jesteście, nie dajcie sobie dmuchać w kaszę. Możecie już iść.

– Chwileczkę! – wykrzyknął inspektor i znowu zrobił krok wychodząc na środek sypialni. – Nie zgadzam się! Bardzo mi przykro z powodu nieszczęśliwego wypadku, jakiemu uległ pan McCallum. Bardzo mi przykro z powodu całej sprawy, ale niestety nie zależy to obecnie ode mnie i nie zależy od waszej decyzji. Nim obaj wasi synowie wstąpią do wojska, muszę, niestety, spełnić przykry obowiązek. Powinni byli pomyśleć o konsekwencjach, kiedy nie stanęli do rejestracji. Jeśli pan Gombault nie wręczy oficjalnie nakazu aresztowania, ja go wręczę i zabiorę obu do Jefferson, gdzie staną przed trybunałem wojskowym i wytłumaczą się ze swego postępowania. Muszę też ostrzec pana Gombaulta, że zostanie mu udzielona nagana za lekceważenie poleceń urzędowych!

Stary szef policji obrócił się do inspektora, bujne brwi znowu nastroszył i zaczął mówić jak do dziecka:

– Czy jeszcze pan nie widzi, że ani pan, ani ja nigdzie chwilowo nie pójdziemy?

– Co?! – wykrzyknął inspektor oburzony. Rozejrzał się po skupionych twarzach, znowu w niego wycelowanych badawczo, a jednocześnie spokojnie. – Pan mi grozi?

– Drogi panie, niech pan lepiej siedzi cicho, bo i tak nikt nie zwraca uwagi na pana krzyki – odparł szef. – Siedź pan chwilę cicho i wszystko będzie w porządku, niedługo wrócimy do miasta.

Więc inspektor zamilkł i stał cicho, a poważne, skupione w wysiłku myślenia twarze uwolniły go chwilowo od swoich nieznośnych kamiennych spojrzeń. Obaj młodzieńcy podeszli do łóżka, kolejno pochyłili się całując ojca w usta, potem jak zdyscyplinowany oddział odwrócili się jednocześnie i opuścili pokój nie patrząc już ani razu na rannego.

Inspektor siedział w oświetlonym lampą hallu, koło szefa policji, drzwi do sypialni były zamknięte, inspektor słyszał zapuszczanie motoru ciężarówki, cofanie, podprowadzanie i odjazd, odgłos silnika słabł, zamierał pozostawiając za sobą nieruchomą gorącą noc – gorącą noc gorącej jesieni Missisipi, która przetrwała już do połowy listopada – noc pełną ostatnich nawoływań cykad, jakby i one zdawały sobie sprawę, że zbliża się nieuchronnie okres zimna i panowanie śmierci.

– Pamiętam starego Anse – odezwał się gawędziarskim tonem szef, tonem, jakim dorosły zwraca się do obcego dziecka. – Umarł kilkanaście lat temu. Miał coś szesnaście lat, kiedy wybuchła wojna, poszedł aż do Wirginii, żeby tam wstąpić do wojska. Mógł się zapisać i walczyć tutaj, ale jego mama była z Carterów, więc on nikogo nie chciał słuchać i poszedł bić się do Virginii, chociaż nigdy w życiu nie był w Virginii. Polazł w długą drogę do kraju, którego na oczy nie widział, i wstąpił do armii Stonewalla Jacksona, przetrwał w niej całą kampanię w Valley i przyszedł pod Chancellorsville, gdzie chłopaki z

Karoliny przez omyłkę postrzelały Jacksona, i bił się do tego poranka w sześćdziesiątym piątym, kiedy to kawaleria Sheridana zablokowała drogę z Appomattox do doliny, którą mogliby się wycofać.

A potem wrócił do Missisipi niosąc w plecaku prawie to samo, z czym opuszczał swoje strony, ożenił się i wybudował parter tego domu, właśnie z tych bali, no i urodziły się dzieci – Jackson, Stuart, Rafael, Lee i Buddy. Buddy urodził się dosyć późno, na tyle późno, żeby akurat podpaść pod tę wojnę we Francji. Słyszałeś, co o tym mówił? Przywiózł z wojny dwa medale, jeden amerykański, drugi francuski, ale do dziś dnia żaden człowiek w okolicy nie wie, za co Buddy je dostał, co takiego zrobił. Chyba nawet nie zdradził tego Jacksonowi czy Stuartowi. Ledwo wrócił do domu z tymi cyferkami na mundurze, z odznaką za rany i tymi dwoma medalami, a już znalazł sobie dziewczynę, z miejsca znalazł, no a w rok później urodzili się ci dwaj chłopcy, bliźniaki, wypisz wymaluj takie same jak stary Anse McCallum. Gdyby stary Anse miał siedemdziesiąt pięć lat mniej, to można by pomyśleć, że to trojaczki. Pamiętam ja ich, dwa szczeniaki zupełnie jednakowe i dzikie jak mustangi, dzień i noc latały ze sforą psów, póki nie podrosły na tyle, żeby pomagać Buddy’emu, Stuartowi i Lee na farmie i w gręplarni, a Rafe’owi przy koniach i mułach, bo Rafe hodował konie i muły, tresował je i ujeżdżał jak trzeba, a potem prowadził do Memphis na sprzedaż. Jeszcze parę lat temu pomagali mu, a potem poszli na rok do szkoły rolniczej, żeby się czegoś więcej nauczyć o hodowli. Było to akurat wtedy, jak Buddy i reszta przestali uprawiać bawełnę. Pamiętam to dobrze. Właśnie wtedy rząd zaczął się wtrącać do tego, co farmer ma robić na swojej farmie i ile siał bawełny. Nazywali to stabilizowaniem cen i upłynnianiem nadwyżek, dawali niby to rady i pomoc, czy człowiek chciał, czy nie chciał. Widział pan dzisiaj wszystkich chłopaków, co? Ciekawi ludzie, można powiedzieć. Pierwszego roku, kiedy zjawił się tu instruktor z okręgu i próbował farmerom wyłożyć ten nowy system, przyszedł też do Buddy’ego i próbował go namówić, żeby mniej siał, a rząd zapłaci mu różnicę, więc właściwie będzie mu lepiej, niż jakby robił to co dawniej bez żadnej pomocy i rady. „Bardzo jesteśmy wdzięczni rządowi – powiada Buddy. – Ale nie potrzebujemy pomocy. Będziemy zbierali bawełnę tak jak przedtem. Jeśli nam się zbiory nie udadzą, strata będzie nasza, następnym razem może się uda.” I nie chcieli podpisać żadnych papierów i zobowiązań, i niczego takiego. Dalej obsiewali pola i zbierali bawełnę, jak ich nauczył stary Anse, bo jakoś nie mogli uwierzyć, że rząd ma zamiar pomagać człowiekowi, czy on chce, czy nie chce, i że będzie pakował nos w to, ile człowiek wyciągnie ze swojej własnej ziemi własną ciężką pracą, zbierając bawełnę i przerabiając ją we własnej gręplarni, jak to robili na miejscu zawsze, a potem zawozili do miasta na sprzedaż, aż do Jefferson. Więc zawieźli i tym razem, ale okazało się, że nic tam nie sprzedadzą po pierwsze dlatego, że za dużo jej mają, a po drugie, nie dostali takiej specjalnej karty, która pozwalała sprzedawać. Więc wrócili z bawełną. Nie mieli jej nawet gdzie złożyć, część schowali w stajni Rafe’a, a resztę zwalili w hallu, w którym teraz siedzimy, i przez całą zimę trzeba było chodzić między belami, co im przypominało, żeby następnym razem podpisać tę kartę do sprzedaży. Tylko że jak

przyszedł następny rok, to też żadnych papierów nie wzięli. Po prostu nie mogli dalej uwierzyć, że koniecznie trzeba, dalej wierzyli w wolność i w prawo człowieka do robienia tego, co potrafi robić własnymi rękami i na co ma ochotę, i jego rzecz, czy mu się uda, czy nie, i wierzyli, że tę wolność gwarantuje im rząd, przeciwko któremu stary Anse raz walczył i przegrał, ale przyznawał uczciwie, że przegrał honorowo, a potem pogodził się z tym; zresztą ten sam rząd dał potem Buddy'emu medal i zaopiekował się nim, kiedy Buddy był daleko od domu, na obcej ziemi, i w dodatku ranny. Przyszły następne zbiory. I też nic nie mogli sprzedać, bo nie mieli karty. Zbudowali specjalną szopę, żeby schować bawełnę, i pamiętam, jak tej drugiej zimy Buddy przyjechał któregoś dnia do miasta poradzić się adwokata Gavina Stevensa. Nie chciał wytaczać żadnej sprawy rządowi, nie, ani zmuszać kogoś, żeby kupił bawełnę bez karty, chciał się tylko dowiedzieć, dlaczego tak jest. „Miałem nawet zamiar zgodzić się i podpisać papiery – powiada adwokatowi Buddy – jeśli takie jest nowe prawo. Ale pogadaliśmy sobie z braćmi i Jackson – to nie farmer, ale znał ojca dłużej od nas wszystkich – i Jackson powiedział, że ojciec by się nie zgodził. Ojciec musiał mieć swoją rację, więc nie podpisałem.” Potem nie siali już bawełny, mieli jej pełno na dłuższy czas – ze dwadzieścia dwie bele. I wtedy właśnie zajęli się hodowlą koni, zamienili bawełniane pola starego Anse na pastwisko, bo stary Anse na pewno by tak zrobił, gdyby nie mógł robić z bawełną, co mu się podoba, tylko musiał słuchać rządu: ile sadzić, za ile sprzedawać, gdzie sprzedawać, kiedy, i potem jeszcze brać od rządu pieniądze za to, czego wcale nie robił. Ale kiedy już nawet nie mieli bawełny, dalej przyjeżdżał co roku ten młody instruktor z okręgu, żeby wymierzyć pastwisko, bo chciał im za to zapłacić, chociaż nie mieli wcale bawełny. I nigdy się nie martwił tym, że jej nie ma. „Prosimy bardzo, oglądaj sobie, braciszku, co chcesz – powiada Buddy. – Tylko nic nie rysuj na swojej mapie.” „Ale przecież możecie dostać za to pieniądze – powiada ten młody. – Rząd wam chce zapłacić za to, co robicie.” „Mamy zamiar i tak na tym zarobić – powiada Buddy. – A jeśli stracimy, spróbujemy czegoś innego. Ale nie potrzebujemy pieniędzy od rządu. Dajcie tym, co chcą brać. My sobie damy radę.” To chyba wszystko. Dwadzieścia dwie bele bawełny jeszcze leżą w gręplarni, teraz jest tam dużo miejsca, bo gręplarni się nie używa. Chłopcy podrośli i pojechali na rok do rolniczej szkoły, żeby się nauczyć wszystkiego o hodowli, a potem wrócili do rodziny – do tych dziwnych ludzi, którzy żyją sobie daleko od świata pełnego pięknych neonów palących się w dzień i w nocy, daleko od pieniędzy leżących na ziemi i czekających, żeby je powyzbierali sprytni ludzie, czekających na każdego, kto sobie chce trochę uszczknąć, daleko od ludzi, z których każdy ma błyszczący samochód i ledwo go dostał, już wymienia na nowy, nawet zanim jeszcze za tamten zapłacił, daleko od tych różnych wymysłów Funduszu Bezrobocia i innych, które są tylko po to, żeby nie pracować. No i wtedy przyszedł ten papierek o rejestracji do wojska, i ci dziwni ludzie nawet tego nie chcieli podpisać, i teraz przyjechał pan ze swoim urzędowym nakazem aresztowania, i jesteśmy tutaj, i niedługo będziemy mogli wracać. Człowiek kręci się po świecie, co?

– Tak – odparł inspektor. – Możemy już wracać?

– Jeszcze nie – odparł szef tym samym łagodnym tonem. – Jeszcze nie. Ale już niedługo. Oczywiście spóźni się pan na swój pociąg. Ale jutro jest następny.

Wstał. Inspektor nic nie słyszał. Przyglądał się szefowi idącemu przez hall – szef otworzył drzwi do sypialni, wszedł, zamknął drzwi za sobą. Inspektor siedział spokojnie, wsłuchując się w odgłosy nocy, wpatrzony w drzwi sypialni, póki się nie otworzyły i nie wrócił szef niosąc coś w zakrwawionym prześcieradle, niosąc to bardzo ostrożnie.

– Niech pan chwilę potrzyma.

– Krew – stwierdził inspektor.

– Ano krew – zgodził się szef. – Potem się upierze.

Więc inspektor wziął pakunek i trzymał go, i widział, jak szef idzie przez hall, znika za drzwiami i po chwili wraca z łopata i zapaloną latarnią.

– Chodźmy – powiedział. – To szybko pójdzie.

Inspektor wyszedł za nim z domu, przeszli przez podwórze, delikatnie niósł zakrwawiony ciężki pakunek, w którym – jak mu się zdawało – wyczuwał jeszcze ciepło życia; szef długimi susami sadził przed nim, latarnia kołysała się koło nogi, cień jego kroków, jak strasznie długie nożyce, zamykające się i otwierające, padał na ziemię, wesoły, gadatliwy głos nie milkł na chwilę:

– Tak, drogi panie, człowiek kręci się po tym świecie i widzi kupę rzeczy. Widzi kupę ludzi w kupie sytuacji. Cały kłopot w tym, że źle dopasowujemy sytuacje do ludzi. Na ten przykład niech pan weźmie siebie – powiedział bez żalu, rozmownie. – Ma pan nawet dobre intencje. Tylko że się pan strasznie przejmuje wszystkimi przepisami i rozkazami. Tyle jest tych przepisów, regulaminów i innych rozkazów, że już nic poza nimi nie widzimy. A jeśli widzimy coś, czego nie umiemy dopasować do tych regulaminów, gubimy się. Jesteśmy jak stwory, które doktorzy hodują w laboratorium; żyją one sobie bez kości i wnętrzości, można je tak utrzymywać bez końca przy życiu, a one nawet nie będą wiedziały, że nie mają kości i wnętrzości. Myśmy się też pozbyli swojego kręgosłupa, może uznaliśmy, że kręgosłup już jest niepotrzebny człowiekowi, że to niemodne mieć kręgosłup. Ale zostało miejsce, w którym ten kręgosłup był, i sam kręgosłup też gdzieś żyje i któregoś dnia wsadzimy go na stare miejsce. Nie wiem kiedy, nie wiem, jaki wstrząs będzie nam potrzebny, żeby to zrozumieć, ale któregoś dnia zrozumiemy, że to konieczne.

Wchodzili teraz na stok za podwórkiem, na stoku rosły cedry, parę nędznych drzewek na tle pokrytego gwiazdami nieba. Szef zatrzymał się między drzewami, odstawił latarnię, inspektor idący za nim z pakunkiem zobaczył mały kwadrat gruntu oddzielony niskim murkiem z cegieł. A potem zobaczył dwa groby czy też kamienie nagrobkowe, dwie proste granitowe płyty ustawione pionowo w ziemi.

– Stary Anse i pani Anse – wyjaśnił szef. – Żona Buddy’ego chciała być pochowana ze swoimi. Pewno byłoby jej smutno z McCallumami. No, gdzie by tu... – Chwilę postął, brodę ujął w dłoń. Inspektor pomyślał, że przypomina mu w tej chwili starą kobietę, która zastanawia się, gdzie posadzić byliny. – Mieli być poukładani od lewego do prawego zaczynając od Jacksona. Ale potem, jak się urodzili chłopcy, Jackson i Stuart mieli przyjść tutaj, koło mamy i taty, i Buddy by się wtedy przesunął dalej, żeby im zrobić miejsce. To będzie chyba tutaj. – Podsunął bliżej latarnię i ujął łopatę. Zobaczył, że inspektor dalej trzyma pakunek. – Może pan położyć. Najpierw trzeba wykopać dół.

– Potrymam – odparł inspektor.

– Nie ma sensu – powiedział szef. – A co to Buddy’emu przeszkadza?

Więc inspektor położył pakunek na murku, szef kopał szybko i umiejętnie, dalej gwarząc wesołym, nie milkącym głosem:

– Tak, drogi panie, zapominamy o ludziach. Życie zrobiło się tanie, a przecież wcale nie jest tanie. Życie to bardzo wartościowa rzecz. Nie myślę o tym życiu, jakie się prowadzi pomiędzy jedną zapomogą dla bezrobotnych a drugą, ale o dumnym życiu, o dyscyplinie i szacunku, które same są warte zachowania i świadczą o wartości człowieka. Tego się musimy znowu nauczyć. Może sprawi nam to wiele kłopotu, żeby się z powrotem nauczyć. Może stary Anse nauczył się tego idąc do Wirginii, bo stamtąd pochodzili jego tata i mama, może nauczył się tego przegrywając wojnę i wracając do domu. Tak czy inaczej, nauczył się, i tak się dobrze tego nauczył, że umiał przekazać swoim chłopcom. Zauważył pan, że wystarczyło, żeby Buddy im powiedział, że czas iść, bo rząd po nich przysłał? I jak się z nim pożegnali? Dorośli ludzie całujący jeden drugiego w usta. I nie wstydzili się. Właśnie to chciałem panu wytłumaczyć. No dobra... wystarczy.

Ruszał się sprężysto, lekko. Nim inspektor zrobił krok, szef wziął pakunek, włożył go do wąskiego dołu i zaraz zaczął zasypywać ziemią równie szybko, jak przedtem kopał. Potem wygładził powierzchnię łopatą, wyprostował się, podniósł latarnię – wysoki, chudy mężczyzna, oddychał równo, bez wysiłku.

– No, chyba możemy wracać do miasta – powiedział.

*Przełożył*

*Jan Zakrzewski*

## DWAJ ŻOŁNIERZE

Ja i Pete chodziliśmy do starego pana Killegrewa słuchać radia. Zawsze po kolacji, jak się zrobiło ciemno, chodziliśmy pod jego dom i stawaliśmy pod oknem, i wszystko świetnie słyszeliśmy, bo żona starego pana Killegrewa była głucha, więc on nastawiał radio, jak tylko można najgłośniej, i myśmy za oknem słyszeli wszystko tak samo wyraźnie jak żona starego pana Killegrewa, chociaż staliśmy na zewnątrz, a okno było zamknięte.

Jednego wieczoru spytałem Pete'a:

– Że co? Że Japończycy? Co to jest ta perłowa zatoka – Pearl Harbor? – Ale Pete kazał mi być cicho.

Więc byłem cicho i zrobiło się trochę zimno, i słuchaliśmy tego gościa w radio, tylko że nie rozumiałem nic z tego, co on mówił. Na końcu powiedział, że chwilowo już więcej nic nie powie, więc wróciliśmy do domu i Pete wytłumaczył mi, o co to chodzi. Mógł mi wytłumaczyć, bo miał już prawie dwadzieścia lat i w czerwcu skończył szkołę, i bardzo dużo wiedział. I że ci Japończycy rzucili bomby na Pearl Harbor, i że ten Pearl Harbor jest za wodą.

– Za wodą? – spytałem. – Za tym państwowym rezerwuarem przy Oxford?

– Nie – odpowiedział Pete. – Za dużą wodą. Za Pacyfikiem.

Wróciliśmy do domu. Mama i tato już spali, więc ja i Pete położyliśmy się też spać, ale ja dalej nie mogłem zrozumieć, gdzie jest ten Pearl Harbor, i Pete jeszcze raz mi wytłumaczył, że na Pacyfiku.

– Coś ty taki głupi? – spytał. – Niedługo skończysz dziewięć lat, od września chodzisz do szkoły i nic cię nie nauczyli?

– Jeszcze nie doszliśmy do tego Pacyfiku powiedziałem.

Myśmy wtedy siali wykę, która powinna być posiana do piętnastego listopada, ale od kiedyśmy znali tatę, zawsze się ze wszystkim spóźniał. Wieczorem trzeba też było naznosić drzewa do pieca i potem chodziliśmy do starego pana Killegrewa pod okno, i staliśmy pod oknem, chociaż robiło się zimno, i słuchaliśmy tego radia. Jak skończyliśmy słuchać, wracaliśmy do domu i kładliśmy się spać, i Pete mi tłumaczył wszystko, cośmy przedtem usłyszeli. To znaczy, nie wszystko mi tłumaczył, ale tylko troszkę i więcej nie chciał, zupełnie jakby mu było nieprzyjemnie o tym mówić, i kazał mi się zamknąć, bo chce spać, ale tak naprawdę to nigdy wcale nie chciał spać.

Leżał tylko, mniej się ruszał, niż gdyby naprawdę spał, i coś takiego straszego od

niego szło, zupełnie jakby był na mnie okropnie zły, choć ja wiedziałem, że nawet o mnie nie myśli, albo jakby się czymś bardzo martwił, tylko że przecież Pete zupełnie nie miał czym się martwić. Nigdy nie był spóźniony jak tato, ani nawet na chwilę nie był. Kiedy Pete skończył szkołę, tato dał mu te dziesięć akrów; i ja, i Pete coś kombinowaliśmy, że tata był cholernie zadowolony, że się pozbył chociaż dziesięciu akrów i ma mniej kłopotu. Pete te dziesięć akrów całe obsiał wyką i już miał spokój na zimę, więc się chyba nie mógł martwić, ale tak się zachowywał, jakby mógł. I ciągle chodziliśmy wieczorami pod okno domu starego pana Killegrewa, i słuchaliśmy jego radia. A oni teraz byli na Filipinach, ale generał MacArthur ich trzymał. Potem wracaliśmy do domu i kładliśmy się spać, i Pete nic mi już nie tłumaczył, i w ogóle nic nie mówił. Leżał, jakby się czaił albo co, a jak go dotknąłem, to mięśnie miał takie twarde jak żelazo i pewno je takie miał, aż nie zasnąłem.

Wreszcie jednego dnia – a to było pierwszy raz, że w ogóle nic do mnie nie mówił, tylko się rzucał, że za wolno rąbię gałęzie, które on obcina na podpałkę – powiedział:

- Muszę iść.
- Gdzie musisz iść? – spytałem.
- Na wojnę – odparł Pete.
- Nie skończymy rąbać drzewa?
- Do diabła z drzewem.
- No, to chodźmy – zgodziłem się.

Ale Pete nawet nie usłyszał, co powiedziałem. Położył się i leżał, i wszystkie mięśnie miał takie twarde jak żelazo.

– Muszę iść – powiedział jeszcze raz. – Nie mogę pozwolić, żeby Japońce tak traktowały nasze Stany Zjednoczone.

– Masz rację – zgodziłem się. – Rąbanie drzewa może poczekać. Musimy iść na wojnę.

Tym razem mnie usłyszał. Leżał dalej i wcale się nie ruszał, ale leżał już jakoś inaczej.

- Ty? – zdziwił się. – Ty chcesz iść na wojnę?
- Będiesz bił dużych, a ja będę bił mniejszych – wyjaśniłem.

Wtedy Pete mi wytłumaczył, że nie mogę z nim iść. Z początku myślałem, że to tylko on nie chce, tak jak nie chciał, żebym za nim chodził, kiedy zalecał się do tej dziewczyny od Tullów, ale potem mi wytłumaczył, że wojsko mnie nie weźmie, bo jestem za mały, więc zrozumiałem, że mówi poważnie i że ja nigdzie nie pójde. Jakoś nie wierzyłem do tej chwili, że on naprawdę wybierze się do tej wojny, ale w końcu uwierzyłem i już wiedziałem, że mi nie pozwoli iść razem z sobą.

– No, ale mógłbym ci rąbać drzewo i nosić wodę – zaproponowałem. – Przecież będziesz musiał mieć wodę i drzewo.

Przynajmniej mnie teraz słuchał. Już nie był taki twardy jak żelazo.

Obrócił się i położył mi rękę na piersi, bo teraz ja leżałem sztywno na plecach.

– Nie, musisz tutaj zostać i pomagać tacie – powiedział.

– Co mu pomagać? – spytałem. – Po co mu pomagać? Tato już się z niczym więcej nie może spóźnić, jakby nawet chciał. On sobie da świetnie radę z taką kusą farmą, kiedy my będziemy bić Japońców. Muszę z tobą iść. Jeśli ty musisz, to i ja też.

– Nie pójdziesz – powiedział Pete. – I więcej o tym nie mów.

Wiedziałem, że go nie przekonam, ale chciałem się jeszcze upewnić.

– Więc nie mogę iść? – spytałem.

– Nie – odparł Pete. – Nie możesz iść. Po pierwsze, jesteś za mały, a po drugie...

– Dobra, dobra – przerwałem. – Możesz się zamknąć i daj mi spać.

I on się zamknął, i leżał cicho, i położył się z powrotem na plecach. Ja też leżałem, tak jakbym spał. Ale Pete naprawdę zasnął i ja już teraz wiedziałem, że przez cały czas się martwił, bo koniecznie chciał iść do tej wojny i dlatego nie mógł spać, a teraz, jak już postanowił, że pójdzie, to się przestał martwić.

Następnego dnia rano Pete powiedział o tym mamie i tacie. Mama zaraz zrobiła przedstawienie i zaczęła płakać.

– O, nie! Ja nie chcę, żeby Pete szedł na wojnę. Sama bym wolała za niego iść, gdybym mogła. Ja nie chcę bronić kraju. Niech go sobie wszyscy Japończycy zabiorą i zeżrą, byle tylko zostawili w spokoju mój dom i moją rodzinę. Mój brat Marsh podczas ostatniej wojny tak samo musiał iść do wojska, jak jeszcze nie miał dziewiętnastu lat, i moja matka też wcale nie mogła zrozumieć dlaczego. Ale powiedziała Marshowi, że jak musi iść, to musi. Więc jak Pete musi, to niech idzie, ale ja zupełnie nie rozumiem po co.

Ale tato popisał się na sto z kawałkiem. Co za facet!

– Na wojnę? – spytał. – A po co ty masz iść na wojnę? Jeszcze ci daleko do poboru, a Japończycy nie wylądowali w Ameryce, prezydent siedzi przecież w stolicy, Waszyngtonie, i widzi, co się dzieje, i jak zobaczy, że się coś święci, to nas zawiadomi, a poza tym w tamtej wojnie, którą przed chwilą wspomniała twoja matka, ja już byłem w wojsku i wysłano mnie do Teksasu, gdzie siedziałem przez osiem miesięcy, aż się przestali bić. Uważam, że ten fakt łącznie z prawdziwą raną, jaką oberwał twój wuj Marsh na polu chwały, gdzie się naparzali we Francji, wystarczy za wkład mojej rodziny w obronę kraju. Co najmniej do mojej śmierci. Poza tym, kto mi pomoże na farmie, jak ty wyjedziesz? Wtedy z niczym nie zdążę na czas.

– Od kiedy pamiętam, tato nigdy jeszcze nie zdążył z niczym na czas – odpowiedział Pete. – Zresztą to nieważne, idę na wojnę, bo muszę iść.

– Jeśli Pete musi, to musi – wtrąciłem. – Te Japończyki...

– Siedź cicho – powiedziała mama ciągle płacząc. – Nikt do ciebie nie mówi. Przynieś mi lepiej trochę drzewa. Akurat dla ciebie zajęcie.

Więc poszedłem i przyniosłem drzewa. Przez cały następny dzień też znosiliśmy drzewo, to znaczy, ja znosiłem, Pete i tato, bo Pete powiedział, że trzeba zrobić duży zapas, bo tato jest za leniwy, żeby to samemu zrobić, a mama przez cały czas szykowała Pete'a do drogi. Uprała i poreperowała mu ubranie i całe jedno pudełko do butów napchała jedzeniem. Jak tego wieczoru ja i Pete leżeliśmy na łóżku, to słyszeliśmy, że mama pakuje walizkę Pete'a i płacze. Tak zaczęła płakać, że aż Pete wstał w nocnej koszuli i poszedł do mamy, i mama przestała wtedy płakać, i słyszałem, jak rozmawiają, i wreszcie mama powiedziała:

– Chcesz koniecznie iść, więc idź, ja też chcę, żebyś poszedł, ale wcale nie rozumiem, dlaczego musisz iść, i nigdy nie zrozumieć, i nie spodziewaj się, żebym zrozumiała, dlaczego właśnie ty musisz iść.

Potem Pete wrócił do łóżka i leżał na plecach taki twardy jak żelazo, i w końcu powiedział, chociaż nie do mnie, tylko tak do nikogo:

– Muszę iść. Nic nie poradzę, muszę iść.

– No więc musisz – zgodziłem się. – Te Japończyki!...

Pete obrócił się nagle, właściwie to aż się rzucił, i spojrzał na mnie, chociaż było ciemno.

– Przynajmniej ty jeden masz dobrze w głowie – odezwał się. – Bałem się, że z tobą będę miał więcej kłopotu niż z nimi wszystkimi razem.

– Szkoda, że ja nie mogę iść i pomóc ci – powiedziałem – ale może ta wojna potrwa jeszcze parę lat dłużej i ja wtedy doskoczę, i któregoś dnia przyjadę do ciebie.

– Mam nadzieję, że nie – odparł Pete. – Ludzie nie idą na wojnę dla zabawy. Dla zabawy nie zostawia się zapłakanej mamy.

– Więc dlaczego idziesz na tę wojnę? – spytałem.

– Muszę iść – powtórzył. – Muszę. Teraz śpij i o nic mnie już nie pytaj. Wstaję bardzo rano, żeby złapać pierwszy autobus.

– Dobra – zgodziłem się. – Słyszałem, że Memphis to strasznie duże miasto. Skąd będziesz wiedział, gdzie jest to wojsko?

– Spytam kogoś, to mi powie, gdzie przyjmują – wytłumaczył Pete. – Śpij już.

– Tak spytasz? „Gdzie tu przyjmują do wojska?”

– Właśnie tak – odpowiedział Pete i odwrócił się. – No już zamknij się i śpij.

Więc poszliśmy spać. Następnego dnia zjedliśmy śniadanie jeszcze przy lampie, bo autobus miał przejeżdżać o szóstej. Mama nie płakała, tylko była bardzo smutna i zajęta stawianiem na stół różnych rzeczy do jedzenia, a potem skończyła pakować walizkę Pete’a. Pete nie chciał brać żadnej walizki, ale mama powiedziała, że porządni ludzie nawet na wojnę nie jeżdżą bez zapasowej bielizny i czegoś na ząb, więc włożyła do walizki pudełko od butów pełne pieczonej kury i ciasta i na wierzch Biblię i akurat przyszedł czas, żeby iść na autobus. Jeszcze wtedy nie wiedzieliśmy, że mama nie idzie z nami do przystanku. Przyniosła kurtkę i czapkę Pete’a i ciągle jeszcze nie płakała, tylko tak stała z rękami zarzuconymi na plecy Pete’a i nie chciała się ruszyć. Trzymała go mocno i wyglądała tak samo jakoś dziwnie, jak wtedy wyglądał Pete, kiedy się do mnie obrócił w nocy i powiedział, że ja jeden mam dobrze w głowie.

– Niechby sobie wzięli i zżarli cały kraj, byle tylko moich zostawili w spokoju – powiedziała mama i potem jeszcze powiedziała: – I nie zapominaj nigdy, ktoś ty. Nie jesteś bogaty i nikt dalej niż zakręt przy skale, na której zabił się ten Francuz, o tobie nie słyszał. Ale twoja krew jest równie dobra jak każda inna i żebyś o tym nie zapomniał.

Potem go pocałowała i wyszliśmy z domu, i tato niósł walizkę Pete’a, chociaż Pete wcale o to nie prosił i nawet nie chciał jej brać. Jeszcze nie zaczęło świtać, kiedy stanęliśmy na drodze koło skrzynki do listów. Chwilę czekaliśmy, a potem zobaczyłem reflektory autobusu, który jechał w naszym kierunku. Przyglądałem się temu autobusowi, aż podjechał bliżej i Pete podniósł rękę, i autobus stanął. Wtedy to już się zrobiło trochę jasno, właściwie robiło się przez cały czas, tylko ja nie zauważyłem, bo się przyglądałem reflektorom. Ja i Pete myśleliśmy przez cały czas, że tato znowu powie coś głupiego jak wtedy, kiedy mówił o wujku Marshu, który został ranny na tym polu chwały, albo że jego wyjazd do Teksasu w tysiąc dziewięćset osiemnastym roku wystarczy, żeby ocalić Stany Zjednoczone w tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim, ale nic takiego nie powiedział, tylko zupełnie co innego.

– Do widzenia, synu – powiedział. – Zawsze pamiętaj o tym, co ci mama mówiła, i zawsze do niej pisz, jak będziesz miał czas.

Potem potrząsnął ręką Pete’a i potem Pete spojrzał na mnie, patrzył tak z minutę i położył mi rękę na głowie, i pokręcił nią tak mocno, że mi prawie odkręcił, i potem wskoczył do autobusu, a ten gość, co siedział za kierownicą, zamknął za nim drzwi, autobus zaczął głośniej mruścić, aż ruszył z burczeniem i zgrzytaniem i coraz głośniej jęcząc. Jak już jechał zupełnie szybko, to zobaczyłem, że te dwa małe czerwone światełka z tyłu wcale nie robią się mniejsze, tylko tak razem biegną coraz bliżej siebie, jakby się miały za chwilę spotkać i zrobić jednym światłem, ale się nie zrobiły, bo przedtem autobus zniknął i przyszła mi straszna ochota płakać, chociaż miałem prawie dziewięć lat, no i w

ogóle.

Ja i tato wróciliśmy sami do domu, potem przez cały dzień pracowaliśmy w tym lesie, skąd się brało drzewo na opał, więc nie miałem okazji o niczym pomyśleć. Dopiero jak już było dobrze po południu, wziąłem procę i chętnie bym wziął wszystkie ptasie jajka też. Miałem ich dużo, bo Pete zostawił mi całą swoją kolekcję. Pete zawsze lubił oglądać swoją kolekcję, tak samo jak ja swoją, chociaż on miał dwadzieścia lat, a ja dziewięć. Ale pudełko było za duże, żeby je daleko nieść i martwić się nim, więc tylko wziąłem jedno kukułcze jajo, bo było dużo warte, zawiązałem je dobrze, włożyłem do pudełka od zapalek i schowałem je razem z procą pod belkę w stodole. Potem zjedliśmy kolację i poszliśmy spać. Pomyślałem sobie, że jak bym musiał zostać w tym pokoju i w tym łóżku jeszcze jedną noc, to bym chyba nie wytrzymał. Potem usłyszałem chrapanie taty, ale nie słyszałem nic z łóżka mamy, więc nie wiem, czy spała, czy nie spała, ale chyba nie spała, wziąłem swoje buty i wyrzuciłem je na dwór, i wyszedłem przez okno, tak jak to robił Pete, kiedy miał siedemnaście lat, i tato uważał, że jest jeszcze za młody, żeby się włóczyć po nocy jak marcowy kot, i nie pozwalał mu wychodzić. Na dworze włożyłem buty, poszedłem do stodoły, zabrałem procę i jajko i wyszedłem na drogę.

Nie było zimno, ale za to cholernie ciemno, droga ciągnęła się przede mną tak daleko, jak nie przymierzając człowiek, który klapnie jak długi. Żywego na niej ducha nie było i chwilowo wyglądało na to, że chyba słońce mnie dogoni, zanim dojdę te dwadzieścia dwie mile do Jefferson. Ale nie dogoniło. Dopiero coś niecoś świtało, kiedy wszedłem na wzgórze, do miasta. Pachniało wszędzie śniadaniem, które gotowano po domach, i żałowałem, że zapomniałem wziąć chociaż kawałka ciasta, ale już było za późno, żeby coś na to poradzić. Pete mi powiedział, że Memphis jest jeszcze spory kawał za Jefferson, tylko skąd miałem wiedzieć że aż osiemdziesiąt mil. Stałem więc na takim pustym placu i stałem, i robiło się coraz jaśniej i jaśniej, latarnie uliczne ciągle się jeszcze paliły, z rogu patrzył na mnie glina i do Memphis miałem jeszcze osiemdziesiąt mil, całą noc zajęło mi przejście tych głupich dwudziestu mil, wyglądało na to, że jeśli będę w tym tempie szedł do Memphis, to Pete wyjedzie do tego Pearl Harbor, zanim zdążę przyjąć.

– Skąd ty jesteś? – spytał glina.

Więc mu powiedziałem:

– Muszę iść do Memphis, tam jest mój brat.

– Nie masz tu żadnej rodziny? – spytał glina. – Nikogo nie masz oprócz brata? Więc co tu robisz sam jeden, jeśli twój brat jest w Memphis?

Więc znów mu powiedziałem:

– Muszę iść do Memphis. Nie mam czasu, żeby tu stać i strzępić sobie język, i nie mam czasu, żeby iść piechotą. Dzisiaj muszę być w Memphis.

– Chodź ze mną – powiedział glina.

Poszliśmy kawalek razem. I tam dalej stał autobus taki sam jak ten, do którego wczoraj wsiadł Pete, tylko że nie paliły się na nim światła i w środku nikt nie siedział. Była to stacja autobusowa zupełnie jak kolejowa stacja i była też kasa, i za nią gość, co sprzedaje bilety, i glina powiedział do mnie:

– Siadaj tu na ławce – więc ja usiadłem na ławce, a glina odezwał się do tego gościa w kasie: – Czy mogę zatelefonować? – i zaczął gadać coś do telefonu i gadał tak z dobrą minutę, a potem odłożył słuchawkę i powiedział do gościa w kasie: – Przypilnuj go pan chwilkę, ja zaraz wrócę, niech tylko pani Habersham się wygrzebie. – I gdzieś polazł. Wstałem i podszedłem do kasy.

– Chcę jechać do Memphis – powiedziałem.

– Ano pewnie, pewnie – zgodził się ten gość. – Siadaj spokojnie i poczekaj. Pan Foote za chwilę wróci.

– Ja nie znam żadnego pana Foote – powiedziałem. – Ja chcę pojechać tym autobusem do Memphis.

– A masz pieniądze? – spytał gość. – Bilet kosztuje siedemdziesiąt dwa centy.

Wyjąłem moje pudełko od zapalek i odwinąłem kukułcze jajo.

– Zamienię to na bilet do Memphis – powiedziałem.

– Co to jest? – spytał gość.

– Kukułcze jajo – wyjaśniłem. – Nie widział pan nigdy? Warte dolara. Ale ja je oddam za siedemdziesiąt dwa centy.

– Nie – odpowiedział. – Faceci, do których należy ta linia, upierają się przy transakcjach gotówkowych. Gdybym zaczął wydawać bilety za ptasie jajka i żywiec, i inne podobne rzeczy, wyrzuciliby mnie z pracy. Usiądź sobie na ławce, jak kazał pan Foote.

Skoczyłem do drzwi, ale on skoczył jeszcze szybciej przez ladę kasy i zaczął pchać się z rękami, żeby mnie złapać. Wyciągnąłem z kieszeni scyzoryk i szybko go otworzyłem.

– Jak mnie pan dotknie, to panu utnę rękę – powiedziałem.

Próbowałem go wyminąć i polecieć do drzwi, ale on ruszał się szybciej niż jakikolwiek dorosły mężczyzna, jakiego znałem, prawie tak szybko jak Pete. Stanął plecami do drzwi, rozstawił nogi i nie miałem którejś zwać.

– Wracaj na ławkę i czekaj na pana Foote.

Co miałem robić, wróciłem, bo ten gość stał ciągle w drzwiach. Siedziałem i czekałem. A potem jakby cała stacja zapełniła się nagle ludźmi, bo wrócił glina i przyszły jakieś dwie panie w paltach z futra i z twarzami już umalowanymi, chociaż dalej

wyglądały, jakby wybrały się w strasznym pośpiechu i miały ochotę jeszcze coś niecoś pospać. Jedna była stara, a druga młoda i obie patrzyły na mnie.

– On nie ma płaszcza – zauważyła ta stara. – Skąd też tu się wziął, biedaczek?

– A bo ja wiem – odpowiedział glina. – Nic nie gada oprócz tego, że jego brat jest w Memphis i że on musi do niego jechać.

– To prawda – odezwałem się. – Muszę dziś być w Memphis.

– Oczywiście, że musisz – zgodziła się ta stara. – A czy jesteś pewien, że odnajdziesz swojego brata w Memphis?

– Mam tylko jednego brata – wyjaśniłem – i znam go całe życie, więc go poznam, jak go zobaczę, co za śmieszne pytanie!

Stara przyglądała mi się uważnie.

– Jakoś nie wygląda, żeby stale mieszkał w Memphis.

– I pewno tam nie mieszka – zauważył glina. – Chociaż, co to można powiedzieć, wszędzie może mieszkać, tu albo i nie tu. W dzisiejszych czasach pęta to się chole... cholewki to on ma wiejskie. Tak, chłopaki i dziewczyny też, zanim się jeszcze cho... chodzić dobrze nauczą. Co my możemy wiedzieć, on równie dobrze mógł przyjechać z Missouri, jak i z Teksasu. Ale jest pewny, że jego brat znajduje się w Memphis. Ja tam uważam, że niech sobie jedzie i szuka tego brata.

– Racja – przytaknęła stara.

A młoda usiadła koło mnie na ławce i otworzyła torebkę, i wyjęła takie pióro, co pisze stale, i jakieś papiery.

– Posłuchaj, kochany chłopczyku – odezwała się – postaramy się, żebyś mógł pojechać do brata, ale najpierw do akt musimy mieć opis sprawy. Chcemy wiedzieć, jak się nazywasz i jak na imię twojemu bratu, i gdzie się urodziłeś, i kiedy umarli twoi rodzice.

– Mnie tam do akt opis sprawy niepotrzebny – odpowiedziałem. – Ja tylko chcę jechać do Memphis. Muszę tam być dzisiaj.

– Widzą panie! – powiedział glina takim tonem, jakby się cieszył. – Nie mówiłem!

– Pani i tak ma szczęście, pani Habersham – wtrącił się gość od tych biletów autobusowych – że nie ma splanu, ale za to potrafi otworzyć ten swój majcher choler... to znaczy, chciałem powiedzieć, bardzo sprawnie, jak dorosły.

Ta stara tylko popatrzyła na mnie i wreszcie mówi:

– Naprawdę nie wiem, co z nim zrobić.

– A ja wiem – powiedział gość od biletów. – Zapłacę mu bilet z własnej kieszeni w

ramach ochrony przedsiębiorstwa przed zamieszkami i rozlewem krwi. A kiedy pan Foote powtórzy to na radzie miejskiej, to na pewno nie tylko mi zwrócą pieniądze, ale jeszcze dadzą jaki medal za wysoce społeczny czyn. Co, panie Foote?

Ale nikt nie zwracał na niego uwagi. Stara ciągle na mnie patrzyła. Powiedziała jeszcze raz: „Nie wiem, co z nim zrobić”, potem wyjęła z torebki dolara i dała go gościowi z autobusów.

– Może chyba jechać na dziecinny bilet?

– W tym wypadku mam wątpliwości, jaki zastosować przepis. Pewno mnie wyrzucą z pracy, jeśli go nie zamknę do klatki i nie przyklepię kartki z napisem „gryzie”. Ale zaryzykuję.

I wtedy tamci sobie poszli. Wrócił tylko jeszcze glina i dał mi kanapkę z serem.

– Jesteś pewien, że znajdziesz swojego brata? – spytał.

– Niby dlaczego nie mam go znaleźć? – odparłem. – Jeśli nie ja zobaczę Pete’a pierwszy, to on mnie zobaczy. Też mnie przecież zna.

Więc glina poszedł sobie na dobre, a ja zjadłem kanapkę. I potem przyszli różni ludzie kupować bilety, i na końcu ten gość, co je sprzedawał, powiedział, że czas wsiadać, więc wsiadłem tak jak wczoraj Pete i pojechaliśmy.

Ile ja miast zobaczyłem, chyba wszystkie, jakie są! Kiedy autobus na dobre się rozpędził, coś tak trochę zachciało mi się spać, ale za oknami było tyle ciekawych rzeczy, których jeszcze nie widziałem, że nie spałem. Jak wyjechaliśmy z Jefferson, to jechaliśmy przez pola i przez lasy. Potem wjechaliśmy do następnego miasta i znowu z niego wyjechaliśmy, i znowu jechaliśmy przez pola i przez lasy, i znowu było następne miasto ze sklepami, olejarniami i zbiornikami wody. Długo jechaliśmy wzdłuż linii kolejowej i widziałem, jak się podnosi ramię semafora, a potem zobaczyłem pociąg i jeszcze kilka miast i byłem zupełnie wykończony, tak mi się chciało spać, ale nie mogłem ryzykować.

I na końcu zaczęło się Memphis, to znaczy, wydawało mi się, że to musi być Memphis, bo się ciągnęło przez wiele mil. Masę tam stało domów i było strasznie dużo sklepów, i już byłem pewien, że to na pewno Memphis, ale autobus nawet się nie zatrzymał i okazywało się, że to jeszcze nie Memphis i znowu jechaliśmy koło zbiorników wody i kominów na fabrykach, a jeśli to miały być olejarnie albo tartaki, to muszę powiedzieć, że nie wiedziałem, że ich tyle jest i takie duże, i skąd oni biorą taką masę bawełny i drzewa, żeby wszystkie miały robotę.

No i w końcu naprawdę zobaczyłem Memphis, i już wiedziałem, że to na pewno Memphis, bo tak wysoko sterczało w powietrzu i wyglądało jak dziesięć miast większych niż Jefferson, a sięgało w górę wyżej niż wszystkie góry w okręgu Yoknapatawpha. No i wjechaliśmy do tego miasta, autobus stawał chyba co parę kroków, po obu stronach jechało masę samochodów i pełno było ludzi, którzy chyba tego dnia przybiegli ze

wszystkich stron, tylu ludzi jeszcze naraz nie widziałem i pomyślałem sobie, że pewno w całym Missisipi już nie został nikt, kto by mi chociaż mógł sprzedać bilet na autobus nie mówiąc o pisaniu do akt i opisów sprawy. Wreszcie autobus stanął ostatni raz na takiej stacji, tylko że strasznie dużej, większej niż w Jefferson, więc ja spytałem:

– Dobrze, a gdzie tu się wstępuje do wojska?

– Że co? – spytał kierowca autobusu.

Więc ja spytałem jeszcze raz o to samo:

– Gdzie tu się wstępuje do wojska?

– A, do wojska! – powiedział. I wytłumaczył mi, któredy tam się dostać. Z początku to się bałem, że nie będę wiedział, jak chodzić po takim wielkim mieście, ale się szybko zorientowałem. I nie musiałem już więcej pytać o drogę, tylko jeszcze dwa razy. Wreszcie prawie doszedłem na miejsce i byłem strasznie zadowolony, że się na trochę wydostałem z tych wszystkich pędzących aut i ludzi, co się pchali, i całego tego hałasu, i sobie pomyślałem, że już niedługo zobaczę Pete'a, i pomyślałem sobie też, że jeśli tam jest dużo takich, co się zapisali do tego wojska, to pewno jednak Pete wcześniej mnie zobaczy niż ja jego. Wszedłem do pokoju, ale tam nie było Pete'a.

Zupełnie go nie było. Siedział tylko żołnierz z trójkątami na rękawie i coś pisał, a przed nim stało dwóch gości i było jeszcze kilku innych gości, chyba było, coś tak sobie przypominam, że tam jeszcze kilku było.

Podszedłem do stołu, gdzie ten żołnierz coś pisał, i spytałem:

– Gdzie jest Pete? – a on spojrzał na mnie, więc ja mu tłumaczę: – Mój brat, Pete Griers. Gdzie on jest?

– Kto? – spytał żołnierz. – Czego tu chcesz?

Więc ja mu tłumaczę jeszcze raz:

– Wczoraj zapisał się do wojska. Jedzie do Pearl Harbor. I ja też. Przyjechałem go dogonić. Gdzie on jest?

Wszyscy już teraz na mnie patrzyli, ale co mnie to obchodziło.

– No gadaj – powiedziałem. – Gdzie jest Pete?

Ten żołnierz przestał pisać, obie ręce rozłożył na stole i mówi:

– Aha, ty też jedziesz, co?

– A jadę – odpowiedziałem. – Oni będą potrzebowali, żeby im kto nosił wodę i rąbał drzewo, no nie? Ja to potrafię. W domu cały czas rąbię drzewo i noszę wodę. No, gdzie jest Pete?

Ten żołnierz wstał i ryczy:

– Kto cię tu wpuścił? Zjeżdżaj stąd, a szybko.

– Wypchaj się – ja mu mówię. – Gadaj zaraz, gdzie jest Pete?

A ten cholera to jeszcze szybciej potrafił się ruszać niż tamten gość od biletów autobusowych. Nawet nie skoczył przez stół, tylko obszedł dokoła i wpadł na mnie, zanim wiedziałem, co i jak, tak że ledwie miałem czas wyjąć scyzoryk, otworzyć go i dziabnąć w kikut. Żołnierz wrzasnął, odskoczył i jedną ręką złapał drugą rękę, stał tak klnąc i wrzeszcząc.

A jakiś drugi gość złapał mnie od tyłu, więc go też dziabnąłem scyzorykiem, ale nie udało mi się dosięgnąć.

Potem jeszcze drugi gość złapał mnie od tyłu i wtedy wyszedł inny żołnierz z drzwi pokoju. Miał na sobie pas i jeszcze taki jeden pasek na ukos.

– Co tu się dzieje? – spytał.

– Taki owaki dziabnął mnie nożem! – wrzasnął ten pierwszy żołnierz.

Kiedy to mówił, spróbowałem go macnąć jeszcze raz, ale tamci dwaj mocno mnie trzymali od tyłu, dwóch na jednego, więc ten żołnierz z paskiem na ukos powiada:

– Spokojnie, spokojnie, schowaj swój nóż, nie jesteśmy uzbrojeni. Porządny człowiek nie rzuca się z nożem na faceta, który nie ma noża.

Dopiero wtedy coś niecoś zacząłem słyszeć, co on mówi, bo przedtem byłem strasznie zły i nic nie słyszałem. A kiedy on mówił, to jakbym słyszał Pete'a.

– Puśćcie go – kazał, więc mnie puścili. – No, o co chodzi?

Więc ja mu powiedziałem, o co chodzi.

– Rozumiem – odezwał się na końcu. – I przyjechałeś zobaczyć się z nim przed odjazdem, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku.

– Nie. Przyjechałem, żeby...

Ale on się już obrócił do tego pierwszego żołnierza, który owijał sobie rękę chustką.

– Macie takiego? – spytał.

Ten pierwszy żołnierz podszedł do stołu i zajrzał do jakichś papierów.

– Jest – powiedział. – Wczoraj się zapisał. Dziś rano wyjeżdża z transportem do Little Rock. – Spojrzał na zegarek, który miał na ręku. – Pociąg odchodzi za pięćdziesiąt minut. Znam tych chłopaków ze wsi, pewno już wszyscy czekają na stacji.

– Ściągnijcie go tutaj – kazał ten z paskiem. – Zadzwońcie na stację, niech mu bagażowy sprowadzi taksówkę. A ty chodź ze mną. – Obrócił się do mnie.

Za tym pokojem był drugi pokój, gdzie stał tylko stół i kilka krzeseł. Usiedliśmy i

ten żołnierz palił papierosa; nawet niedługo czekałem. Od razu poznałem Pete'a, po krokach, jak jeszcze szedł przez tamten pierwszy pokój. Żołnierz, co go dziabnąłem, otworzył drzwi i Pete wszedł. Wcale nie był ubrany w żaden mundur. Wyglądał tak samo, jak kiedy wsiadał do autobusu wczoraj rano, tylko że mnie się wydawało, jakby to już było z tydzień temu, bo tyle zwiedziłem różnych miast. Więc Pete wszedł i stanął, i wyglądał tak, jakby wcale nie wyjeżdżał z domu, tylko że to przecież było Memphis, a on jechał jeszcze dalej, do Pearl Harbor.

– Co ty, do diabła, tutaj robisz? – spytał.

Więc ja mu powiedziałem, co robię.

– Przecież ci ktoś musi wodę nosić i rąbać drzewo, na którym będziesz gotował. Wiesz, że potrafię rąbać drzewo i nosić wodę.

– Nie. Masz wracać do domu – on do mnie.

– Nie – powiedziałem. – Muszę iść z tobą. Muszę. Koniecznie, Pete!

– Nie – upierał się Pete. Spojrzał na tego żołnierza. – Nie wiem, co go opętało, poruczniku. Nigdy jeszcze nie rzucał się na nikogo z nożem: – Spojrzał na mnie. – Dlaczegoś to zrobił?

– Nie wiem – wytłumaczyłem mu. – Musiałem chyba. Musiałem się z tobą zobaczyć.

– Żebyś mi tego nigdy więcej nie robił, słyszysz? Schowaj ten scyzoryk do kieszeni i trzymaj go w kieszeni. Jeśli jeszcze raz usłyszę, żeś go wyciągnął i kogoś dziabnął, to wrócę, skąd by nie było, i sprawię ci takie lanie, że popamiętasz do sądnego dnia, rozumiesz?

– Rozumiem, ale chętnie poderżnę komuś gardło, tylko powiedz komu, jeśli przez to będziesz mógł wrócić – powiedziałem. – Pete – powiedziałem. – Pete.

– Nie, nie możesz tego robić. – Nie mówił już takim ostrym głosem, tylko prawie cicho, i ja wiedziałem, że nic tu już nie wygadam. – Musisz wrócić do domu i zaopiekować się mamą. I liczę na ciebie, że się zajmiesz moimi dziesięcioma akrami. Chcę, żebyś wrócił do domu, dzisiaj, słyszysz?

– Słyszę – odparłem.

– Potrafi sam wrócić? – spytał żołnierz.

– Sam tu przyjechał, no nie? – odparł Pete.

– Chyba potrafię – zgodziłem się. – Mieszkam tylko w jednym miejscu i chyba zostało ono tam, gdzie było wczoraj.

Pete wyjął z kieszeni dolara i dał mi go.

– Kupisz sobie za to bilet, autobus podwiezie cię aż pod naszą skrzynkę do listów. I słuchaj porucznika, porucznik wyśle cię do autobusu. I wracaj do domu, i zaopiekuj się mamą, i zajmij moimi dziesięcioma akrami, i nie wyjmuj scyzoryka z kieszeni. Słyszysz?

– Słyszę, Pete.

– No, dobra. Muszę już iść. – Położył rękę na mojej głowie, ale tym razem nie wykręcił mi szyi. Tylko tak chwilę trzymał tę rękę. A potem, niech mnie osa ukąsi, jeśli się nie schylił i nie pocałował mnie, jeszcze potem usłyszałem jego kroki i zamknęły się za nim drzwi, ale nawet nie podniosłem głowy. I tak się skończyło. Zostałem w pokoju i pocierałem miejsce, które Pete pocałował, a ten żołnierz siedział za stołem, patrzył przez okno i strasznie kaszłał. Sięgnął do kieszeni i dał mi coś, ale nawet wtedy na mnie nie spojrział. Ja za to spojrziałem i to była guma do żucia.

– Stokrotne dzięki – powiedziałem. – Więc chyba ruszę w powrotną drogę. Mam spory kawał do domu.

– Poczekaj chwilę – mówi żołnierz i gdzieś znowu zatelefonował, więc mu jeszcze raz powiedziałem, że lepiej sobie pójdę, bo czas na mnie, a on znowu mówi: – Poczekaj, pamiętasz, co ci Pete przykazał?

Więc czekaliśmy i znowu przyszła jakaś pani, też stara i też w futrze, ale pachniała dobrze i nie miała żadnego pióra, ani opisu sprawy też nie miała. Weszła tylko i żołnierz wstał, a ona się rozejrzała, aż mnie zobaczyła, i wtedy podeszła, i tak jakoś lekko i szybko, i tak przyjemnie, jakby sama mama to zrobiła, położyła mi rękę na ramieniu.

– Chodź, chłopcze – odezwała się. – Pojedziemy do domu na obiad.

– Nie – powiedziałem. – Muszę łapać autobus do Jefferson.

– Ja wiem. Ale masz dużo czasu. Najpierw pojedziemy do domu na obiad.

Na ulicy stał jej samochód i pojechaliśmy tym samochodem pośrodku wszystkich innych samochodów, które jechały drogą, i prawie żeśmy ciągle wpadali pod autobus, i ci wszyscy ludzie dokoła byli tak blisko, że mógłbym z nimi rozmawiać, gdybym wiedział, kto oni są albo oni znali mnie. A potem samochód stanął i ta pani powiedziała, że już jesteśmy na miejscu, i ja spojrziałem na dom, i jeśli ten dom, przed którym stanęliśmy, był cały jej, to ona musiała mieć strasznie dużą rodzinę. Ale pewno dom nie był cały jej. Weszliśmy do sali, w której rosły drzewa, i weszliśmy do takiego malutkiego pokoiku, w którym stał tylko czarnuch ubrany w mundur bardziej błyszczący niż mundury tamtych wszystkich żołnierzy, i ten czarnuch zamknął drzwi, i wtedy ja krzyknąłem: „Uwaga!” – i złapałem się, za co się można było złapać, ale się okazało, że wszystko jest w porządku, bo ten pokój tylko podjechał do góry i drzwi się otworzyły, i byliśmy w innej sali. Ta pani otworzyła jakieś drzwi, w które weszliśmy, i tam był inny żołnierz, starszy gość tak samo z paskiem na ukos do ostrzenia brzytwy chyba i srebrnym ptaszkiem na każdym ramieniu.

– No, jesteśmy – powiedziała pani. – Chłopcze, to jest pułkownik McKellogg. Teraz

powiedz, co byś chciał zjeść.

– Jajka z boczkiem i trochę kawy – powiedziałem.

Wyciągnęła rękę do telefonu, ale ją cofnęła i spytała:

– Kawy? Od kiedy ty pijesz kawę?

– Nie pamiętam od kiedy. Od kiedy pamiętam.

– Masz chyba z osiem lat, prawda? – spytała.

– Wcale nie – odparłem. – Mam osiem i dziesięć miesięcy, idzie mi na jedenasty.

Wtedy ona zatelefonowała. I myśmy potem usiedli, i ja opowiedziałem, jak Pete wyjechał dzisiaj do Pearl Harbor i ja chciałem jechać z nim, ale muszę wracać do domu i zaopiekować się mamą, i doglądać tych dziesięciu akrów Pete'a. A ta pani mi powiedziała, że też ma takiego chłopca w moim wieku i że on jest w szkole na Wschodzie. Wtedy wszedł czarnuch, ale już inny, w takim ubraniu, co miało tył podobny do ogona koszuli, i toczył przed sobą taczki na czterech kółkach. Na tych taczkach były moje jajka z boczkiem i szklanka mleka, i kawałek ciasta też, i ja sobie pomyślałem, że jestem okropnie głodny. Ale kiedy zacząłem jeść, to się okazało, że nie mogę wcale jeść, bo mi nic nie chce przejść przez gardło, i szybko wstałem.

– Muszę iść – powiedziałem.

– Poczekaj chwilę – poprosiła ta pani.

– Muszę iść – powtórzyłem jej.

– Chwileczkę. Już telefonowałam po samochód. Za minutę przyjedzie. Wypij chociaż trochę mleka. No to może dam ci twojej kawy?

– Nie – powiedziałem. – Nie jestem głodny, zjem, jak wrócę do domu.

I wtedy zadzwonił telefon. Ona nawet nie podniosła słuchawki.

– No, jest już samochód. – I poszliśmy z powrotem, i zjechaliśmy na dół tym samym ruchomym pokojem, w którym stał wystrojony czarnuch. Teraz zobaczyłem inny samochód, a w nim żołnierza. Usiadłem z tym żołnierzem na przodzie, a ta pani dała żołnierzowi dolara. – Jakby był głodny – powiedziała – to go zaprowadźcie do porządnej restauracji.

– Zrobi się, pani McKellogg – zgodził się żołnierz.

I znowu pojechaliśmy. Dobrze się przyjrzałem temu Memphis, ślicznie świeciło słońce, jak przejeżdżaliśmy. Ale zanim wiedziałem, co i jak, byliśmy z powrotem na tej samej drodze, którą przyjechałem rano autobusem, i tylko migały te domy ze sklepami i te wielkie olejarnie i tartaki.

To Memphis ciągnęło się przez całe mile, zanim się zaczęło kończyć. Potem znowu

jechaliśmy przez pola i przez lasy, bardzo szybko jechaliśmy i gdyby nie ten żołnierz, koło którego siedziałem, to bym pomyślał, że nigdy nie byłem w Memphis. Jechaliśmy teraz strasznie szybko i pomyślałem sobie, że z taką szybkością to raz dwa dojadę do tego zakrętu, koło którego zabił się Francuz, i jak sobie pomyślałem, że przyjadę tym wielkim samochodem z żołnierzem za kierownicą, to nagle zacząłem płakać. Nie miałem przedtem pojęcia, że będę płakał, i nie mogłem zupełnie przestać. Więc tak siedziałem koło żołnierza i płakałem. I jechaliśmy bardzo szybko.

*Przełożył*

*Jan Zakrzewski*

# RÓŻA DLA EMILII

## I

Kiedy panna Emilia Grierson umarła, całe nasze miasteczko poszło na jej pogrzeb. Mężczyźni z szacunku, jaki się ma dla upadłych wielkości, kobiety ciekawe obejrzeć wnętrze domu, którego progu od dziesięciu lat nie przestąpił nikt z wyjątkiem starego sługi, Murzyna, spełniającego funkcje pośrednie między kucharzem a ogrodnikiem.

Niegdyś biały, prawie kwadratowy wielki dom, z ozdobnymi wieżyczkami i balkonikami w przeładowanym, ciężkim stylu lat siedemdziesiątych, stał przy ulicy niegdyś najbardziej ekskluzywnej. Ale garaże i wyłóczalnie oleju wyparły dostojne sąsiedztwo, nie szczędząc nawet najświetniejszych nazwisk. Pozostał tylko dom panny Emilii kokietując zżartym przez czas korpusem i uparcie, dumnie królując nad stacjami benzynowymi i magazynami bawełny – największa zadra nad zadrami. A teraz odeszła i panna Emilia, aby połączyć się ze szczątkami owych świetnych rodów, których pokolenia spoczywały w cedrowym cieniu, między równymi szeregami anonimowych grobów konfederatów i unionistów poległych podczas bitwy pod Jefferson.

Panna Emilia była symbolem, była spadkiem dawnych czasów, czymś w rodzaju żywego sumienia, a może i wiecznego zobowiązania miasta od owego dnia w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym czwartym roku, kiedy to pułkownik Sartoris, burmistrz sławny z wydania edyktu zakazującego Murzynkom wychodzenia na ulicę bez fartuchów, zwolnił ją z wszelkich podatków rozciągając ten przywilej od dnia śmierci ojca panny Emilii aż po wsze czasy. Panna Emilia nie przyjęłaby jałmużny, pułkownik Sartoris wymyślił więc bardzo skomplikowaną opowieść o pożyczce udzielonej miastu przez ojca panny Emilii, którą to pożyczkę miasto w ten oto sposób chciało spłacić. Tylko pokolenie pułkownika Sartorisa zdolne było uznać podobną legendę, tylko kobieta owych czasów mogła w nią uwierzyć.

Gdy jednak obowiązki radnych i burmistrzów objęło następne pokolenie o bardziej nowoczesnych poglądach, zobowiązanie pułkownika wywołało protesty. Pierwszego stycznia któregoś roku wysłano do panny Emilii nakaz podatkowy. Przyszedł luty, ale nie przyszła odpowiedź od panny Emilii. Wysłano wtedy grzeczny, ale suchy list z prośbą o przybycie do urzędu, oczywiście w czasie, jaki jej najbardziej odpowiada. Po tygodniu sam burmistrz napisał jeszcze raz do panny Emilii proponując wysłanie po nią swego samochodu. Otrzymał odpowiedź na kawałku starego czerpanego papieru, wykaligrafowaną okrągłym pismem, a zblakłym atramentem, że adresat nie opuszcza już domu. Do listu, bez komentarza, dołączony był nakaz podatkowy.

Zwołano specjalne posiedzenie rady miejskiej, do panny Emilii udała się delegacja.

Zapukano do drzwi, których nie przekroczył żaden gość od ośmiu czy dziesięciu lat, kiedy to panna Emilia przestała udzielać lekcji malowania na porcelanie. Stary Murzyn wpuścił przybyłych do zimnego mrocznego hallu, z którego wznosiły się schody ku jeszcze głębszym cieniom. Pachniało kurzem i stęchlizną. Murzyn poprowadził ich do salonu pełnego ciężkich krytych skórą mebli, a następnie uchylił jedną z okiennic. Zauważyli wtedy, że skóra obić jest popękana, a gdy usiedli, podniosły się z foteli delikatne obłoczki kurzu, wpadły w wąską smugę słońca i zawirowały w niej leniwie. Na szerniałych złożonych sztalugach przed kominkiem stał ołówkowy szkic głowy ojca panny Emilii.

Wstali, gdy weszła – tęga, przysadzista kobieta w czarnej sukni, podpierająca się hebanową laską o szerniałej złotej gałce. Z szyi zwisał jej złoty łańcuszek i ginął w fałdach pod paskiem. Budowy była właściwie drobnej, dlatego to, co u innej kobiety nazwano by krągłymi kształtami, u niej awansowało do rangi otyłości. Sprawiała wrażenie spuchniętej, jak ciało długo zanurzone w stojącej wodzie, z jej twarzy biła niezdrowa bladość, a oczy zagubione w tłustych fałdach przypominały dwa węgielki wciśnięte w ciasto. Gdy goście wyłuszczali cel swojego przybycia, oczy te przeskakiwały szybko z jednej twarzy na drugą.

Nie poprosiła ich, by usiedli. Sama stała w drzwiach, słuchała w milczeniu, póki główny mówca nie urwał potykając się o słowa. Wtedy usłyszeli cykanie niewidzialnego zegarka na końcu złotego łańcuszka.

Odezwała się głosem suchym i zimnym:

– Nie płacę podatków w Jefferson. Pułkownik Sartoris wszystko mi wytłumaczył. Być może, któremuś z panów uda się dostać do archiwów miejskich i zaspokoić pod tym względem swoją ciekawość.

– Już ją zaspokoiliśmy. I to my właśnie reprezentujemy władze miejskie, panno Grierson. Czy nie otrzymała pani nakazu podatkowego podpisanego przez skarbnika miejskiego?

– Otrzymałam jakieś pismo, tak. Być może, ten pan uważa siebie za skarbnika... Ale ja nie płacę podatków w Jefferson.

– W aktach nie ma nic, co by usprawiedliwiało podobny stan rzeczy, musi to pani zrozumieć. Naszym obowiązkiem jest...

– Proszę porozumieć się z pułkownikiem Sartorisem. Ja nie płacę podatków w Jefferson.

– Ale, panno Grierson...

– Proszę porozumieć się z pułkownikiem Sartorisem... (Pułkownik zmarł przed dziesięcioma laty). Ja nie płacę podatków w Jefferson. Tobe! – Za jej plecami pojawił się Murzyn. – Panowie wychodzą!

## II

Pokonała ich bezapelacyjnie, tak jak trzydzieści lat temu pokonała ich ojców w sprawie zapachów. Było to dwa lata po śmierci jej ojca i niedługo po odejściu przyjaciela, o którym powszechnie mówiono, że się na pewno z nią ożeni. Po śmierci ojca wychodziła z domu bardzo rzadko, po odejściu przyjaciela nikt już jej nie widział. Kilka pań nieopatrznie ją odwiedziło, ale nie zostały przyjęte; jedyną oznaką, że dom nie zamarł, był widok Murzyna – wówczas jeszcze młodego mężczyzny – który codziennie chodził z koszykiem po zakupy.

– A czy to mężczyzna, jakikolwiek mężczyzna, potrafi prowadzić gospodarstwo! – mówiły kobiety. Nie zdziwiły się więc bardzo, gdy wynikła sprawa zapachów, nowe źródło zadrażeń między swarliwym światem zwykłych śmiertelników a izolowaną wyspą dumnych Griersonów.

Zaczął się od tego, że jedna z sąsiadek złożyła skargę sędziemu Stevensowi, starcowi w wieku lat osiemdziesięciu, który był burmistrzem.

– I cóż mam zrobić, proszę pani? – spytał sędzia Stevens.

– Jak to co? Proszę jej wysłać pismo albo co – powiedziała kobieta. – Przecież są jakieś przepisy regulujące takie sprawy.

– Jestem pewien, że zapachy niedługo ustąpią – próbował jej perswadować sędzia Stevens. – To na pewno cuchnie jakiś wąż albo szczur, którego ten jej Murzyn zabił koło domu. Pogadam z nim.

Następnego dnia wpłynęły dwie następne skargi; z jedną przyszedł do burmistrza mężczyzna i użalał się bardzo skrepowany:

– Musimy coś na to poradzić, panie sędzio. Jestem przeciwny niepokojeniu czy sprawianiu przykrości pannie Emilii, ale naprawdę musimy coś na to poradzić.

Tego samego wieczoru zebrała się rada miejska: trzech starców z brodami i jeden młody człowiek, przedstawiciel nowej generacji.

– Sprawa jest bardzo prosta – powiedział młody człowiek. – Wyślijmy jej nakaz zdezynfekowania domu. Damy jej pewien termin, a jeśli się nie zastosuje...

– Młody człowieku – przerwał mu sędzia Stevens – uważa pan, że można iść do kobiety i powiedzieć jej w nos, że ona nieładnie pachnie?

W rezultacie następnego dnia, po północy, czterech ludzi zakradło się do ogrodu panny Emilii; zachowywali się jak włamywacze węsząc wokół fundamentów z cegły i okienek piwnicznych, podczas gdy jeden z nich jakby coś rozsiewał czerpiąc garściami z worka przewieszzonego przez ramię. Wyważyli drzwi od piwnicy i rozsypali tam wapno tak samo jak we wszystkich szopach zewnętrznych i ubikacjach. Kiedy już odchodzili, w oknie, które przedtem było ciemne, zapaliło się światło i zobaczyli w nim pannę Emilię;

światło paliło się za nią, siedziała wyprostowana, sztywna, bez ruchu – popiersie bożka. Na palcach zeszedli cichutko z trawnika i wkrótce skrył ich cień akacji, którymi obsadzona była ulica. Po paru tygodniach zapach zniknął.

W tym okresie wszyscy zaczęli bardzo współczuć panie Emilii. Mieszkańcy naszego miasteczka pamiętali jeszcze starą lady Wyatt, babkę panny Emilii, która zupełnie zwariowała pod koniec życia, i uważali, że Griersonowie będąc tym, czym są, za bardzo zadzierają nosa. Żaden młody człowiek nie był odpowiednim kandydatem do ręki panny Emilii i jej podobnych. W pamięci utkwił nam jeden obraz, symboliczny i wymowny: w głębi szczupła, delikatna sylwetka Emilii w białej sukni, przed nią jej ojciec, muskularny mężczyzna, w ręku zaciska szpicrutę, oboje stoją w szeroko otwartych drzwiach frontowych. Kiedy więc panna Emilia skończyła lat trzydzieści i jeszcze nie wyszła za mąż, byliśmy nie tyle zadowoleni, co pomszczeni. Nawet uwzględniając chorobę umysłową w rodzinie nie zaprzepaściłaby wszystkich szans, gdyby je naprawdę miała.

Gdy zmarł jej ojciec, rozeszła się plotka, że zostawił po sobie tylko dom; to również w pewnym sensie sprawiło ludziom przyjemność. Wreszcie mogli się litować nad panną Emilią. W oczach sąsiadów samotność i niedostatek przydały jej ludzkich cech. A więc wreszcie i ona zazna gorzkiego smaku dni, kiedy trzeba liczyć każdego pensa.

Następnego dnia po śmierci ojca wszystkie panie udały się do domu Griersonów, aby zgodnie ze zwyczajem złożyć kondolencje i ofiarować pomoc. Panna Emilia przyjmowała wszystkich w drzwiach, ubrana jak zwykle, bez śladu łez na twarzy, i mówiła, że jej ojciec nie umarł. Przez trzy dni tak odprawiała każdego, i lekarzy, i pastorów, którzy ją prosili, aby im pozwoliła zająć się pogrzebem. Kiedy wreszcie mieli uciec się do pomocy prawa i zastosować siłę, panna Emilia załamała się i wtedy szybko pochowano nieboszczyka.

Nie twierdziliśmy wówczas, że jest niespełna rozumu. Uważaliśmy, że w tej sytuacji jej postępowanie jest całkowicie usprawiedliwione. Pamiętaliśmy wszystkich młodych ludzi, których jej ojciec wypędził z domu, i wiedzieliśmy, że biedna kobieta zawieszona w próżni będzie się pazurami trzymała chociaż tego mężczyzny, który pozbawił ją szczęścia. Ludzie tak zawsze postępują.

### III

Przez długi czas chorowała. Kiedy ujrzeliśmy ją znowu, miała krótko przycięte włosy jak dziewczynka, trochę przypominała nawet anioły z kolorowych witraży – bez troski i jednocześnie tragiczne.

W tym czasie zarząd miejski podpisał kontrakt na kładzenie chodników i w lecie po śmierci ojca panny Emilii zaczęły się roboty. Przedsiębiorstwo sprowadziło czarnych robotników, muły i maszyny, przyjechał też biały majster, Homer Barron. Był to obrotny

Jankes z Północy, wysoki brunet o tubalnym głosie i oczach jaśniejszych niż skóra jego twarzy. Otoczony był zawsze gromadą chłopców, którzy lubili się przysłuchiwać, jak wymyśla Murzynom i jak Murzyni śpiewają w rytm uderzeń kilofów. Homer Barron szybko poznał wszystkich w miasteczku i jeśli gdzieś na rynku słyszało się śmiech i widziało gromadkę ludzi, to z pewnością znajdował się wśród nich. A potem zaczęliśmy go widywać w każdą niedzielę po południu z panną Emilią w wynajętym powoziku z żółtymi kołami, zaprzężonymi w dobraną parę kasztanków.

Z początku byliśmy zadowoleni, że panna Emilia znalazła jakiś cel w życiu, zwłaszcza że miejscowe damy oświadczyły: „Córka Griersona nigdy nie będzie myślała poważnie o Jankesie, i to robotniku.” A starsi ludzie mówili, że nawet rozpacz i żałoba nie jest powodem, by prawdziwa dama zapomniała o zasadzie *noblesse oblige*, tylko że nie nazywali tego *noblesse oblige*. Po prostu mówili: „Biedna Emilia, powinna się nią zająć rodzina.” Panna Emilia miała jakichś dalszych krewnych w Alabamie, ale jej ojciec już przed wielu laty pokłócił się z nimi przy podziale majątku starej lady Wyatt, wariatki, i obie rodziny nie utrzymywały od tego czasu żadnych stosunków. Nawet nie przyjechał nikt na pogrzeb ojca panny Emilii.

I jak tylko ludzie zaczęli mówić: „Biedna Emilia”, zaczęły się i plotki. „Naprawdę?”, pytali jedni drugich. „Oczywiście. Cóż innego, jak...” – kończyli zasłaniając twarze dłońmi i szeleściły sztywne jedwabie za żaluzjami zapuszczonymi przed południowym słońcem, w którym przejeżdżał powozik zaprzężony w parę dobranych kasztanków. „Biedna Emilia.”

Panna Emilia wysoko podnosiła głowę nawet wtedy, gdy już wszyscy uwierzyli, że nisko upadła. Wydawało się, że spodziewa się szacunku przysługującego ostatniej z rodu Griersonów i może jeszcze czegoś więcej. A może przez zstąpienie na ziemię pragnęła wzmocnić pancerz swojej wyższości. Tak jak wtedy, gdy kupowała truciznę na szczury, arsenik. Było to w rok potem, jak zaczęto mówić o „biednej Emilii”, a podczas wizyty dwu jej kuzynek.

– Proszę o truciznę – zwróciła się do aptekarza. Miała wtedy nieco ponad trzydzieści lat, nadal była szczupłą, może nawet szczuplejsza niż zwykle, czarne oczy spoglądały zimno, z pogardą, na skroniach i wokół oczu rysowały się linie zmarszczek. – Potrzebna mi jest trucizna – powtórzyła.

– Służę, panno Emilio – odparł aptekarz. – Ale jaka trucizna jest pani potrzebna? Na szczury? Polecam...

– Najlepsza, jaką pan ma. Nie obchodzi mnie rodzaj.

Aptekarz wymienił kilka gatunków.

– Zabiją nawet słonia. Ale pani potrzebna jest pewno...

– Arsenik. Czy to dobra trucizna?

– Arszenik, czy dobra?... Świetna, proszę pani, ale pani potrzebuje pewno...

– Właśnie arszenik.

Aptekarz spojrział na nią uważnie. Panna Emilia patrzyła na niego wyprostowana, sztywna.

– Służę pani – powiedział aptekarz – skoro pani sobie życzy. Ale zgodnie z przepisami muszę wiedzieć, do czego to pani potrzebne.

Panna Emilia milczała. Uniosła głowę i patrzyła wysokiemu mężczyźnie prosto w oczy. Wreszcie aptekarz odwrócił się, wyszedł do składu i zapakował arszenik. Mały posługacz Murzyn przyniósł jej paczkę, aptekarz już się nie pojawił. Kiedy rozpakowała ją w domu, na pudełku poniżej trupiej główki i piszczele widniał napis: „Na szczury.”

#### IV

Następnego dnia wszyscy powtarzaliśmy: „Ona się otruje!” I mówiliśmy: „Tak chyba dla niej najlepiej.” Kiedy zaczęto ją widywać z Homerem Barronem, twierdziliśmy: „Ona za niego wyjdzie.” Potem zmieniliśmy zdanie: „Jeszcze go może na to namówi”, twierdziliśmy, ponieważ Homer odezwał się kiedyś (lubił towarzystwo mężczyzn i pił często z młodzieżą w Klubie Łosi), że nie należy do ludzi skorych do żeniaczki. Później, stojąc za opuszczonymi żaluzjami, szeptaliśmy: „Biedna Emilia”, kiedy w niedzielne popołudnie mijał nasze okna lakierowany powozik. Panna Emilia trzymała wysoko głowę, a Homer Barron w przekrzywionym kapeluszu, z cygarem między zębami, w żółtych rękawiczkach, ze szpicrutą – powoził.

Potem niektóre damy zaczęły mówić, że to hańba dla całego miasta i zły przykład dla młodzieży. Mężczyźni nie chcieli się do tego mieszać, ale damy zmusiły pastora baptystów (rodzina panny Emilii należała do Kościoła Episkopalnego), aby udał się w tej sprawie do panny Emilii. Pastor nigdy nie powtórzył, co zaszło podczas rozmowy, ale stanowczo odmówił dalszej interwencji. Następnego niedzieli para pojawiła się znowu na ulicach miasteczka, a w poniedziałek żona pastora napisała do krewnych panny Emilii w Alabamie.

Panna Emilia po raz drugi gościła więc krewnych pod swoim dachem, a myśmy niecierpliwie oczekiwali rozwoju wypadków. Z początku żaden rozwój nie następował. Potem nabraliśmy pewności, że oni się pobiorą. Powiedziano nam o wizycie panny Emilii u jubilera, u którego zamówiła męski komplet toaletowy w srebrze i z monogramem H. B. na każdej sztuce. W dwa dni później dowiedzieliśmy się, że kupiła ubranie męskie, koszule, skarpetki, buty, kapelusz, a także nocną koszulę, stwierdziliśmy więc: „Pobrali się.” I właściwie byliśmy zadowoleni, ponieważ obie kuzynki okazały się bardziej zaciętymi Griersonami niż panna Emilia.

Może właśnie dlatego nie zdziwiliśmy się też bardzo, kiedy Homer Barron (roboty

uliczne niedawno się skończyły) zniknął. Trochę byliśmy rozczarowani, że zerwanie nie odbyło się na oczach całego miasteczka, z drugiej strony podejrzewaliśmy, że może Barron wyjechał przygotować gdzieś dom na przyjazd panny Emilii, dając jej szansę pozbycia się obu kuzynek (w tym okresie to już był powszechny spisek i wszyscy staliśmy po stronie panny Emilii w jej walce z kuzynkami). I rzeczywiście po tygodniu obie wyjechały. Tak jak się spodziewaliśmy, po trzech dniach wrócił do miasteczka Homer Barron. Któryś z sąsiadów widział, jak służący Murzyn wpuszczał go wieczorem kuchennym wejściem.

Potem już nikt nigdy nie widział Homera Barrona. A przez pewien czas również i panny Emilii. Służący Murzyn chodził z koszykiem po sprawunki, ale frontowe drzwi pozostawały zamknięte. Czasami widywaliśmy dumną sylwetkę panny Emilii w którymś z okien, tak jak na przykład owej nocy, kiedy sypano dokoła domu wapno, ale przez blisko sześć miesięcy nie wyszła ani razu na ulicę. Zgadaliśmy się, że w tej sytuacji trudno się po niej spodziewać innego zachowania. Tak, to chyba była jedna z cech jej ojca, który tyle razy podcinał nadzieję tej kobiety, cecha zbyt żywotna, by mogła całkowicie zniknąć – zemrzeć wraz z nim.

Kiedy wreszcie znowu ujrzeliśmy pannę Emilię, była już tęga i zaczęły siwieć jej włosy. Siwiały coraz bardziej w ciągu następnych paru lat, aż wreszcie nabrały stalowoszarego odcienia i takie już pozostały. Do chwili jej śmierci (umarła w wieku siedemdziesięciu czterech lat) zachowały tę żywą barwę zaśniedziałego srebra jak włosy człowieka bardzo czynnego.

Od tamtych czasów frontowe drzwi nigdy się nie otwierały z wyjątkiem okresu siedmiu czy ośmiu lat w czterdziestych latach życia panny Emilii, gdy udzielała lekcji malowania na porcelanie. W jednym z pokoi na parterze urządziła studio, dokąd córki i wnuczki pokolenia pułkownika Sartorisa przychodziły z regularnością i nabożeństwem, z jakim uczęszcza się na niedzielne msze i kładzie dwadzieścia pięć centów na tacę. Wtedy właśnie darowano jej podatki.

Potem objęło władzę nowe pokolenie i w jego duchu zaczęły się kształtować losy miasteczka. Uczennice dorastały, przestawały przychodzić na lekcje malowania i swoich dzieci nie przysyłały już z pudełkami farb i trudnymi do używania pędzelkami, i obrazkami wyciętymi z kobiecych pism. Drzwi frontowe zamknęły się za ostatnią uczennicą i pozostały zamknięte na zawsze. Kiedy miasto zorganizowało wreszcie bezpłatne doręczanie listów, tylko panna Emilia nie pozwoliła przybić nad swoimi drzwiami numerka i obok skrzynki do listów. Odmówiła nawet dyskusji na ten temat.

Widzieliśmy, jak służący Murzyn siwieje z dnia na dzień, z miesiąca na miesiąc i z roku na rok, stale chodząc po zakupy ze swoim koszykiem. Każdego roku w grudniu wysyłaliśmy jej nakaz podatkowy, który nieodmiennie, bez najmniejszego komentarza, znajdowaliśmy po tygodniu wśród zwrotów. Od czasu do czasu pokazywała się w jednym z parterowych okien – najwidoczniej pokoje na piętrze nie były używane – przypominając

nam rzeźbione popiersie jakiegoś bożka. Nigdy nie widzieliśmy, czy ona nas widzi, czy na nas patrzy. I tak przetrwała parę następnych pokoleń – bliska, związana z miastem, niezgłębiona, drażniąc naszą ciekawość, niewzruszona.

Aż wreszcie umarła. Najpierw zachorowała w tym domu pełnym cieni i pyłu lat, dogłębiana wyłącznie przez dziecienniałego Murzyna. Nawet nie wiedzieliśmy, że była chora. Już dawno zrezygnowaliśmy z dowiedzenia się czegokolwiek od jej służącego. Nie rozmawiał z nikim, prawdopodobnie nie rozmawiał nawet ze swoją panią, gdyż głos miał ochrypły i jakby pozbawiony mocy.

Umarła w jednym z parterowych pokoi, w wielkim orzechowym łóżu z baldachimem, siwa głowa opadła na poduszkę poźółkłą i spleśniałą ze starości i braku słońca.

## V

Murzyn otworzył drzwi pierwszym kobietom, które przysły na wiadomość o śmierci panny Emilii, i wprowadził je do środka. Weszły rozmawiając świszczącym szeptem i rzucając dokoła szybkie spojrzenia. Potem Murzyn zniknął. Wyszedł kuchennymi drzwiami i już go więcej nikt nigdy nie widział.

Przyjechały natychmiast obie kuzynki z Alabamy. Pogrzeb odbył się następnego dnia. Całe miasto przyszło, aby po raz ostatni zobaczyć pannę Emilię pod płaszczem kwiatów. Za trumną wisiał jakby w głębokiej zadumie portret w ołówku, portret jej ojca, na ganku i na trawniku stały jak niesamowite zjawy rozszepowane kobiety i starzy mężczyźni – niektórzy mieli jeszcze na sobie wytarte mundury konfederackie – i rozmawiali o pannie Emilii, jakby była ich rówieśnicą, pewni, że z nią niegdyś tańczyli albo się do niej zalecali, mieszały im się fakty i czasy, jak zawsze starym ludziom, dla których przeszłość nie jest zbiegającą się na horyzoncie drogą, ale szerokim polem, na które nigdy nie pada śnieg, a od którego byli obecnie odgradzeni wężutką szyjką ostatniego dziesiątka lat.

Zdążyliśmy się już dowiedzieć, że na piętrze jest pokój, do którego nikt nie zaglądał od czterdziestu lat i do którego trzeba będzie wyważyć drzwi. Z tym jednak czekano, aż panna Emilia zostanie po chrześcijańsku pogrzebana.

Wstrząs towarzyszący wyważaniu drzwi nappełnił cały pokój gęstym pyłem. Delikatny drażniący nozdrza grobowy osad leżał na wszystkim, co znajdowało się w tym pokoju urządzone jak sypialnia małżonków: na wyblakłych różowych zasłonkach, na okapturzonych czerwonymi abażurami lampach, na toaletce, na stojących w szeregu kryształowych flakonach i męskich przyborach toaletowych ze szerniałego srebra, tak szerniałego, że nie widać było monogramów. Na toaletce także leżał krawat i kołnierzyk, jakby przed chwilą zdjęte. Gdy ktoś podniósł kołnierzyk, na szkle został ciemny

półksiężyc. Na krześle wisiało ubranie porządnie przewieszzone, a pod krzesłem stała para butów i leżały niedbale rzucone skarpetki.

Mężczyzna leżał na łóżku.

Długo staliśmy patrząc na głęboki bezcielesny uśmiech. Najwidoczniej niegdyś to ciało znajdowało się w miłosnym uścisku, ale teraz długi sen, który potrafi przetrwać miłość, a nawet i wyraz miłości, zdradził je i zmazał przeszłość. To, co pozostało z mężczyzny, zgniło pod resztkami nocnej koszuli, połączyło się w jedną całość z łóżkiem, na którym spoczywało. Wszystko wraz z leżącą obok poduszką pokryte było równą warstwą delikatnego, zacierającego szczegóły pyłu.

Dopiero wtedy zauważyliśmy, że na drugiej poduszce znajduje się odcisk głowy. Któryś z nas podniósł coś z poduszki. Pochyliwszy głowy, wdychając bezbarwny suchy i gorzki pył, zobaczyliśmy długi kosmyk stalowoszarych włosów.

*Przełożył  
Jan Zakrzewski*

# SUCHY WRZESIEŃ

## I

W płonąącym krwawo wrześniowym wieczorze, po sześćdziesięciu bezdeszczowych dniach, buchnęła jasno jak ogień w suchej trawie plotka, opowieść, nie wiem, jak to nazwać. Coś o panie Minnie Cooper i o Murzynie. Jedni są zawsze atakowani, obrzucani błotem, zastraszeni; ci inni natomiast zebrali się tego właśnie wieczoru w sobotę u fryzjera, gdzie po suficie wędrowało skrzydło wentylatora nie odświeżając wcale wysuszonego powietrza, nawracającymi falami częstując ludzi zapachem starej brylantyny i weżetali, zapachem ich własnych zepsutych oddechów, a wszyscy doskonale znali wszystkie szczegóły.

– Tylko że to nie był Will Mayes – powiedział fryzjer, mężczyzna w średnim wieku, chudy, o włosach barwy piasku i łagodnej twarzy, który właśnie golił klienta. – Ja znam Willa Mayesa. To dobry czarnuch. I wiem też coś niecoś o panie Minnie Cooper.

– Co wiesz? – powiedział drugi fryzjer.

– Co za jedna? Młoda? – spytał klient.

– Nie – odparł fryzjer. – Pewnie około czterdziestki. Panna. Dlatego nie wierzę...

– Wierzyć! Tu nie ma w co wierzyć! – powiedział barczysty młodzieniec w przepoconej jedwabnej koszuli. – A jeśli już wierzyć, to przede wszystkim słowu białej kobiety, a nie czarnuchowi.

– A ja nie wierzę, żeby to był Will Mayes – upierał się fryzjer. – Znam Willa Mayesa.

– No to może wiesz, kto to zrobił. Może już go ukryłeś i wysłałeś z miasta, ty taki owaki kochanku Murzynów.

– Nie wierzę, żeby w ogóle ktoś to zrobił. Nie wierzę, że w ogóle cokolwiek zaszło. Przecież sami wiecie, panowie, że tym paniom, co to starzeją się bez męża, przychodzą do głowy różne pomysły...

– Ładny z ciebie biały, nie ma co mówić – powiedział klient. I niespokojnie poruszył się pod prześcieradłem.

Młodzieniec zerwał się na równe nogi.

– Więc twierdzisz, że biała kobieta skłamała?

Fryzjer trzymał brzytwę nad twarzą klienta, który unosił się na rękach, prawie wstał, i spojrzał w stronę młodzieńca.

– Bo to ta cholerna pogoda – powiedział ktoś inny. – W taką pogodę człowiek do wszystkiego jest zdolny. Na wszystkich by się rzucał. Nawet i na nią...

Nikt się nie śmiał. Fryzjer powiedział z łagodnym uporem:

– Nikogo o nic nie oskarżam. Wiem tylko i wy wszyscy wiecie, że kobieta, która nigdy...

– Przeklęty murzyński pachółku – powtórzył młodzieniec.

– Zamknij się, Butch – poradził ktoś. – Mamy czas. Dowiemy się szczegółów i będzie wiadomo, co robić.

– Dowiemy się szczegółów! Czego się jeszcze dowiemy?! – zawołał młodzieniec. – Szczegóły! Ba! Ja...

– Ty jesteś porządny biały – powiedział klient. – Prawda? – Z namydloną brodą wyglądał jak „bohater pustyni” na dodatku filmowym. – Powiedz im, no powiedz, co się w takim wypadku robi – zwrócił się do młodzieńca. – I jeśli nie znajdzie się żaden porządny biały w tym miasteczku, to możesz liczyć na mnie, chociaż jestem tylko przejezdnym komiwojażerem.

– Macie rację, chłopaki – powiedział fryzjer. – Szczegóły! Najpierw trzeba ustalić szczegółowo fakty. Ja znam Willa Mayesa.

– Cholera! – wykrzyknął młodzieniec. – I pomyśleć, że biały w naszym mieście...

– Zamknij się, Butch – odezwał się drugi klient. – Mamy czas.

Pierwszy klient poruszył się jak podrzucony sprężyną. Spojrzał na sąsiada.

– Mówisz, że można znaleźć usprawiedliwienie dla Murzyna, który zhańbił białą kobietę? Będziesz mi tu gadał takie głupstwa i twierdził, że jesteś białym, zgadzając się na podobne rzeczy? Lepiej wracaj sobie na Północ, skąd przyjechałeś. Na Południu nie potrzeba nam takich jak ty.

– Na jaką Północ? – spytał tamten. – Urodziłem się i wychowałem tutaj.

– Cholera! – krzyknął młodzieniec. Rozejrzał się dokoła, twarz miał ściągniętą, spojrzenie zdumione, jakby nie mógł sobie przypomnieć, co chciał powiedzieć czy też zrobić. Przeciągnął rękawem po spoczonej twarzy. – Niech to cholera, nie pozwolę, żeby biała kobieta...

– Powiedz im, kolego, co trzeba zrobić! – podjudzał go komiwojażer. – Cholera, jeśli oni...

Drzwi wejściowe otworzyły się z hałasem, W progu stanął mężczyzna, rozstawił szeroko nogi; przyciężka sylwetka wyglądała swobodnie, białą koszulę miał rozchełstaną na szyi, na głowie filcowy kapelusz. Gorącym, wyzywającym spojrzeniem obrzucił obecnych. Nazywał się McLendon. Dowodził frontowym oddziałem we Francji i otrzymał

odznaczenie za męstwo.

– No i co? – spytał. – Siedzicie tu i pozwalacie, żeby czarny sukinsyn gwałcił białą kobietę na ulicach Jefferson?

Butch skoczył ku niemu. Jedwab koszuli oblepiał mu nabite mięśnie ramion. Pod pachami rozlewały się ciemne półksiężycy potu. – Właśnie im to przez cały czas mówię! Właśnie próbuję im...

– A czy to prawda? – spytał ktoś trzeci. – To nie pierwsza historia, jaką ona na ten temat opowiada, jak słusznie mówi Hawkshaw. Kiedyś skarżyła się, że jakiś mężczyzna chodzi po dachu kuchni i podgląda, jak ona się rozbiera. Rok temu, nie?

– Co? – wykrzyknął klient. – Co znowu takiego? – Fryzjer delikatnie wpychał go z powrotem w fotel. Klient oparł plecy o fotel, głowę dalej unosił, fryzjer dalej go dociskał.

McLendon rzucił się na trzeciego rozmówcę:

– Więc co z tego? Co to ma wspólnego z obecną historią? Więc pozwolisz, żeby czarnemu sukinsynowi uszło na sucho i żeby wreszcie ktoś naprawdę to zrobił?

– Przez cały czas im to tłumaczę! – wrzasnął Butch. Zaczął kłąć długo, nieprzerwanie, bez składu i celu.

– Spokojnie, spokojnie, panowie – odezwał się czwarty klient. – Nie tak głośno. Nie rozmawiajcie tak głośno.

– Racja – zgodził się McLendon. – W ogóle gadanie tu niepotrzebne. Ja już powiedziałem, co mam do powiedzenia. Kto ze mną? – Stał mocno na rozstawionych piętach, przechylony do tyłu, świdrującym wzrokiem przesuwając się po obecnych.

Fryzjer docisnął do oparcia twarz komiwojażera, nad twarzą zawiesił nisko brzytwę.

– A ja wam mówię, sprawdźcie najpierw szczegóły. Ja znam Willa Mayesa. To nie on. Wezwijcie szeryfa, niech przeprowadzi dochodzenie.

McLendon rozwścieczony skoczył ku niemu, twarz miał konwulsyjnie wykrzywioną. Fryzjer nie odwrócił wzroku. Patrzyli na siebie jak ludzie obcy, ludzie różnych ras. Pozostali fryzjerzy przestali strzyc i golić, skamienieli nad ubezwłasnowolnionymi klientami.

– I ty wierzysz słowu Murzyna, a nie słowu białej kobiety? – spytał McLendon. – Ty śmierdzący kochanku Murzynów!

Trzeci rozmówca wstał i chwycił McLendona za ramię. Też był niegdyś żołnierzem.

– Spokojnie, spokojnie! Zastanówmy się chwilę. Kto właściwie wie, jak to dokładnie było?

– Nic się nie będę zastanawiał! – McLendon szarpnął ramię. – Kto ze mną, idziemy!

A ci, co nie są... – Obrzucił fryzjernię ponurym wzrokiem ocierając jednocześnie rękawem twarz.

Trzej mężczyźni wstali. Komiwojażer uniósł się w fotelu.

– Masz – powiedział zrywając z szyi prześcieradło. – Zabieraj tę szmatę. Idę z nim. Jestem tu przejazdem, ale, na Boga, jeśli nasze matki, żony i siostry... – Przetarł białym gałganem twarz i gałgan rzucił na ziemię.

McLendon rozkraczony stał pośrodku fryzjerni i kłął. Jeszcze ktoś wstał i podszedł do niego. Inni siedzieli bardzo niepewni, skrzępowani, unikali wzajemnie swojego wzroku; pojedynczo zaczęli wstawać i podchodzić do McLendona.

Fryzjer podniósł prześcieradło z ziemi. Składał je równo.

– Chłopaki, nie róbcie tego, Will Mayes nie jest winien. Ja wiem.

– Jazda, idziemy! – zawołał McLendon. Odwrócił się. Z tylnej kieszeni wyglądała mu kolba ciężkiego pistoletu automatycznego. Wyszli. Drzwi za nimi trzasnęły wstrząsając martwym powietrzem.

Fryzjer szybko, ale dokładnie wytarł brzytwę, schował ją, pobiegł w głąb fryzjerni, z wieszaka wziął kapelusz.

– Wrócę jak najszybciej – powiedział do kolegów. – Nie mogę pozwolić, żeby...

Wybiegł, pozostali dwaj fryzjerzy poszli za nim do drzwi, chwycili je, gdy z impetem wracały na sprężynowych zawiasach, wychylili głowy na ulicę i długo patrzyli za oddalającym się. Powietrze było martwe i mdłe, dawało metaliczny posmak na czubku języka.

– I co on może zrobić? – powiedział pierwszy. Drugi fryzjer zdyszczonym szeptem powtarzał: „Jezu Chryste, Jezu Chryste.” – Tak samo jak nie chciałbym być w skórze Willa Mayesa, nie chciałbym być w skórze Hawkshawa, kiedy rozzłości McLendona.

– Jezu Chryste, Jezu Chryste! – powiedział drugi fryzjer.

– Myślisz, że on jej to naprawdę zrobił? – spytał pierwszy.

## II

Miała trzydzieści osiem czy trzydzieści dziewięć lat. Mieszkała w małym drewnianym domku z matką inwalidką i ciotką, chudą, niezmordowaną kobietą o niezdrowej cerze; codziennie rano pomiędzy dziesiątą i jedenastą wychodziła na ganek w obszytym koronką nocnym czepku, siadała i do południa tak siedziała wymachując nogami. Po obiedzie na chwilę się kładła, póki popołudnie nie ostygło, potem w jednej z kilku nowych woalowych sukien, które sprawiała sobie każdego lata, szła do miasta, gdzie spędzała resztę dnia spacerując po sklepach w towarzystwie innych pań przeglądających i

obmacujących towary, kłócących się o ceny zimnymi skrzekliwymi głosami, chociaż nie miały najmniejszego zamiaru nic kupować.

Należała do ludzi dobrze sytuowanych – nie najlepszego towarzystwa Jefferson, ale dosyć dobrego – i nadal tkwiła po korzystniejszej stronie granicy przeciętnej urody, mając obycie i strój wesołe, trochę sztuczne. Lata młodości obdarzyły ją sylwetką delikatną, nieomal anemiczną, i pewną odmianą suchej żywotności, co przez pewien czas umożliwiało jej utrzymanie się na samym szczycie drabiny towarzyskiej, na przykład w towarzyskim życiu gimnazjalnym czy młodzieży miejscowej parafii, z drugiej strony pozwalając na dziecinny stosunek wobec różnic klasowych.

Najpóźniej ze wszystkich zdała sobie sprawę, że traci grunt pod nogami; przyjaciółki, od których była bystrzejsza i przy których płonęła jaśniejszym ogniem, wcześniej zaczęły szczyścić się posiadaniem przyjaciela i w celu rywalizacji rozwinęły swe kobiece talenty. I wtedy właśnie na jej twarzy pojawił się ów wyraz sztucznej zmęczonej wesołości. Obnosiła go po przyjęciach i zebraniach wśród cieniów werand i spalonych trawników, obnosiła go jak maskę albo sztandar, a w oczach miała zdumione, niechętne wyznanie nagiej prawdy. Któregoś wieczoru podczas jednego z przyjęć usłyszała rozmowę młodego mężczyzny i dwóch koleżanek. Nigdy już więcej nie przyjęła niczyjego zaproszenia.

Obserwowała dziewczęta, z którymi rosła, widziała, jak szły do ślubu, zakładały rodziny, rodziły dzieci; do niej nie zbliżył się w poważnych zamiarach żaden mężczyzna, aż wreszcie dzieci jej koleżanek zaczęły ją nazywać ciocią, obecnie nazywały ją tak od wielu lat, a matki opowiadały im z ożywieniem, jakie to powodzenie miała ciocia Minnie, kiedy była młodą dziewczyną. Potem zaczęto ją widywać na niedzielnych popołudniowych przejażdżkach z kasjerem banku, wdowcem lat około czterdziestu – wątpliwej renomy mężczyzną, zawsze lekko pachnącym fryzjernią i whisky. Był właścicielem pierwszego samochodu w mieście, pojazdu czarnej barwy. Minnie była posiadaczką pierwszego samochodowego kapelusza i woalki, jakie zobaczyło miasto. Wtedy zaczęto mówić: „Biedna Minnie.” „W jej wieku powinna wiedzieć, co robi” – mówili inni. Wtedy też poprosiła dawne koleżanki szkolne, aby ich dzieci nazywały ją kuzynką, a nie ciotką.

Minęło już dwanaście lat, od kiedy opinia publiczna zaliczyła ją do klasy rozpustnic, a osiem, od kiedy kasjer banku został przeniesiony do Memphis i obecnie przyjeżdżał do Jefferson co roku na jeden dzień tylko w Boże Narodzenie, spędzając go na tradycyjnym obiedzie kawalerów w klubie myśliwskim nad rzeką. Zza firanek niektórych mieszkań ludzie podglądali szczegóły tej uroczystości, a w drugi dzień świąt, po południu, kiedy odwiedza się przyjaciół, opowiadali jej o nim, o tym, jak on świetnie się trzyma i jak podobno świetnie prosperuje. Jednocześnie obserwowali ukradkiem błyszczącym wzrokiem jej zmęczoną, nienasyconą twarz. Przeważnie o tej porze oddech jej pachniał whisky. Whisky dostarczał jej młodzieniec zatrudniony w drogerii. „Owszem, kupuję

whisky dla starej pani. Ma chyba prawo trochę się zabawić, nie?”

Matka jej nie opuszczała już wcale pokoju, wysuszona ciotka rządziła domem. Na tym tle jaskrawe suknie Minnie i jej puste, leniwe dni sprawiały wrażenie obrazka epickiego. Wieczorami wychodziła teraz tylko z sąsiadkami do kina. Każdego popołudnia wkładała jedną z nowych sukien i szła sama do miasta, gdzie jej młode „kuzynki” spacerowały do późnych godzin, z grzywkami delikatnych jedwabistych włosów, nieporadnie wymachując rękami i dość paradnie poruszając biodrami, tuląc się jedna do drugiej albo pokrzykując, albo chichocząc z chłopakami w drogerii, kiedy ona przechodziła i szła wzdłuż identycznych witryn sklepowych, w drzwiach których siedzący lub podpierający belki futryn mężczyźni nawet nie powiedli za nią oczami.

### III

Fryzjer poszedł szybkim krokiem w górę ulicy, gdzie paliły się rzadkie światła, a wokół nich krążyły ćmy: światła błyszcząły zimno, bezsensownie zawieszane w pozbawionym życia powietrzu. Dzień zgasł w oparach pyłu; nad ciemnym rynkiem oblepionym warstwą kurzu niebo było czyste jak wnętrze mosiężnego dzwonu. Poniżej na wschodzie wypływała tarcza wypolerowanego księżycyca.

Gdy ich dogonił, wsiadali właśnie do samochodu stojącego w bocznej uliczce. McLendon wygiął byczy kark, wyglądając spod dachu samochodu.

– Zmieniłeś zdanie, co? – spytał. – Bardzo dobrze. Boże drogi, jak jutro dowiedzą się w mieście, coś ty dzisiaj gadał...

– Dobra, dobra – powiedział drugi eks-żołnierz. – Hawkshaw to porządny facet. No chodź, Hawkshaw, ładuj się.

– Will Mayes tego nie zrobił, chłopaki! – powiedział fryzjer. – Jeśli w ogóle ktoś to zrobił. Przecież wszyscy dobrze wiecie, równie dobrze jak ja, że nie ma drugiego miasta, gdzie by czarni byli tacy spokojni jak u nas. I wiecie, że kobieta sobie czasem coś wykombinuje, jeśli idzie o mężczyznę, choć zupełnie nie ma powodu, a w każdym razie panna Minnie...

– Oczywiście, oczywiście – powiedział żołnierz. – Chcemy tylko z nim pogadać. Tylko pogadać.

– Gdzie pogadać! – wyrwał się Butch. – Jak skończymy z sukini...

– Na miłość boską, zamknij się – powiedział żołnierz. – Chcesz, żeby całe miasto...

– A niech wiedzą! – powiedział McLendon. – Niech wiedzą wszyscy tacy owacy, którzy pozwalają, żeby biała kobieta...

– Jedźmy, już jedźmy. O, jest drugi wóz.

Drugi samochód wypadł klekocząc z chmury kurzu w wylocie uliczki. McLendon zapuścił motor i pojechał pierwszy. Kurz zwisał jak mgła nad ulicą. Lampy rozsiewały mętne światło, jakby były pogrążone w wodzie. Wyjechali za miasto.

Porznięta koleinami droga biegła kręto i nad nią unosił się pył, pył unosił się nad całą ziemią. Na tle nieba wyrosła czarna sylwetka fabryki lodu, gdzie Murzyn Mayes był nocnym strażnikiem.

– Może lepiej tu staniemy? – zaproponował żołnierz.

McLendon nie odpowiedział. Wwindował wóz pod górę i ostro zahamował, światło reflektorów rozpląszczyło się na nagim murze.

– Słuchajcie, chłopaki – powiedział fryzjer. – Jeśli on tu jest, czy to nie dowód, że nic nie zrobił? Prawda? Gdyby to był on, to by uciekł. Przecież by tak zrobił! – Podjechał drugi samochód, stanął. McLendon wysiadł, Butch wyskoczył za nim. – Słuchajcie, chłopaki!... – powiedział fryzjer.

– Zgaście reflektory! – rozkazał McLendon.

Ogarnęła ich bezdenna, zatykająca dech czerń, otoczyła cisza, słyszeli tylko własne oddechy, nerwowe oddechy ludzi filtrujących powietrze z suchego kurzu, w którym żyli od dwóch miesięcy: potem usłyszeli skradające się kroki McLendona i Butcha, a po chwili głos McLendona:

– Will!.. Will!

Na wschodzie rozlewała się coraz jaśniej krwawa plama księżycy, który zawisł nad panoramą gór, osrebrzył powietrze, osrebrzył pył, ludziom wydawało się teraz, że oddychają, że żyją w misie pełnej rtęci. Milczały ptaki i nocne owady, milczał świat, słyhać było tylko oddechy i lekkie trzaski stygnących części motorów samochodowych. Kiedy dotykali się w ciemnościach, oblewał ich suchy pot, gdyż nie mieli już w sobie wilgoci.

– Jezu! – odezwał się któryś. – Chodźmy stąd.

Ale siedzieli w samochodach, póki nieokreślone dźwięki w ciemności przed nimi nie nabrzmiały wyrazem; wtedy wyszli na drogę i dalej czekali w napięciu zastygłej nocy. Nowy odgłos: uderzenie, głośny wydech i wymamrotane pod nosem przez McLendona przekleństwo. Stali jeszcze chwilę, potem rzucili się biegiem przed siebie. Pędzili w zwartej grupie, jakby kogoś gonili.

– Zabij go, zabij sukinsyna! – rozległ się szept. McLendon ich zatrzymał.

– Nie tutaj – powiedział. – Wsadźcie go do samochodu.

– Zabić czarnego sukinsyna – mruknął ktoś.

Powlekli Murzyna do samochodu. Czekał tam fryzjer. Czuł, jak oblewa go pot, i

wiedział, że za chwilę zwymiotuje.

– Co się stało, kapitanie? – spytał Murzyn. – Ja nic nie zrobiłem. Na Boga, panie John!

Ktoś wyciągnął z kieszeni kajdanki. Kręcili się zaaferowani dokoła Murzyna jak dokoła jakiegoś słupa, cisi, skupieni, spokojni, deptali jedni drugim po piętach. Murzyn dał sobie założyć kajdanki, przewracając szybko wzrok z jednej niewyraźnej twarzy na drugą.

– Kto tu jest, kapitanie? – spytał pochylając twarz, żeby lepiej ich widzieć, pochylając się tak nisko, że czuli jego oddech i zapach spoconej skóry. Wymienił parę nazwisk. – Co wy mówicie, że co ja zrobiłem, panie John?

McLendon jednym szarpnięciem otworzył drzwiczki samochodu.

– Wsiadaj! – rozkazał.

Murzyn się nie ruszył.

– Co wy chcecie ze mną zrobić, panie John? Ja nic nie zrobiłem. Biali ludzie! Panie kapitanie! Ja nic nie zrobiłem! Przysięgam przed Panem Bogiem! – Wymienił jeszcze jedno nazwisko.

– Wsiadaj! – powtórzył McLendon i uderzył Murzyna.

Pozostali głęboko odetchnęli, odetchnęli sucho, świszcząco i też zaczęli go bić, gdzie popadło. Murzyn się rzucił i przeklinał ich, i skutymi rękami walił ich po twarzach, i uderzył fryzjera w usta, i fryzjer też go uderzył.

– Do samochodu z nim! – powiedział McLendon.

Zaczęli go popychać. Przestał walczyć, wszedł do samochodu i usiadł spokojnie, pozostali zajęli swoje miejsca.

Murzyn siedział między fryzjerem i żołnierzem, podciągnął nogi, siedział prosto i sztywno, żeby ich nie dotknąć, jego oczy wędrowały ciągle od twarzy do twarzy. Butch stanął na stopniu. Samochód ruszył. Fryzjer przyłożył chusteczkę do rozbitej wargi.

– Co ci się stało, Hawk? – spytał żołnierz.

– Nic – odpowiedział fryzjer.

Wjechali z powrotem na główną drogę i skręcili w kierunku przeciwnym do miasta. Spod zasłony kurzu wypłynął drugi samochód. Zwiększyli szybkość zostawiając z tyłu ostatnie domy przedmieścia.

– Ale on śmierdzi, cholera! – powiedział żołnierz.

– Zaraz sobie z tym poradzimy – powiedział komiwojażer siedzący z przodu koło McLendona.

Butch jadący na stopniu kłął w gorący strumień powietrza. Fryzjer nagle się pochylił i dotknął ramienia McLendona.

– Chcę wysiąść, John!

– To sobie skacz, kochanku Murzynów! – odparł McLendon nie odwracając głowy. Prowadził wóz szybko. Za nimi płynęły jakby w powietrzu reflektory drugiego samochodu przebijając z trudem kurz. Wreszcie McLendon skręcił w wąską drożynę, zarośniętą, nie uczęszczaną. Prowadziła do opuszczonej cegielni – czerwonawe piece, czerwonawe wykopy pełne zielska i dzikiego wina, pułapki bezdenne. Pasiono tu bydło, póki pewnego dnia jednemu z farmerów nie zginął muł. I chociaż drągiem przeszukał wszystkie dziury, nawet nie sięgnął dna.

– John! – powtórzył fryzjer.

– Skacz sobie – poradził McLendon prowadząc wóz w koleinie.

Siedzący obok fryzjera Murzyn odezwał się:

– Panie Henry!

Fryzjer pochylił się do przodu. Wąski tunel zarośniętej drogi mijał ich szybko. To nie oni pędzili, a może oni – ostatni chłodny dech wymarłego pieca. Wóz przeskakiwał z koleiny w koleinę.

– Panie Henry! – powtórzył Murzyn.

Fryzjer zaczął z wściekłością szarpać za klamkę.

– Uważaj, ty! – krzyknął żołnierz, ale fryzjer kopniakiem otworzył już drzwi i wysunął się na stopień. Żołnierz sięgnął ku niemu ponad kolanami Murzyna próbując go schwycić, ale fryzjer skoczył. Samochód pojechał dalej z tą samą szybkością.

Pęd rzucił go z wielką siłą do rowu, w opylone zielsko. Pył wzniósł się nad nim chmurą, fryzjer leżał wśród wyschniętych, łamiących się z suchym szelestem łądyżek, leżał krztusząc się i wymiotując; przejechał drugi samochód i po chwili zamilkł odgłos jego motoru. Fryzjer wstał i pokuśtykał do głównej drogi, skręcił ku miastu otrzepując rękami ubranie. Księżyc dzwignął się już wyżej, wyostał wreszcie z pyłu ziemi, błyszczał jasno, a po pewnym czasie pod łuną rozbłysło wśród kurzu i miasto. Fryzjer szedł kulejąc. Usłyszał odgłos motorów, odbłask reflektorów narastał w ścianie kurzu za jego plecami, więc zszedł z drogi i siedział ukryty w zielsku, póki nie przejechały. Samochód McLendona był teraz drugi. Siedziały w nim cztery osoby, Butch nie jechał na stopniu.

Zniknęli, połknął ich kurz, wycie motorów ucichło. Tuman wzbitego przez nie pyłu jeszcze przez pewien czas wisiał nad ziemią, ale wkrótce utopił się w wiecznym pyłe. Fryzjer wyszedł z powrotem na drogę i pokuśtykał do miasta.

## IV

Kiedy tej soboty przebierała się wieczorem, czuła, że pali ją skóra. Ręce jej drżały, gdy zapinała haftki, w oczach błyszczała gorączka, włosy pod grzebieniem trzaskały sucho. Jeszcze się ubierała, gdy już przyszły po nią przyjaciółki, usiadły i czekały, gdy wkładała najcieńszą bieliznę i pończochy, i nową woalową suknię.

– Czujesz się na tyle dobrze, żeby dzisiaj wyjść? – spytały, a ich oczy też rzucały ciemne błyski. – Kiedy minie pierwszy szok, będziesz nam musiała dokładnie opowiedzieć, jak to było. Co on powiedział i co zrobił. Wszystko nam będziesz musiała opowiedzieć!

W dusznej ciemności, idąc w stronę rynku, odetchnęła głęboko jak pływak, który szykuje się do podwodnego skoku, przestała dygotać, wszystkie cztery szły wolno z powodu strasznego upału i ze względu na nią. Ale koło rynku znowu zaczęła się trząść, głowę trzymała podniesioną wysoko, dłonie przyciśnięte do boków, dokoła wirowały ciche głosy przyjaciółek, a w oczach ich migotały niezdrowe błyski.

Weszły na rynek – ona pośrodku małej grupki, delikatna sylwetka w nowej sukni. Trzęsa się coraz bardziej, stawiała kroki coraz wolniejsze tak jak dzieci objadające lody z patyka, głowę trzymała wysoko, błyszczące jasno oczy w zmęczonej oprawie twarzy, minęły hotel i gromadkę komiwojazerów bez marynarek, siedzących na krzesłach na skraju chodnika i wpatrzonych w nią. „To ta, widzicie! Ta w różowej sukni, pośrodku.” „To ona? I co zrobili z Murzynem? Wzięli go i?...” „Aha, jasne! Dobrze mu tak.” „Dobrze mu, co?” „Jasne. Przejechał się troszkę, co?” Potem drogeria, gdzie nawet młodzi ludzie podpierający drzwi uchyliłi kapeluszy i spojrzeniami towarzyszyli jej nogom i biodrom, gdy przechodziła.

Mijały uchylone kapelusze panów, mijały nagłe milczenie, głosy pełne szacunku, opiekuńcze głosy.

– Widzisz? – mówiły przyjaciółki. Ich głosy brzmiały jak westchnienia syczącej namiętności. – Nie ma ani jednego Murzyna na rynku. Ani jednego.

Podeszły pod kino – jakby wesołe miasteczko w miniaturze – ujrzały rozświetlony hall i kolorowe reprodukcje życia uchwycone w strasliwych i pięknych pozach. Zaczęły drzeć jej wargi. W mroku, kiedy zaczną wyświetlać film, wszystko będzie w porządku. Będzie mogła się śmiać długo, powoli, żeby nie zniszczyć całej radości zbyt szybko i zbyt wcześnie. Szła szybko między obróconymi ku niej twarzami, wśród cichego szeptu zdumienia, zajęła swoje zwykłe miejsce, z którego widziała przejście na tle srebrzystej poświaty, skąd wchodzili parami ludzie, parami wchodzili na jej tle.

Światła zgasły, zasrebrzył się ekran, potoczyło się celuloidowe życie, piękne, namiętne i smutne, ciągle jeszcze wchodzili na salę młodzi chłopcy i dziewczęta, pachnące dziewczęta, szeleszczące w półmroku, delikatne zgrabne pary, choć niezgrabne jeszcze,

szczupłe ciała, bosko młode, a za nimi wiła się srebrna bajka, nieuchronnie dążyła ku rozwiązaniu; zaczęła się śmiać, usiłując powstrzymać śmiech zachichotała na całe gardło. Obróciły się ku niej głowy. Śmiała się jeszcze wtedy, gdy przyjaciółki uniosły ją z fotela i wyprowadziły. Stała na skraju chodnika i śmiała się niskim, nienaturalnym głosem, póki nie przyjechała taksówka i przyjaciółki nie pomogły jej wsiąść.

Rozebrały ją z różowego woalu i cieniutkiej bielizny, i pończoch, położyły do łóżka, nałupały lodu, obłożyły nim skronie i posłały po doktora. Trudno go było znaleźć, więc dalej wokół niej skakały, podnieconymi głosami dzieliły się wrażeniami zmieniając lód i wachlując ją. Gdy okładały głowę nowym lodem, przestawała się śmiać i przez pewien czas leżała spokojnie, pojękując tylko z cicha. Ale potem śmiech wracał, wydobywał się z niej falami nieomal wrzasku.

– Szszszszszsz! Szszszszszsz! – mówiły zmieniając lód, gładząc jej włosy, szukając siwych pasemek. „Biedna dziewczyna!” A potem jedna do drugiej: – Jak sądzisz, on naprawdę to zrobił? – Oczy ich błyszczały cichym podnieceniem, namiętnością. – Szszszsz! Biedna dziewczyna! Biedna Minnie!

## V

Była północ, kiedy McLendon podjechał pod swój czysty nowy dom, czysty i świeży jak klatka na ptaki i prawie tak mały jak klatka, pomalowana niedawno zieloną i białą farbą. Zamknął garaż, wszedł po schodach na ganek, z ganku do domu. Żona wstała z krzesła stojącego koło lampy. McLendon rozkraczył się i patrzył na nią, póki nie spuściła wzroku.

– Spójrz, która godzina. – Podniósł rękę i wskazał na zegar. Stała przed nim ze spuszczoną głową, w ręku trzymała pismo. Była blada, znużona, wyczerpana. – Czy ci nie mówiłem, żebyś nie wysiadywała tak długo i nie czekała na mnie? Powtarzałem to sto razy.

– John – powiedziała. Odłożyła pismo.

Rozkraczony wlepił w nią rozpalone oczy w spoconej twarzy.

– Czy ci nie mówiłem?! – Podeszedł. Uniosła wtedy głowę. Chwycił ją za ramiona. Bezsilnie patrzyła na niego.

– Daj mi spokój, John, nie mogłam usnąć. Nie mogłam spać... Gorąco. W ogóle. Proszę cię, John, boli!

– Czy ci nie mówiłem?! – Puścił ją i półuderzył, półpchnął na krzesło. Pozostała na krześle i przyglądała się w milczeniu, gdy wychodził z pokoju.

Wyszedł przed dom zdzierając z siebie koszulę, zatrzymał się wreszcie w mrocznym kącie obudowanego ganku, koszulą otarł pot z twarzy, głowy i ramion, koszulę

odrzucił. Wyjął z tylnej kieszeni broń i położył ją na stoliku koło łóżka, usiadł na łóżku, zrzucił buty, wstał i zsunął spodnie. Znowu się spocił, schylił się i zaczął szukać koszuli. Znalazł ją i jeszcze raz wytarł całe ciało, oparł się o pokryte kurzem drzwi i ciężko oddychał. Nie istniał ruch, dźwięk, nie brzęczał żaden owad. Pod zimnym księżycem i zastygłymi gwiazdami leżał ciemny, porażony świat.

*Przełożył*

*Jan Zakrzewski*

# SŁOŃCE ZACHODZI

## I

Poniedziałek w Jefferson nie różni się od innych dni tygodnia. Dzisiaj ulice są brukowane, przedsiębiorstwo telefonów i elektrownia namiętnie wycinają dające cień drzewa – graby, klony, akacje i wiązy – aby mieć gdzie sadzić żelazne słupy oblepione gronami nadętych i niesamowitych bezkrwistych owoców z porcelany, w mieście jest wielka pralnia mechaniczna i w poniedziałek rano krzykliwe lakierowane furgonetki objeżdżają ulice i zabierają z domów węzełki brudów: brudy całego tygodnia pędzą niby zjawy w głębi samochodów przy akompaniamencie klaksonów i cichnącego wizgu opon na asfalcie, przypominającego darcie jedwabiu, a jeśli nawet według starego zwyczaju z niektórych domów bieliznę białych ludzi zabierają do prania Murzynki, to i one jeżdżą samochodami.

Ale piętnaście lat temu w poniedziałki rano ciche, pokryte kurzem cieniste ulice pełne były Murzynek, pewnie niosących na owiniętych chustami głowach węzły białej bielizny prawie tak wielkie jak bele bawełny. Od drzwi kuchennych domu białych państwa aż do ciemnej balii koło rudery w Zaułku Negrów potrafiły ani razu nie dotknąć związanych w prześcieradło brudów.

Nancy brała węzełek i umieszczała go na głowie, na węzełku kładła czarny słomkowy marynarski kapelusz, który nosiła zimą i latem. Nancy była wysoka, jej smutna twarz zapadała się lekko na policzkach tam, gdzie straciła zęby. Czasami szliśmy z nią kawałek ścieżką i potem przez pastwisko, żeby przyglądać się zawiniątku na głowie i kapeluszu, które nigdy nie podskakiwały ani się nie chwiały, nawet kiedy Nancy przechodziła przez rów albo płot. Gdy stawała na czworakach i czółgała się przez dziurę w płocie, głowę trzymała prosto, podniesioną, węzełek z bielizną ani drgnął, potem wstawiała i szła dalej.

Czasami mężowie praczek zabierali brudną bieliznę i odnosili ją po praniu, ale Juba nigdy nie robił tego za Nancy, nawet jeszcze przedtem, jak ojciec zabronił mu przychodzić do naszego domu, nawet wtedy, kiedy Dilsey była chora i Nancy przychodziła nam gotować.

Wtedy właśnie musieliśmy chodzić za pastwisko do domu Nancy, żeby ją ściągnąć do zrobienia śniadania. Zatrzymywaliśmy się nad rowem, bo ojciec zakazał nam zbliżać się do Juby – krępego Murzyna z blizną na twarzy po cięciu brzytwą – i rzucaliśmy kamieniami w dom Nancy, póki nie podeszła do drzwi, cała goła, i nie wytknęła głowy.

– Dlaczego rzucacie w dom? – pytała. – Dlaczego rzucacie, małe diabły?

– Tata mówi, żebyś przyszła i zrobiła śniadanie – odpowiadała Caddy. – Ojciec mówi, że już śniadanie spóźniło się pół godziny i żebyś zaraz szła.

– Żadne śniadanie – mruzczała Nancy. – Muszę spać i spać.

– Na pewno piłaś – twierdził Jason. – Tata mówi, że okropnie pijesz. Piłaś, Nancy?

– Kto tak mówi, kłamie! – oburzała się Nancy. – Muszę spać i spać. Żadne śniadanie.

Po chwili przestawaliśmy rzucać kamieniami i wracaliśmy do domu. Kiedy Nancy się wreszcie zjawiała, było już za późno, żeby iść do szkoły. Zawsze myśleliśmy, że Nancy jest taka zaspana po whisky. Myśleliśmy tak aż do dnia, kiedy ją drugi raz aresztowano i prowadzono do celi, i właśnie przechodził pan Stovall.

Pan Stovall był kasjerem w banku i starszym gminy baptystów, Nancy zaczęła wykrzykiwać:

– Kiedy mi zapłacisz, biały człowieku? Kiedy mi zapłacisz, biały człowieku? Ostatnie trzy razy nie zapłaciłeś ani centa...

Pan Stovall uderzył ją. Upadła, ale dalej powtarzała:

– Kiedy mi zapłacisz, biały człowieku? Ostatnie trzy razy nie dałeś ani centa... – i powtarzała, póki pan Stovall nie kopnął jej czubkiem buta w twarz. Szef porządku publicznego chwycił pana Stovalla. Nancy leżała na ulicy i śmiała się. Splunęła krwią i zębami i powtórzyła: – Ostatnie trzy razy nie zapłaciłeś ani centa.

Właśnie wtedy Nancy straciła zęby i przez cały dzień ludzie opowiadali o Nancy i panu Stovallu, i przez całą noc ci, którzy przechodzili koło aresztu, słyszeli krzyki i śpiewanie Nancy. Widzieli jej ręce zaciśnięte na kratkach okna i wielu stawało przy parkanie przysłuchując się temu śpiewaniu i strażnikowi, który próbował uciszyć Nancy. Ale Nancy nie dała się uciszyć i umilkła dopiero przed wschodem słońca – strażnik usłyszał jakieś drapanie i dudnienie, więc poszedł do celi i zobaczył, że Nancy powiesiła się na kracie okna. Strażnik powiedział, że to wszystko przez kokainę, a nie przez whisky, bo żaden Negr nie popełni samobójstwa, chyba że jest nafaszerowany kokainą, a Negr nafaszerowany kokainą przestaje być Negrem.

Strażnik odciął Nancy i doprowadził do przytomności. Potem ją zbił na kwaśne jabłko. Nancy powiesiła się na sukience. Dobrze wszystko obmyśliła, tylko że kiedy ją aresztowali, nie miała na sobie nic oprócz sukienki i nie miała czym związać sobie rąk, więc jak się powiesiła, to ręce nie chciały puścić się parapetu okna. Dlatego strażnik usłyszał to drapanie i dudnienie i zdążył pobiec na górę i odciąć Nancy wiszącą na oknie, golutką jak nieszczęście, a brzuch miała trochę wyduęty jak mały balon.

Kiedy Dilsey leżała raz chora w swojej chacie i Nancy nam gotowała, zobaczyliśmy, że jej fartuch tak jakoś się wybrzuszył. To było jeszcze przedtem, nim

ojciec zakazał Jubie przychodzić do domu. Juba siedział w kuchni za piecem, szrama od brzytwy na policzku wyglądała jak kawałek brudnego sznurka. Juba powiedział, że Nancy ma arbuza pod fartuchem, ale to przecież była zima.

– Skąd wzięłeś arbuza w zimie? – spytała Caddy.

– Ja go nie wzięłem – odpowiedział Juba. – To nie mój arbuz. Ale mogę go pokrajać na kawałeczki, zupełnie jakby był mój.

– Nie gadaj głupstw przy dzieciach! – krzyknęła Nancy. – Lepiej rób, co masz robić. Rób swoją robotę, bo chyba nie chcesz, żeby cię pan Jason przyłapał w kuchni na takim gadaniu przy dzieciach.

– Jakim gadaniu, Nancy? – spytała Caddy.

– Mnie to nie wolno gadać w kuchni białego pana – narzekał Juba – ale biały pan może gadać w mojej, co? Biały pan może przyjść do mojego domu i ja muszę go wpuścić. Kiedy biały pan chce wejść do mojego domu, to ja już nie mam domu. Nie mogę go nie wpuścić, ale on mnie nie może wyrzucić z domu. Tego nie może!

Dilsey ciągle leżała chora w swojej chacie. Ojciec zakazał Jubie przychodzić do nas. Dilsey była ciągle chora. Trwało to już bardzo długo. Po kolacji siedzieliśmy w bibliotece.

– Nancy jeszcze nie skończyła? – spytała matka. – Chyba już zdążyła pozmywać.

– Quentin pójdzie i zobaczy – odparł ojciec. – Idź, Quentin, i zobacz, czy Nancy skończyła zmywać. Powiedz jej, że może sobie iść do domu.

Poszedłem do kuchni. Nancy skończyła. Talerze i naczynia były w kredensie, ogień wygasł. Nancy siedziała na krześle pod zimnym piecem. Spojrzała na mnie.

– Mama pyta, czyś skończyła zmywać?

– Skończyłam. – Nancy patrzyła na mnie. – Skończyłam zmywać. – Patrzyła na mnie.

– Co się stało? – zapytałem. – Co się stało?

– Ja jestem tylko zwykły czarnuch – powiedziała Nancy. – To nie moja wina.

Patrzyła na mnie. Siedziała na krześle pod zimnym piecem, na głowie miała swój marynarski kapelusz. Wróciłem do biblioteki. Zimny piec i wszystko razem było nieprzyjemne, bo jak się myśli o kuchni, to zawsze się myśli o ciepłe, rozgardiaszu i takim przyjemnym nastroju. A tu zimny piec, naczynia schowane, bo o takiej porze nikt już nie chce jeść.

– Skończyła? – spytała matka.

– Tak, mammo.

– I co teraz robi? – spytała matka.

– Nic nie robi. Siedzi.

– Pójdę i zobaczę – powiedział ojciec.

– Może czeka na Jubę, żeby ją odprowadził do domu – odezwała się Caddy.

– Juby nie ma – wyjaśniłem. – Nancy nam mówiła, że jak się któregoś ranka obudziła, Juby już nie było. – „Uciekł ode mnie – skarżyła się. – Uciekł zupełnie, do Memphis chyba. Pewno chowa się przed tą miastową policją.”

– I jej szczęście – stwierdził ojciec. – Mam nadzieję, że zostanie w Memphis.

– Nancy boi się nocy – oświadczył Jason.

– Ty też – odezwała się Caddy.

– Wcale nie – zaprotestował Jason.

– Tchórzliwy kot – dodała Caddy.

– Wcale nie – powtórzył Jason.

– Cicho, Candace! – skarciła ją matka.

Ojciec wrócił z kuchni.

– Odprowadzę Nancy – powiedział. – Mówi, że Juba wrócił.

– Widziała go? – spytała matka.

– Nie, jakiś Murzyn zawiadomił ją o powrocie Juby. Zaraz wrócę.

– I zostawiasz mnie samą tylko dlatego, żeby odprowadzić Nancy? – jęczała matka.

– Bardziej leży ci na sercu jej bezpieczeństwo niż moje?

– Zaraz wrócę – powtórzył ojciec.

– I zostawiasz biedne dzieci bez opieki, kiedy po okolicy kręci się ten Murzyn?

– Ja też pójdę – odezwała się Caddy. – Mogę iść, tatusiu?

– A co by im zrobił, gdyby miał pecha je spotkać? – zdziwił się ojciec.

– I ja chcę iść – oświadczył Jason.

– Jason! – oburzyła się matka. Mówiła do ojca, czego można było się domyślić z akcentu, z jakim wypowiedziała to imię. I jakby wierzyła, że przez cały dzień ojciec nic innego nie robi, tylko kombinuje, jak by tu jej dokuczyć, i że za chwilę na pewno coś takiego wykombinuje.

Siedziałem cicho; obaj z ojcem wiedzieliśmy, że jeżeli matka w porę o tym pomyśli, każe mi zostać w domu. Więc ojciec nawet na mnie nie spojrzał. Byłem najstarszy. Miałem dziewięć lat, Caddy siedem, a Jason pięć.

– Bzdura! – mruknął ojciec. – Zaraz wrócimy.

Nancy miała na głowie kapelusz. Szliśmy ścieżką.

– Juba był zawsze dla mnie dobry – powiedziała Nancy. – Ile razy miał dwa dolary, jeden dolar był mój.

Szliśmy ścieżką.

– Żeby tylko dojść do końca ścieżki, to już będzie dobrze – powiedziała Nancy.

Na ścieżce zawsze było bardzo ciemno.

– Właśnie tutaj przestraszył się Jason we Wszystkich Świętych – odezwała się Caddy.

– Wcale nie – zaprotestował Jason.

– Czy ciotka Rachela nic z nim nie może zrobić? – spytał ojciec.

Ciotka Rachela była stara. Mieszkała w chacie koło Nancy, sama jedna. Miała siwe włosy i cały dzień paliła fajkę siedząc w drzwiach. Już nie pracowała. Mówili, że jest matką Juby. Ona też czasami mówiła, że jest, a czasami, że nie jest.

– Właśnie, że tak – upierała się Caddy. – Więcej się przestraszyłeś niż Frony, jeszcze więcej niż Murzyni.

– Nikt z nim nic nie robi – powiedziała Nancy. – On mówi, że ja obudziłam w nim diabła i że tylko jedna rzecz może go położyć spać.

– No, ale sobie pojechał – odparł ojciec. – Już się nie bój. Gdybyś jeszcze zostawiła w spokoju białych mężczyzn...

– Zostawić w spokoju białych mężczyzn? – spytała Caddy. – Jak ich zostawić w spokoju?

– On nigdzie nie pojechał – powiedziała Nancy. – Ja go czuję. Ja go czuję teraz na tej ścieżce. On słyszy, jak mówimy, każde słowo słyszy, schował się tylko, czeka. Ja go nie widziałam i zobaczę go tylko jeszcze raz, z brzytwą. Z tą brzytwą, co ją nosi na sznurku na plecach pod koszulą. I jak go zobaczę, to się nawet wcale nie zdziwię.

– Wcale się nie bałam – powtórzył Jason.

– Gdybyś się była porządnie zachowywała, nie miałabyś teraz kłopotów – stwierdził ojciec. – Ale nic się nie bój, on jest pewno gdzieś w St. Louis, może ma już inną żonę i zapomniał o tobie.

– Jeśli ma inną żonę, to niech ja lepiej o tym nie wiem – powiedziała Nancy. – Bobym pojechała i ile razy by ją dotknął, to bym odcinała mu rękę. I odciąłabym mu głowę, i rozprułałabym jej brzuch...

- Cicho już – uspokajał ją ojciec.
- Czyj brzuch byś rozpruła? – spytała Caddy.
- Wcale się nie bałem – twierdził Jason. – Ja bym zupełnie sam poszedł tą ścieżką.
- Akurat! – prychnęła Caddy. – Nie odważyłbyś się zrobić jednego kroku, gdybyśmy nie byli tu z tobą.

## II

Dilsey dalej chorowała, więc każdego wieczoru odprowadzaliśmy Nancy do domu, aż wreszcie matka spytała:

– Jak to ma jeszcze długo trwać? Jak długo będziecie zostawiali mnie samiutką w całym domu i odprowadzali tę zastrachaną Murzynkę?

W kuchni położyliśmy dla Nancy siennik. Którejś nocy obudził nas jakiś hałas. Ani to płacz, ani śpiewanie i zbliżało się to po ciemnych schodach. W pokoju matki paliło się światło, słyszeliśmy, jak ojciec idzie na dół do hallu, więc Caddy i ja też zeszliśmy do hallu. Posadzka była zimna. Staliśmy na palcach, żeby nie zmarznąć, i słuchaliśmy tego hałasu. Niby to śpiew, a niepodobne do śpiewu, zupełnie takie odgłosy, jakie wydają Murzyni.

Nagle się urwało i słyszeliśmy, jak ojciec idzie schodami do kuchni, więc i my podeszliśmy do kuchennych schodów. Wtedy znów zaczął się ten hałas na schodach, wcale niegłośny, i zobaczyliśmy w połowie schodów na tle ściany oczy Nancy. Wyglądały jak oczy kota, takiego wielkiego kota, który siedzi pod ścianą i przygląda się. Kiedyśmy zeszli do Nancy, przestała wydawać te dźwięki. Czekaliśmy, aż wrócił ojciec z kuchni, w rękę trzymał pistolet. Zszedł drugi raz na dół z Nancy i zaraz oboje wrócili z jej siennikiem.

Rozciągnęliśmy ten siennik w naszym pokoju. Potem, kiedy zgasło światło w pokoju matki, znowu zobaczyliśmy oczy Nancy.

– Nancy – szepnęła Caddy. – Śpisz, Nancy?

Nancy mruknęła cicho. Coś niby „nie” czy „eh”, nie wiem nawet co, zupełnie jakby tego jej nie powiedziała, tylko jakby to przyszło znikąd i donikąd płynęło, aż wreszcie wydawało się, że tu wcale nie ma Nancy, że patrzyłem w te oczy na schodach tak długo, aż ich obraz odbił mi się na powiekach, tak samo jak się czasem odbija słońce, choć się zamyka oczy i już wcale na to słońce nie patrzy.

– Jezu! – szepnęła Nancy. – Jezu!

– Czy to był Juba? – szepnęła Caddy. – Czy chciał wejść do kuchni?

– Jezu – powiedziała Nancy. Powiedział; Jezuuuuuuuuuuuuu, aż się dźwięk skończył

jak płomień zapałki albo świeca.

– Czy ty nas widzisz, Nancy? – szepnęła Caddy. – Też widzisz nasze oczy?

– Ja jestem tylko czarnuch – powiedziała Nancy. – Bóg jeden wie. Bóg jeden wie.

– Coś ty tam zobaczyła w kuchni? – szepnęła Caddy. – Kto chciał wejść?

– Bóg jeden wie – powiedziała Nancy. Widzieliśmy jej oczy. – Bóg jeden wie.

Dilsey wyzdrowiała. Gotowała obiad.

– Lepiej zostań jeszcze parę dni w łóżku – poradził ojciec.

– Nie – burknęła Dilsey. – Gdybym przyszła dzień później, to by już nic nie zostało z tej kuchni. Proszę stąd wyjść, muszę doprowadzić wszystko do porządku.

Dilsey gotowała też kolację. I tego wieczoru, nim się zupełnie ściemniło, Nancy przyszła do kuchni.

– Skąd wiesz, że on wrócił? – spytała Dilsey. – Nie widziałas go.

– Juba to czarnuch – stwierdził Jason.

– Ja go czuję – powiedziała Nancy. – Ja go widzę, jak tam leży w rowie.

– Dziś? – spytała Dilsey. – On jest tu dziś wieczorem?

– Dilsey też jest czarnuch – oświadczył Jason.

– Zjedz coś – zaproponowała Dilsey.

– Nie chcę jeść – powiedziała Nancy.

– Ja nie jestem czarnuch – ciągnął Jason.

– Napij się kawy – zaproponowała Dilsey. Nalała kubek kawy dla Nancy. – Myślisz, że on tu jest dziś wieczorem? Skąd wiesz, że on tu jest?

– Wiem – powiedziała Nancy. – On tu jest. Czeka. Wiem. Ja go znam długo. Ja wiem, co on chce zrobić, lepiej wiem, niż on sam wie.

– Napij się kawy – namawiała Dilsey.

Nancy trzymała kubek przy ustach i dmuchała.

Ściągnęła usta jak żmija szykująca się, żeby ukąsić, zupełnie jakby miała gumowe usta, jakby dmuchając na kawę wydmuchiwała z warg cały kolor.

– Ja nie jestem czarnuch – powtórzył Jason. – A ty jesteś czarnuch, Nancy?

– W piekle się rodziłam, dziecko – powiedziała Nancy. – Niedługo nic już nie będę. Niedługo wracam, skąd przyszłam.

### III

Zacząła pić kawę. Kiedy tak piła trzymając kubek w dłoniach, zaczęła znowu wydawać te same dźwięki. Wydawała dźwięki do kubka i kawa chlapnęła jej na rękę i na sukienkę. Jej oczy wpatrywały się w nas. Siedziała oparłszy łokcie o kolana, z kubkiem w obu dłoniach. Patrzyła na nas znad oblanego kubka i wydawała te dźwięki.

– Spójrz na Nancy – odezwał się Jason. – Nancy nie może dla nas gotować. Dilsey już jest zdrowa.

– Bądź cicho – skarciła go Dilsey.

Nancy trzymała kubek w obu dłoniach, patrzyła na nas, wydawała te dźwięki, jakby ich było dwie: jedna patrząca na nas, druga wydająca dźwięki.

– Dlaczego nie poprosisz pana Jasona, żeby zadzwonił do szefa porządku publicznego? – spytała Dilsey.

Nancy umilkła, wciąż trzymała kubek w swoich długich brunatnych rękach. Chciała wypić trochę kawy, ale kawa znowu chlusnęła jej z kubka na rękę i sukienkę, więc go odstawiała. Jason przyglądał się ciekawie.

– Nie mogę przełknąć kawy – powiedziała Nancy. – Przełykam i nie mogę przełknąć.

– Idź do domu – poradziła Dilsey. – Frony przygotuje ci siennik, ja niedługo przyjdę.

– Żaden czarnuch mu nie przeszkodzi – powiedziała Nancy.

– Ja nie jestem czarnuch – oświadczył Jason. – Prawda, że nie, Dilsey?

– Chyba nie – przyznała Dilsey. Spojrzała na Nancy. – Chyba że nie. Więc co chcesz zrobić?

Nancy patrzyła na nas. Oczy jej biegały, jakby się bały, że nie zdążą wszystkiego obejrzeć, ale się prawie wcale nie poruszały. Patrzała na nas, na nas troje jednocześnie.

– Pamiętacie tę noc, kiedy spałam w waszym pokoju? – zapytała. Mówiła, jak to następnego ranka bawiliśmy się na jej sienniku. Bawiliśmy się cicho, póki ojciec nie wstał, ale potem Nancy musiała zejść na dół i robić śniadanie. – Idź, poproś mamy, żebym mogła zostać na noc – powiedziała Nancy. – Nie potrzeba siennika. Będziemy się bawili – powiedziała.

Caddy poszła spytać matki. Jason też z nią poszedł.

– Nie chcę żadnych Murzynów w nocy – zaprotestowała matka.

Jason rozplakał się. Płakał, aż matka zagroziła, że przez trzy dni nie dostanie deseru, jeśli nie przestanie. Wtedy Jason obiecał przestać, jeśli Dilsey upiecze czekoladowe ciasto.

Ojciec też był przy tym.

– Dlaczego coś z tym nie zrobisz? – spytała matka. – Po co mamy w mieście policję?

– Dlaczego Nancy boi się Juby? – spytała Caddy. – Czy ty się boisz tatusia, mamó?

– Policja nic nie poradzi – wyjaśnił ojciec. – Nancy go nie widziała, więc gdzie go szukać?

– To dlaczego ona się boi? – spytała matka.

– Twierdzi, że on tu jest. Jest przekonana, że on tu jest.

– Po co płacimy podatki? – spytała matka. – Zostawiasz mnie samą w wielkim domu, żeby odprowadzać Murzynkę.

– To nie ja czatuję na dworze z brzytwą – odparł ojciec.

– Przestanę płakać, jeśli Dilsey upiecze czekoladowe ciasto – przypomniał Jason.

Matka kazała nam wyjść z pokoju, a ojciec powiedział, że nie jest pewien, czy Jason dostanie czekoladowe ciasto, ale wie na pewno, co Jason dostanie za minutę. Wróciliśmy do kuchni i Caddy powtórzyła Nancy:

– Tata powiedział, żebyś wróciła do domu i zamknęła dobrze drzwi, i wszystko będzie w porządku. Ale z czym w porządku, Nancy? Czy Juba jest na ciebie zły?

Nancy trzymała kubek z kawą, łokcie oparła o kolana, trzymała ten kubek kawy między kolanami. Patrzyła w kubek.

– Coś ty zrobiła, że Juba jest zły? – spytała Caddy.

Nancy upuściła kubek. Nie rozbił się, ale kawa się wylała. Nancy dalej siedziała z rękami tak złożonymi, jakby wciąż trzymała kubek. Znowu zaczęła wydawać te dźwięki, wcale niegłośno: ani śpiewała, ani nie śpiewała. Patrzyliśmy na Nancy.

– Wiesz co? – odezwała się Dilsey. – Przestań. Uspokój się. Czekaj tu. Pójdę po Versha, żeby cię odprowadził do domu. – Dilsey wyszła z kuchni.

Patrzyliśmy na Nancy. Trzęsły się jej ramiona, ale przestała wydawać te dźwięki. Staliśmy i patrzyliśmy.

– Co ci Juba zrobił? – spytała Caddy. – Przecież wyjechał.

Nancy spojrzała na nas.

– Bawiliśmy się tego dnia, co spałam w waszym pokoju, prawda?

– Ja się nie bawiłem – zaprotestował Jason. – Wcale się nie bawiłem.

– Spałeś w pokoju mamy – przypomniała mu Caddy. – Nie było ciebie z nami.

– Chodźcie ze mną do mojego domu i znowu się będziemy bawić – powiedziała Nancy.

– Mama nam nie pozwoli – wtrąciłem. – Już jest późno.

– Po co pytać mamy – powiedziała Nancy. – Można jej powiedzieć rano. Na pewno się zgodzi.

– Na pewno się nie zgodzi – zaprzeczyłem.

– Nie pytaj jej teraz – powiedziała Nancy. – Po co teraz przeszkadzać.

– Nic nie mówiła, że nie możemy iść – przypomniała Caddy.

– Nie pytaliśmy – broniłem się.

– Jak pójdziecie, to powiem – zagroził Jason.

– Będziemy się bawili – zachęcała Nancy. – Na pewno się zgodzą, tylko chodźcie ze mną do mojego domu. Przecież pracuję u was dawno. Na pewno się zgodzą.

– Ja się nie boję iść – oznajmiła Caddy. – Jason się boi. Poskarży.

– Wcale się nie boję – zaprotestował Jason.

– Właśnie, że tak – upierała się Caddy. – Poskarżysz.

– Nie poskarżę – obiecał Jason. – Wcale się nie boję.

– Jason nie boi się iść ze mną – powiedziała Nancy. – Boisz się, Jason?

– Jason poskarży – powtórzyła Caddy. Ścieżka była ciemna. Minęliśmy przejście dla bydła. – Założę się, że jakby coś wyskoczyło zza bramy, Jason zacząłby wrzeszczeć.

– Wcale nie – bronił się Jason.

Szliśmy ścieżką. Nancy mówiła głośno.

– Co tak głośno mówisz, Nancy? – spytała Caddy.

– Kto? ja? – powiedziała Nancy. – Słuchajcie no Quentina i Caddy, i Jasona, co mówią, że ja mówię głośno.

– Mówisz tak głośno, jakby było nas tu pięcioro – powiedziała z pretensją Caddy. – Mówisz, jakby tu był tata.

– Kto? Ja mówię głośno, panie Jason? – powiedziała Nancy.

– Nancy nazwała Jasona panem! – Zawołała Caddy.

– Słuchajcie tylko, jak mówi Caddy, Quentin i Jason! – powiedziała Nancy.

– Wcale nie mówimy głośno – oburzyła się Caddy. – To ty mówisz tak jak tata...

– Cicho – powiedziała Nancy. – Cicho, panie Jason.

– Nancy znowu nazwała Jasona panem...

– Cicho – powiedziała Nancy.

Mówiła głośno, kiedy przechodziliśmy przez rów i przepychaliśmy się przez dziurę w płocie, którą Nancy też się zawsze przepychała z węzełkiem białizny do prania na głowie. Wreszcie przyszlismy pod jej dom. Nancy otworzyła drzwi. Dom pachniał jak lampa, a Nancy pachniała jak knot do lampy i knot pachniał lampą, a lampa knotem. Nancy zapaliła lampę i zamknęła drzwi, i założyła belkę. Wtedy przestała mówić głośno i tylko patrzyła na nas.

– I co teraz zrobimy? – zaciekawiała się Caddy.

– A co chcecie robić? – powiedziała Nancy.

– Mieliśmy się bawić – przypomniała Caddy.

W tym domu Nancy było coś dziwnego. Coś, co prawie pachniało. Nawet Jason pociągnął nosem i oznajmił:

– Ja tu się nie chcę bawić. Ja chcę wrócić do domu.

– No to wracaj do domu! – krzyknęła Caddy.

– Ja nie chcę sam wracać.

– Będziemy się bawić – powiedziała Nancy.

– Jak? – spytała Caddy.

Nancy stała pod drzwiami. Patrzyła na nas, tylko że patrzyła tak, jakby oczy miała zupełnie puste i przestała ich używać.

– Co chcecie robić? – zapytała.

– Opowiedz nam bajkę – prosiła Caddy. – Umiesz opowiadać bajki.

– Umiem – powiedziała Nancy.

– To opowiedz – powtórzyła. Patrzyliśmy na Nancy. – Ale ty pewno nie znasz żadnych bajek.

– Znam – powiedziała Nancy. – Właśnie, że znam. – Usiadła na krześle pod piecem. W piecu się tliło. Dołożyła do ognia. Od razu zrobiło się gorąco. Ten ogień był właściwie niepotrzebny. Opowiedziała bajkę. Mówiła tak samo, jak wyglądały jej oczy; jak gdyby te oczy przyglądające się nam i ten głos wcale nie były jej. Jakby żyła zupełnie gdzie indziej i gdzie indziej na coś czekała. Nie było jej w ogóle w domu. Słyszeliśmy głos i widzieliśmy ją, tę samą Nancy, co potrafiła z węzełkiem białizny na głowie przeczołgać się przez dziurę w płocie, jakby ten węzełek na głowie zupełnie nic nie ważył, jakby to był balon. – Więc ta królewna idzie przez ten rów, gdzie ukrywa się ten człowiek. Idzie przez rów i mówi: „Żeby mi się tylko udało przejść przez rów”, tak właśnie mówi...

– Jaki rów? – spytała Caddy. – Taki rów jak ten na drodze? A po co królowna wchodziła do rowu?

– Żeby wrócić do domu – powiedziała Nancy. Patrzała na nas. – Musiała przejść przez rów, żeby prędko wrócić do domu i zamknąć drzwi na zasuwę.

– A po co chciała wrócić do domu i zamknąć drzwi? – spytała Caddy.

#### IV

Nancy patrzała na nas. Przestała mówić. Patrzała na nas. Trzymała Jasona na kolanach, jego nogi zwieszały się jak dwie kiełbaski.

– To wcale nie jest ładna bajka. Chcę do domu! – zapłakał.

– Może lepiej wracajmy – zgodziła się Caddy. Wstała z podłogi. – Na pewno nas szukają. – Poszła w kierunku drzwi.

– Nie – powiedziała Nancy. – Nie otwieraj. – Zerwała się i podbiegła pierwsza do drzwi. Ale ich nie dotknęła.

– Dlaczego mam nie otwierać? – spytała Caddy.

– Chodź tu do lampy – powiedziała Nancy. – Będziemy się bawić. Nie musicie wcale iść.

– Powinniśmy iść. Chyba że będziemy się bardzo dobrze bawić. – Caddy wróciła z Nancy pod lampę, do ognia.

– Ja chcę do domu – powtórzył Jason. – Powiem mamie.

– Znam inną bajkę – powiedziała Nancy. Stała blisko lampy. Patrzała na Caddy, tak jak się patrzy na kijek trzymany pionowo na nosie. Musiała patrzeć w dół na Caddy, ale jej oczy wyglądały zupełnie tak, jakby trzymała kijek na nosie.

– Nie chcę bajki – oświadczył Jason. – Będę tupał.

– To ładna bajka – powiedziała Nancy. – Lepsza niż tamta.

– O czym? – spytała Caddy.

Nancy stała pod lampą. Długą brunatną rękę trzymała na lampie, zasłaniając światło.

– Trzymasz rękę na gorącym szkle – zauważyła Caddy. – Nie parzy cię?

Nancy obejrzała rękę opartą o szkło lampy. Powoli zdjęła rękę. Stała dalej, gdzie stała, patrząc na Caddy i potrząsając dłonią, jakby ją miała przywiązaną sznurkiem do przegubu.

– Róbnmy coś innego – zaproponowała Caddy.

– Ja chcę do domu – zapłakał Jason.

– Zróbnmy nadymanej kukurydzy – powiedziała Nancy. Spojrzała na Caddy, potem na Jasona, potem na mnie, a potem znów na Caddy. – Zróbnmy nadymanej kukurydzy.

– Nie lubię nadymanej kukurydzy – stwierdził Jason. – Wolę cukierki.

Nancy patrzyła na Jasona.

– Możesz trzymać upalacz. – Wciąż potrząsała ręką. Ręka była długa, bezwładna i brunatna.

– Dobrze – zgodził się Jason. – Jeśli mogę trzymać upalacz, to jeszcze trochę zostanę. Ale Caddy nie potrzyma. Będę chciał iść do domu, jeśli Caddy potrzyma upalacz.

Nancy dorzuciła do ognia.

– Patrzcie, jak Nancy kładzie ręce w ogień! – zawołała Caddy. – Co ci jest, Nancy?

– Zróbnmy nadymanej kukurydzy – powiedziała Nancy. – Jeszcze mam trochę kukurydzy.

Wyjęła upalacz spod łóżka. Był połamany. Jason zaczął płakać:

– Nie będziemy mieli nadymanej kukurydzy.

– Koniecznie powinniśmy iść do domu – odezwała się Caddy. – Chodź, Quentin.

– Poczekajcie – powiedziała Nancy. – Poczekajcie, ja go nareperuję. No, chcecie mi pomóc reperować?

– Ja chyba nie chcę nadymanej kukurydzy – skrzywiła się Caddy. – Już późno.

– Pomóż mi, Jason – powiedziała Nancy. – Dlaczego mi nie chcesz pomóc?

– Nie chcę – oświadczył Jason. – Chcę do domu.

– Cicho – powiedziała Nancy. – Cicho. Patrzcie. Patrzcie, tak go zreperuję, że Jason będzie mógł go trzymać i upali kukurydżę. – Wzięła kawałek drutu i związała upalacz.

– Nie będzie się dobrze trzymało – skrytykowała Caddy.

– Będzie – powiedziała Nancy. – Patrz. Pomóżcie mi wyłuskać kukurydżę.

Kolby kukurydzy też leżały pod łóżkiem. Wyłuskiwaliśmy je do upalacza i Nancy pomagała Jasonowi trzymać upalacz nad ogniem.

– Wcale się nie nadymają – protestował Jason. – Ja chcę do domu.

– Poczekaj – powiedziała Nancy. – Zaraz zaczną się nadymać. Będziemy mieli zabawę. – Siedziała blisko ognia. Knot lampy podkręcony był za wysoko i lampa zaczęła kopcić.

– Dlaczego nie przykręcisz knota? – spytałem.

– Jest dobrze – powiedziała Nancy. – Potem ją oczyszczę. Poczekajcie. Zaraz kukurydza zacznie się nadymać.

– Wcale nie, wcale nie wierzę. – Caddy się kręciła. – Zresztą musimy iść do domu. Będą się o nas martwić.

– Nie – powiedziała Nancy. – Zaraz zacznie się nadymać. Dilsey im powie, że jesteście ze mną. Ja już dawno u was pracuję. Nie będą się gniewać, że jesteście ze mną. Czekajcie, zaraz zacznie się nadymać.

I wtedy dym zaczął gryźć Jasona w oczy i Jason się rozplakał, i puścił upalacz w ogień. Nancy wzięła mokrą ścierkę i wytarła Jasonowi twarz, ale on nie przestał płakać.

– Cicho – powiedziała. – Cicho.

Wcale nie ucichł. Caddy wyjęła upalacz z ognia.

– Spaliły się – stwierdziła. – Trzeba wyłuskać nowe ziarna.

– Całą kukurydzę wsypałaś? – zapytała Nancy.

– Tak – odparła Caddy.

Nancy patrzyła na Caddy. Potem wzięła upalacz, otworzyła go i wysypała spalone ziarna do fartucha; zaczęła je przebierać. Ręce miała długie i brunatne, przyglądaliśmy się jej.

– Nie masz już kukurydzy? – spytała Caddy.

– Mam – powiedziała Nancy. – Mam, patrzcie. Wcale nie są spalone. Wystarczy, jak...

– Ja chcę do domu – zapłakał Jason. – Ja powiem w domu.

– Cicho – szepnęła Caddy.

Zaczęliśmy słuchać. Nancy miała głowę obróconą w stronę zaryglowanych drzwi, oczy jej były pełne czerwonego światła lampy.

– Ktoś idzie – szepnęła Caddy.

Wtedy Nancy znów zaczęła wydawać te dźwięki, wcale niegłośnie, siedziała nad ogniem, długie ręce zwisały jej między kolanami. I nagle zaczęły jej występować na twarz duże krople potu, ściekały po policzkach, każda z nich niosła światło ognia, póki nie ściekła na brodę.

– Ona wcale nie płacze – odezwałem się.

– Ja nie płaczę – powiedziała Nancy. Oczy miała zamknięte. – Wcale nie płaczę. Kto to?

– Nie wiem. – Caddy podeszła do drzwi i wyjrzała. – Musimy iść do domu. Idzie tata.

– Ja mu powiem – zagroził Jason. – Wyście mi kazali przyjść.

Krople dalej spływały po twarzy Nancy. Obróciła się na krzesło.

– Słuchajcie. Powiedzcie mu. Powiedzcie mu, że będziemy się bawić. Powiedzcie mu, że się wami zajmę do rana. Powiedzcie mu, żeby mi pozwolił iść z wami do domu i spać na podłodze. Powiedzcie mu, że nie potrzebuję siennika. Będziemy się bawili. Pamiętajcie, jak się dobrze ostatnim razem bawiliśmy?

– Ja się wcale nie bawiłem – stwierdził Jason. – Ty mi dokuczasz. Napuściłaś mi dymu do oka.

## V

Wszedł ojciec. Spojrzył na nas. Nancy nie wstała.

– Powiedzcie mu – prosiła.

– Caddy nam kazała przyjść – mówił Jason. – Ja wcale nie chciałem.

Ojciec podszedł do ognia. Nancy uniosła głowę.

– Czy nie możesz iść spać do ciotki Racheli? – spytał. Nancy patrzyła na ojca, długie ręce zwisały jej między kolanami. – Jego tu nie ma. Zauważyłbym go. Żywej duszy nie ma na drodze.

– Czeka w rowie – powiedziała Nancy. – Zaczaił się w rowie, za domem.

– Bzdura – przerwał ojciec. Patrzył na Nancy. – Skąd wiesz, że on tam jest?

– Miałam znak.

– Jaki znak?

– Otrzymałam znak. Był na stole, kiedy przyszłam. Kość świni, i na niej mięso z krwią, leżała koło lampy. On się zaczął. Kiedy pan pójdzie, to już po mnie.

– Co po tobie? – spytała Caddy.

– Ja nie jestem skarżypyta – stwierdził Jason.

– Bzdura – powtórzył ojciec.

– On się zaczął – powiedziała Nancy. – Patrzy teraz przez okno i czeka, żeby pan sobie poszedł. Wtedy po mnie.

– Bzdura – upierał się ojciec. – Zamknij dom i zaprowadzimy cię do ciotki Racheli.

– To nie pomoże nic a nic – powiedziała Nancy. Nie patrzyła już na ojca, ale on na

nią dalej patrzył, na jej długie brunatne ręce. – Odkładanie nic nie pomoże.

– Więc czego chcesz? – spytał ojciec.

– Nie wiem – powiedziała Nancy. – Nic nie mogę zrobić. Tylko odłożyć. A to nic nie pomoże. Chyba już mi się tak należy. Chyba to, co mnie spotka, należy mi się.

– Co cię spotka? – spytała Caddy. – Co ci się należy?

– Nic – odparł ojciec. – Musicie iść spać.

– Caddy mi kazała przyjść – wyjaśnił Jason.

– Idź do ciotki Racheli – zdecydował ojciec.

– To nic nie pomoże – powiedziała Nancy. Siadła koło ognia, łokcie oparła o kolana, długie ręce zwiesiła między kolanami. – Nawet w pana kuchni też nic nie pomoże. Nawet gdybym spała na podłodze w pokoju z pana dziećmi, też nic nie pomoże, i będzie tylko krew i...

– Dość tego – rozzłościł się ojciec. – Zamknij drzwi, zgaś lampę i idź spać.

– Ja się boję ciemności – powiedziała Nancy. – Ja się boję tego, co się stanie w nocy.

– Będziesz siedziała przy zapalonej lampie? – spytał ojciec. Wtedy Nancy zaczęła znowu wydawać te dźwięki. Siedziała przy piecu, długie ręce trzymała między kolanami. – Do diabła. Chodźcie, dzieci, czas spać.

– Kiedy pan pójdzie, to już po mnie. – powiedziała Nancy. – Umrę. Zaoszczędziłam na trumnę u pana Lovelady. – Mówiła teraz spokojnie, jej twarz była spokojna jak ręce zwisające między kolanami.

Pan Lovelady był niskim niechlujnym mężczyzną, który zbierał wśród Murzynów składki za ubezpieczenia; w każdą sobotę rano obchodził murzyńskie chaty i kuchnie i pobierał piętnastocentowe składki. Mieszkał z żoną w hotelu. Któregoś ranka jego żona popełniła samobójstwo. Mieli dziecko, małą dziewczynkę. Po tym, jak żona popełniła samobójstwo, pan Lovelady wyjechał z dzieckiem. Po pewnym czasie wrócił. Widywaliśmy go w każdą niedzielę rano, idącego ścieżką. Chodził do kościoła baptystów.

Ojciec niósł Jasona na plecach. Wyszliśmy z chaty Nancy. Nancy została przy piecu.

– Zamknij i zarygluj drzwi – powiedział ojciec.

Nancy nie ruszyła się. Nie spojrzała na nas więcej.

Zostawiliśmy ją przy piecu, drzwi były otwarte, żeby to, co się miało stać, nie stało się w ciemności.

– Powiedz, tato – prosiła Caddy. – Dlaczego Nancy boi się Juby? Co on jej zrobi?

- Juby tam nie było – stwierdził Jason.
- Juby nie ma – zgodził się ojciec. – Juba wyjechał.
- A kto zaczął się w rowie? – spytała Caddy.

Podeszliśmy pod rów, ścieżka schodziła między gęste powoje i potem znowu wychodziła pod górę.

- Nikt – powiedział ojciec.

Księżyc świecił słabo, ledwo co można było zobaczyć. Rów był gęsto zarośnięty, cichy.

- Jeśli on tam jest, to on nas widzi, prawda? – spytała Caddy.
- Tyś mi kazała przyjść – powiedział Jason z pleców ojca. – Ja wcale nie chciałem.

Rów był nadal cichy, pusty, zarośnięty powojami. Nie mogliśmy dojrzeć Juby, tak jak nie widzieliśmy Nancy siedzącej w swoim domu przy otwartych drzwiach, przy zapalanej lampie, bo ona nie chciała, żeby to, co się miało stać, stało się w ciemnościach. „Jestem zmęczona – powiedziała Nancy. – Jestem czarnuch. To nie moja wina.”

Słyszeliśmy ją. Zaczęła, jak tylko wyszliśmy z domu, siedziała przy tym swoim piecu, długie brunatne ręce zwisały jej między kolanami. Słyszeliśmy ją jeszcze po drugiej stronie rowu. Jason siedział wysoko na ramionach ojca, przytulony do jego głowy.

Wyszliśmy z rowu, opuszczając życie Nancy. Jej życie siedziało przy otwartych drzwiach i zapalanej lampie, czekało, między nim a nami był rów, i myśmy wracali do domu, biali ludzie wracali do domu, oddzielaliśmy nasze życie od życia Nancy.

- Kto nam teraz będzie prał, tata? – spytałem.
- Ja nie jestem czarnuch – stwierdził Jason z wyżyn głowy ojca.
- Jesteś jeszcze gorszy – odpowiedziała mu Caddy. – Jesteś skarżypyta. Jeśliby coś wyskoczyło z krzaków, bałbyś się więcej niż czarnuch.
- Wcale nie – bronił się Jason.
- Zaraz byś płakał – dodała Caddy.
- Caddy! – powiedział ojciec.
- Wcale nie – bronił się Jason.
- Tchórzliwy kot – syknęła Caddy.
- Candace! – powiedział ojciec.

# CZERWONE LIŚCIE

## I

Dwaj Indianie szli przez Plantację ku kwaterom niewolników. Domy, w których niewolnicy mieszkali, z palonej cegły, schludnie pobielone wapnem, stały w dwóch rzędach naprzeciw siebie, rzucając łagodny cień na uliczkę poznaczoną śladami bosych stóp pośród rozrzuconych tu i ówdzie prymitywnych zabawek niemo zastygłych w kurzu. Nie było znaku życia.

– Wiem, co my zastaniemy – powiedział jeden z Indian.

– Czego my nie zastaniemy – powiedział drugi.

Chociaż dochodziło południe, na uliczce nie było nikogo; chaty ziały pustką i ciszą, z żadnego z pokrytych spękany tynkiem kominów nie unosił się dym gotowania.

– Tak. To samo było, kiedy umarł ojciec tego, który jest Człowiekiem.

– Chyba tego, który był Człowiekiem.

– Uhu!

Ten pierwszy Indianin nazywał się Trzy Kosz. Miał lat może sześćdziesiąt. Obaj byli krępi, raczej mocno zbudowani, mieszczańsko stateczni, brzuchaci; obaj mieli duże głowy, duże szerokie twarze płowe jak kurz, pogodne i zatarte niby wyłaniające się z mgły oblicza rzeźbione na zrujnowanym murze gdzieś w Syjamie czy na Sumatrze. Blask słońca to sprawił – gwałtowny blask słońca, gwałtowny cień. Włosy ich wyglądały jak turzyca na spalonej ziemi. Trzy Koszowi zwisiała z ucha przywiercona sztyftem emaliowana tabakierka.

– Cały czas mówiłem, że to nie jest dobry sposób. Dawniej nie było kwater, nie było Murzynów. Czas Człowieka był Człowieka. Człowiek miał czas. A teraz musi tracić większą część czasu na wynajdywanie roboty dla tych, co lubią się pocić.

– Oni są jak konie i psy.

– Oni są jak nic na tym rozsądnym świecie. Są zadowoleni tylko wtedy, kiedy się pocą. Są gorsi niż biali.

– Bo przecież nie jest tak, żeby Człowiek musiał wynajdywać robotę dla białych.

– Dobrze mówisz. Nie lubię niewolnictwa. To nie jest dobry sposób. W dawnych czasach to był dobry sposób. Ale nie teraz.

– Nie możesz pamiętać, jaki to był sposób w dawnych czasach.

– Słyszałem od tych, co pamiętają. I sam próbowałem tego sposobu. Istota ludzka nie jest stworzona do tego, żeby się pocić.

– Dobrze mówisz. Widzisz, jak im to podziałało na skórę.

– Właśnie. Czarna. I do tego gorzka w smaku.

– Jadłeś?

– Jeden raz. Byłem wtedy młody i miałem lepszy apetyt. Teraz już jest ze mną inaczej.

– Właśnie. Teraz to oni mają za dużą wartość, żeby ich jeść.

– Nie smakuje mi takie gorzkie mięso.

– Tak czy owak, mają za dużą wartość, żeby ich jeść teraz, kiedy biali mogą za nich dać konie.

Weszli w uliczkę. Niemo zastygłe w kurzu ubogie zabawki – kukielki bożków zrobione z drewna, szmat i piór – leżały rozrzucone wokoło startych do połysku progów, pośród kości i czerepów naczyń z dyni. Żadnego jednak odgłosu nie było słyhać z żadnej chaty, żadnej twarzy nie było widać w żadnych drzwiach – nie było od wczoraj do chwili, kiedy umarł Issetibbeha. Ale oni już i tak wiedzieli, co zastaną.

To było w środkowej chacie, nieco większej od innych, w której zwykle w pewne fazy księżyca Murzyni zbierali się na początkowe obrzędy przed wyruszeniem o zmroku na dno wąwozu, tam gdzie przechowywali bębny. W tej izbie trzymali mniejsze przedmioty obrzędowe, ozdoby o tajemnym znaczeniu i kije oblepione jakimiś symbolami z czerwonej gliny, stanowiące ich obrzędowe zapiski. Na samym środku izby, pod otworem w dachu, było palenisko z kilkoma spopielałymi drewnkami i z wiszącym żelaznym kociołkiem. Okiennice były zamknięte; dwaj Indianie wchodząc tam prosto z jaskrawego słonecznego blasku zobaczyli tylko ruch cienia, z którego łypały ku nim białkami oczy tak liczne, jakby w izbie roiło się od Murzynów. Dwaj Indianie stanęli na progu.

– Uhu! – powiedział Trzy Kosz. – Mówiłem, że to nie jest dobry sposób.

– Coś mi się nie wydaje, żebym chciał tu być – powiedział drugi Indianin.

– To, co ci tu pachnie, to strach czarnych. Ich strach pachnie inaczej niż nasz.

– Nie wydaje mi się, żebym chciał tu być.

– Twój strach też ma zapach.

– Może to Issetibbeha tak nam pachnie.

– Uhu! On wie. On wie, co my tu zastaniemy. On wiedział już, jak umierał, cośmy powinni tu dziś zastać.

Ze zjełczałego półmroku izby przetaczał się na nich wzrok, zapach Murzynów.

– Jestem Trzy Kosz, którego znacie – powiedział Trzy Kosz w głąb izby. – Przychodzimy od Człowieka. Czy ten, którego szukamy, uciekł?

Murzyni nie powiedzieli nic. Zdawało się, że ich zapach, zapach ich ciał, to opada, to wzbiera w nieruchomym, gorącym powietrzu. Zdawało się, że wszyscy jak jeden dumają nad czymś dalekim i nieodgadnionym. Byli jak jedna wielka ośmiornica. Byli jak korzenie wielkiego drzewa nagle odkryte w rozkopanej ziemi, skrecone, grube, cuchnące w splątaniu swych bezsłonecznych i zelżonych istnień.

– No – powiedział Trzy Kosz. – Wiecie, po co tu przyszliśmy. Czy ten, którego szukamy, uciekł?

– Oni coś sobie myślą – powiedział drugi Indianin. – Ja nie chcę tu być.

– Oni coś wiedzą – powiedział Trzy Kosz.

– Oni go ukrywają, myślisz?

– Nie. On uciekł. Wczoraj w nocy. To samo było przedtem, jak umarł dziadek tego, który teraz jest Człowiekiem. Tamten czarny też uciekł i znaleźliśmy go dopiero po trzech dniach. Trzy dni Doom leżał u wrót ziemi i mówił: „Widzę mojego konia i mojego psa. Ale nie widzę mojego niewolnika. Coście z nim zrobili, że mi nie pozwalacie spoczywać w spokoju?”

– Czarni nie lubią umierać.

– Uhu! Oni się czepiają życia. Zawsze mamy z tym kłopot. Nie znają honoru i przyzwoitości nie znają. Zawsze kłopot. Zawsze kłopot.

– Tutaj mi się wcale nie podoba.

– Mnie się też nie podoba. Ale cóż? To dzicy, nie można się po nich spodziewać, że uszanują obyczaj. Dlatego mówię, że ten sposób to jest zły sposób.

– Uhu. Oni się czepiają życia. Oni wolą pracować na słońcu niż zejść do ziemi z wodzem. Ale ten czarny uciekł.

Murzyni nie powiedzieli nic, trwali w zupełnej ciszy. Dziko łypały przyćmione białka, gwałtowną falą przetaczała się cuchnąca woń.

– Właśnie, oni się boją – powiedział drugi Indianin. – Co my teraz zrobimy?

– Chodźmy porozmawiać z Człowiekiem.

– Mocketubbe będzie słuchać?

– Musi. Na pewno nie będzie mu się chciało. Ale on jest teraz Człowiekiem.

– Uhu! On jest Człowiekiem. Już teraz przez cały czas może nosić te trzewiki z

czerwonymi piętami.

Odwrócili się i wyszli. W futrynie nie było drzwi. W żadnej z chat nie było drzwi.

– On i tak te trzewiki nosił – powiedział Trzy Kosz.

– Za plecami Issetibbehy. Ale teraz, odkąd jest Człowiekiem, to już są jego trzewiki.

– Uhu! Issetibbeha krzywił się na to. Słyszałem. Wiem, że powiedział do Mocketubbe: „Jak będziesz Człowiekiem, to te trzewiki będą twoje. Ale do tego czasu to są moje trzewiki.” Ale teraz Mocketubbe już jest Człowiekiem, może je nosić.

– Uhu! – powiedział drugi Indianin. – Już jest Człowiekiem. Często wkładał te trzewiki za plecami Issetibbehy i nie było wiadomo, czy Issetibbeha wie o tym, czy nie wie. Aż tu Issetibbeha umarł, chociaż nie był stary, i te trzewiki ma na własność Mocketubbe, skoro już jest Człowiekiem. Co ty myślisz o tym?

– Ja o tym nie myślę – powiedział Trzy Kosz. – A ty myślisz?

– Nie – powiedział drugi Indianin.

– To dobrze – powiedział Trzy Kosz. – Mądry jesteś.

## II

Dom stał w otoczeniu dębów na pagórku. Parterową fasadę domu stanowił kasztel wywleczonego z rzeki parowca; ojciec Issetibbehy, Doom, wraz ze swoimi niewolnikami rozebrał ten parowiec i przyholował go na cyprysowych wałkach dwanaście mil w głąb łądu. Zabrało to Doomowi pięć miesięcy. W owym czasie dom jego składał się tylko z jednej ściany z cegieł. Doom przystawił parowiec na całą szerokość do tej ściany, gdzie teraz w nikłej wspaniałości poodłupywanych i spękanych złoceń zdobiących łuki gzymsów złożyły się angielskie napisy ponad wywołującymi ogólną zazdrość drzwiami.

Doom urodził się tylko na zastępcę wodza plemienia Mingo, będąc jednym z trojga dzieci macierzystej linii rodziny wodza. Odbił podróż statkiem – był wówczas młodym człowiekiem, a Nowy Orlean był miastem europejskim – z północy Missisipi do Nowego Orleanu, gdzie poznał niejakiego kawalera Soeur Blonde de Vitry, człowieka, którego pozycja towarzyska w tym mieście była równie dwuznaczna jak pozycja Dooma. To właśnie tam, w New Orleans, wśród szulerów i zbirów nabrzeża Doom pod świątym kierownictwem swojego protektora pasował się na wodza, na Człowieka, dziedzica ziemi należącej do męskiej linii rodziny. To właśnie kawaler de Vitry nazwał go „*du homme*”, z czego powstało imię „Doom”.

Wszędzie widywano ich razem – krępego Indianina o zuchowatej, nieodgadnionej, mizernej twarzy i paryżanina, wygnańca, przyjaciela Carondeleta, jak opowiadano, i zausznika generała Wilkinsona. A potem obaj się ulotnili, zniknęli ze spelunek, w których

dawniej bywali tak często, pozostawiając za sobą legendę o wielkich sumach rzekomo wygranych przez Dooma oraz trochę gadania o pewnej młodej kobiecie z dość zamożnego zachodnioindiańskiego domu, której brat z pistoletem poszukiwał Dooma przez jakiś czas po jego zniknięciu we wszystkich dawniej odwiedzanych przez niego spelunkach.

W pół roku później zniknęła również i owa młoda kobieta, wsiadłszy w towarzystwie służącej Murzynki na pokład pocztowego parowca z Saint Louis, który pewnej nocy przybił do leśnej przystani na północnym brzegu Missisipi. Na młodą kobietę czekali tam już czterej Indianie z koniem i wozem. Aż przez trzy dni, powoli, bo była w zaawansowanej ciąży, wieźli ją na Plantację, gdzie się dowiedziała, że obecnie Doom jest wodzem. Doom nigdy jej nie powiedział, w jaki sposób tego dokonał, poza tym, że jego wuj i kuzyn nagle umarli. W owym czasie całym domem była ściana z cegieł wzniesiona przez nieporadnych niewolników oraz ukośnie wspierająca się strzechą o tę ścianę przybudówka podzielona na izby, zaśmiecona kośćmi i odpadkami; siedziba ta znajdowała się w samym środku dziesięciu tysięcy akrów podobnej do parku, niezrównanie wspaniałej puszczy, gdzie jelenie i łanie pasły się jak bydło domowe. Doom ożenił się z tą kobietą na krótko przed przyjsciem na świat Issetibbehy, przy czym ślubu udzielił im pewien pastor, a zarazem handlarz niewolników w jednej osobie, który przybył tam na mule z przytroczonym do siodła bawełnianym parasolem i trzygalonowym gąsiorem whisky. A potem Doom zaczął nabywać coraz więcej niewolników i uprawiać część swojej ziemi tak, jak to czynili biali. Ale nigdy nie mógł znaleźć dla niewolników dosyć roboty. Większość z nich prowadziła życie przeszczepione w całości z dżungli afrykańskiej, zupełnie nic nie robiąc z wyjątkiem chwil, kiedy Doom szczuł ich psami, żeby zabawić swoich gości.

Kiedy Doom umarł, jego syn Issetibbeha miał lat dziewiętnaście. On to został właścicielem tej ziemi i pięciokrotnie zwiększonej trzody czarnych, z którymi zupełnie nie miał co robić. Chociaż tytuł Człowieka należał do niego, była jeszcze cała hierarchia kuzynów i wujów rządzących plemieniem, którzy zebrali się wreszcie na naradę w sprawie murzyńskiej, z głęboką zadumą przysiadając w kucki pod złotymi napisami, ozdobą drzwi parowca.

– Zjeść ich nie możemy – powiedział jeden.

– Dlaczego?

– Jest ich za dużo.

– To prawda – powiedział trzeci. – Gdybyśmy raz zaczęli, to już byśmy musieli zjeść ich wszystkich. A tyle mięsa to niezdrowo.

– Może oni będą w smaku jak jelenie. To nie może zaszkodzić.

– Można by kilku zabić, ale ich nie jeść – powiedział Issetibbeha.

Patrzyli na niego przez chwilę.

– A na co? – zapytał jeden.

– To prawda – powiedział drugi. – Nie można tego robić. Oni mają za dużą wartość; pamiętajcie, że cały kłopot, jaki z nimi mamy, to tylko wyszukanie im czegoś do roboty; Musimy robić tak, jak robią biali.

– Więc jak? – zapytał Issetibbeha.

– Hodować coraz więcej Murzynów i karczować coraz więcej ziemi pod uprawę kukurydzy, żeby ich wyżywić. Wykarczujemy ziemię, posadzimy na niej jado, nahodujemy Murzynów, a potem ich sprzedamy białym za pieniądze.

– Ale co my zrobimy z tymi pieniędzmi?

Myśleli przez chwilę.

– Zobaczmy – powiedział ten pierwszy.

Siedzieli w kucki, poważni, w głębokiej zadumie.

– To znaczy, że będzie praca – powiedział ten trzeci.

– Niech ją robią Murzyni – powiedział ten pierwszy.

– Uhu! Niech oni. Pot jest niedobry. Mokry. Otwiera w skórze pory.

– I wtedy wchodzi w skórę nocne powietrze.

– Uhu! Niech pracę robią Murzyni. Przecież widać, jak oni się lubią pocić.

Tak więc rękami Murzynów wykarczowali ziemię i zasiali na niej kukurydzę. Do tego czasu niewolnicy mieszkali w ogromnej zagrodzie podobnej do zagrody dla świń, częściowo krytej dachem ustawionym pochyło nad jednym rogiem. Ale teraz zaczęto dla niewolników budować kwatery, chaty, kojarząc w tych chatach murzyńską młodzież parami; w pięć lat później Issetibbeha sprzedał czterdzieści głów jakiemuś handlarzowi z Memphis, po czym za otrzymane pieniądze wraz ze swoim wujem z Nowego Orleanu jako przewodnikiem wyjechał za granicę. Kawaler Soeur Blonde de Vitry mieszkał wówczas w Paryżu i był już bezzębnym staruszkiem w gorsecie, z harcapem, o starczej, zatroskanej twarzy zastygłej w kpiącym, a zarazem głęboko tragicznym grymasie. Pożyczył od Issetibbehy trzysta dolarów i w zamian za to wprowadził go w pewne koła paryskie; po roku Issetibbeha powrócił do domu przywożąc ze sobą pozłacane łóżko, dwa żyrandole – w których świetle rzekomo poprawiała sobie loczki sama madame Pompadour, kiedy Ludwik mizdrzył się do swojego odbicia w zwierciadle ponad jej upudrowanym ramieniem – oraz parę rannych pantofli z czerwonymi zapiętkami. Pantofle były dla Issetibbehy za małe, bo, dopóki w drodze za granicę nie przyjechał do Nowego Orleanu, chodził zawsze bosy.

Przywiózł do domu te pantofle owinięte bibułą i przechowywał je w pustej kieszeni juków napełnionych cedrowymi wiórami, skąd wyjmował je tylko przy

specjalnych okazjach, żeby trochę się nimi pobawił jego syn Mocketubbe. W wieku lat trzech Mocketubbe miał na szerokiej, płaskiej mongolskiej twarzy wyraz tak senny i niezgłębiony, jakby przez cały czas żył w letargu, budząc się tylko na widok tych pantofli.

Matka Mocketubbe była dorodną dziewczyną, którą Issetibbeha zobaczył pewnego dnia, kiedy pracowała w swojej zmianie na zagonie melonów. Zatrzymał się i przez jakiś czas patrzył na nią – na jej szerokie masywne uda, na krzepkie plecy, na pogodną twarz. Szedł właśnie owego dnia do wąwozu na połów ryb, ale już dalej nie poszedł; może, stojąc tam i patrząc na nieświadomą tego dziewczynę, przypomniał sobie swoją matkę – kobietę z miasta, zbiegłą stamtąd z wachlarzami, z koronkami i z krwią murzyńską w żyłach – oraz cały lichy blichtr tamtego ojcowskiego romansu. Mocketubbe urodził się jeszcze przed końcem owego roku. Nawet mając trzy lata nie umiał włożyć pantofli na nogi. W spokojne upalne popołudnia Issetibbeha patrzył, jak Mocketubbe szamocze się z pantoflami, jak z jakimś potwornym uporem nie dopuszcza oczywistości sposobu ich włożenia, i cicho śmiał się do siebie. Przez wiele lat śmiał się tak z Mocketubbe i z pantofli, bo Mocketubbe zaniechał owych bezskutecznych prób dopiero po ukończeniu szesnastego roku życia. Wtedy zrezygnował. Przynajmniej tak myślał Issetibbeha. Ale Mocketubbe zrezygnował z tych prób tylko w obecności Issetibbehy. Issetibbeha dowiedział się potem od swojej najnowszej żony, że Mocketubbe ukradł i ukrył pantofle. Wtedy Issetibbeha przestał się śmiać, kazał kobiecie odejść i pozostał sam.

– Uhu! – powiedział – chyba i ja też mam chęć jeszcze sobie pożyć.

Kazał wezwać Mocketubbe.

– Ja ci je daję – powiedział.

Mocketubbe miał wtedy lat dwadzieścia pięć i nie był żonaty. Issetibbeha, chociaż niewysoki, przewyższał syna o sześć cali, a ważył prawie o sto funtów mniej. Już wtedy Mocketubbe był chorobliwie otyły, miał bladą, szeroką twarz bez żadnego wyrazu i rozdęte wodną puchliną ręce i nogi.

– One są teraz twoje – powiedział Issetibbeha patrząc na niego.

Mocketubbe nie patrzył; tylko wtedy, gdy wchodził, obrzucił Issetibbehe krótkim roztroprnym spojrzeniem spod opuszczonych powiek.

– Dzięki – powiedział Mocketubbe.

Issetibbeha patrzył na niego. Nigdy nie wiedział, czy Mocketubbe w ogóle widzi cokolwiek, czy w ogóle na cokolwiek patrzy.

– Czy nie będzie tak samo, jak jest, jeżeli dam ci te trzewiki?

– Dzięki – powiedział Mocketubbe.

Issetibbeha zażywał wtedy tabakę; jakiś biały nauczył go wkładać tabakę do ust i pocierać nią zęby przy pomocy gałązki figowca czy alfei.

– No – powiedział – człowiek nie może żyć wiecznie. – Spojrzał na syna, a potem z kolei i jego spojrzenie stało się bez wyrazu; dumając przez chwilę patrzył tak, jakby nie widział nic. Nie byłoby wiadomo, o czym dumał, gdyby na pół głośno nie powiedział: – Uhu. Ale wuj Doom nie miał trzewików z czerwonymi piętami. – I znów popatrzył uważnie na syna tłustego i ospałego. – Pod tą całą powłoką człowiek może sobie coś zamyślać, ale to się okaże, jak już będzie za późno. – Siedział w fotelu wyplatany rzemieniami z jeleniej skóry. – On nawet nie może włożyć tych trzewików. I jemu, i mnie, nam obu, stoją na przeszkodzie te zwały mięsa, które on dźwiga na sobie. On nawet nie może włożyć tych trzewików. Ale czy to moja wina?

Żył jeszcze lat pięć, a potem umarł. Rozchorował się pewnej nocy i chociaż przybył medyk w skunksowym kubraku i palił kije, to nie pomogło i umarł nazajutrz przed południem.

To było wczoraj; już wykopano grób i od dwunastu godzin wozami i karetami, konno i pieszo przybywali ludzie, żeby spożyć pieczonego psa i kukurydzę z fasolą, i pataty, i uczestniczyć w pogrzebie.

### III

– To będzie trzy dni – powiedział Trzy Kosz do tego drugiego Indianina, kiedy wracali do domu. – To będzie trzy dni i tego jadła nie wystarczy, już to raz widziałem.

Ten drugi Indianin nazywał się Louis Agrest.

– On też będzie cuchnąć przy tej pogodzie – powiedział.

– Uhu! Z tymi czarnymi tylko kłopot i zgryzota.

– Może teraz to nie będzie trzy dni.

– Oni prędko biegają. Uhu! Będzie nam cuchnąć ten Człowiek, zanim zejdzie do ziemi. Zobaczysz, czy nie dobrze mówię.

Zbliżyli się do domu.

– On już może nosić te trzewiki – powiedział Agrest. – On już może się w nich pokazywać.

– On ich jeszcze nie może nosić – powiedział Trzy Kosz. Agrest spojrzał na niego. – On poprowadzi te łowy.

– Mocketubbe? – zapytał Agrest. – Myślisz, że on poprowadzi? Ten? Przecież dla niego nawet mówienie to ciężki znój.

– A co może zrobić innego? Przecież to jego rodzony ojciec niedługo zacznie cuchnąć.

– To prawda – powiedział Agrest. – Nawet za te trzewiki jest cena i on ją musi zapłacić. Uhu! On je naprawdę kupił. Co ty o tym myślisz?

– Co ty o tym myślisz?

– Ja nic nie myślę.

– Ja też nic. Issetibbeha już nie będzie potrzebował tych trzewików. Niech je sobie ma Mocketubbe. Issetibbeha machnie na to ręką.

– Uhu! Człowiek musi umrzeć.

– Uhu! Niech sobie umiera, jest następny Człowiek.

Podtrzymywany przez okorowane cyprysowe słupy, upleciony z łyka dach ganku z wysoka ponad kasztelem statku ocieniał usypisko uklepanej ziemi, na którym zwykle, kiedy była zła pogoda, zostawiano spętane konie i muły. Na dziobie parowca siedział jakiś starzec z dwiema kobietami. Jedna z kobiet skubała drób, a druga łuskała kukurydzę. Starzec mówił. Nogi miał bosc, ubrany był w długi płócienny surdut i pilśniowy cylinder.

– Ten świat schodzi na psy – mówił. – Rozpada się przez białych. Tyle, tyle lat nam się świetnie wiodło, póki nam biali nie podrzucali tych swoich Murzynów. W dawnych czasach starzy siedzieli w cieniu, jedli duszone mięso jelenie i kukurydzę, palili tytoń i rozmawiali o honorze i o poważnych sprawach, a teraz co? Nawet starzy na śmierć się zamęczają ciągłą troską o tych, co się lubią pocić.

Urwał, kiedy Trzy Kosz i Agrest przechodzili przez pokład, i spojrzął na nich. Oczy miał kaprawe, spojrzenie zaczepne, twarz posiatkowaną niezliczonymi drobnymi zmarszczkami.

– On też uciekł – powiedział.

– Tak – powiedział Agrest. – Nie ma go.

– Wiedziałem. Mówiłem im. To potrwa trzy tygodnie, tak jak wtedy, kiedy umarł Doom. Zobaczycie.

– Wtedy trwało trzy dni, a nie trzy tygodnie – powiedział Agrest.

– Byłeś przy tym?

– Nie – powiedział Agrest. – Ale słyszałem.

– No, ja przy tym byłem – powiedział starzec. – Całe trzy tygodnie przez moczary i gąszcze...

Odeszli, nie słuchając dalszych jego słów.

Z tego, co niegdyś było barem parowca, została tylko zewnętrzna, powoli butwiejąca łupina; politurowany mahoń, rzeźbienia przebłyskiwały tylko gdzieniegdzie, niknąc w pleśni tworzącej na nich kabalistyczne, nieprzeniknione ornamenty; wyłupione

okna były jak oczy ślepców. Było tam kilka worków z nasionami czy ziarnem oraz przednia część podwozia kolaski, przy osiach której rdzewiały dwa wdzięcznie wygięte, nic nie podtrzymujące resory. W jednym kącie stała wiklinowa klatka, a w klatce tam i z powrotem, nieprzerwanie, bezszelestnie biegał mały lisek; w kurzu kręciły się trzy hodowane do walk, obskubane koguty i wszystko wokoło było poznaczone, upstrzone zeschniętym kurzym nawozem.

Dwaj Indianie przeszli przez otwór w murze i wkroczyli do dużej izby zbudowanej z popękanych bierwion. Znajdowała się tutaj tylna część kolaski i rozmontowane przewrócone na bok nadwozie z oknem wyplecionym witkami wikliny, pośród których sterczały łebki jeszcze paru kogutów o znieruchomiałych w oburzeniu, podobnych do paciorków oczach i postrzępionych grzebieniach. Podłoga była tu z uklepanej gliny; w kącie, oparte o ścianę, stały dwa ręcznie wyciosane wiosła i prymitywny pług. Z czterech rogów jelenich przytwierdzonych do sufitu zwieszało się pozłacane francuskie łóżko, które Issetibbeha przywiózł z Paryża. W łóżku nie było ani sprężyn, ani materaca i rama jego była pokratkowana schludną plecionką z rzemieni.

Issetibbeha usiłował kiedyś nakłonić swoją najnowszą żonę, młodziutką dziewczynę, żeby sypiała w tym łóżku. Sam, od urodzenia cierpiąc na brak tchu, spędzał noce w postawie tylko na pół leżącej w wyplatany fotelu. Pomagał dziewczynie wejść do łóżka, a potem rozbudzony, bo sypiał w nocy tylko trzy, cztery godziny, siedział w ciemnościach udając, że drzemie, i słuchał, jak ona wysuwa się z ozdobionego wstęgami pozłacanego łóżka powolutku, ukradkiem, żeby się położyć na pikowanym sienniku na podłodze i spać tam aż do świtu. Przed samym świtem znów ukradkiem wracała do łóżka i teraz ona z kolei udawała, że drzemie, a obok Issetibbeha śmiał się i śmiał cicho w ciemnościach.

Z dwóch kijów zatkniętych w kącie ponad dziesięciogalonową beczułką whisky zwieszały się na rzemieniach dwa żyrandole. Był tam również gliniany piec; naprzeciwko tego pieca w wyplatany fotel siedział Mocketubbe. Miał może cał ponad pięć stóp wzrostu i ważył dwieście pięćdziesiąt funtów. Pod frakiem z czarnej sajety nie nosił koszuli i tuż nad nogawkami płóciennych kalesonów pęczniał mu krągły, gładki balon obnażonego brzucha o barwie miedzi. Na nogach miał ranne pantofle z czerwonymi zapiętkami. Z tyłu za fotelem stał wyrostek z wachlarzem podobnym do hinduskiej punkah, zrobionym z pociętego w wąskie paski papieru. Mocketubbe siedział nieruchomo z wyciągniętymi przed siebie rękami, krótkimi i niezdarnymi jak łapy żółwia czy pingwina, z szeroką żółtą twarzą o zamkniętych oczach i płaskich nozdrzach, zastygłą w nieprzeniknionej tragicznej martwocie. Nie otworzył oczu, kiedy weszli Trzy Kosz i Agrest.

– On je ma na nogach od świtu? – zapytał Trzy Kosz.

– Od świtu – odpowiedział chłopak. Wachlarz nie przestał się poruszać ani na chwilę. – Przecież widzicie.

– Uhu – powiedział Trzy Kosz – widzimy.

Moketubbe nie poruszył się. Wyglądał jak rzeźba z grobowca, jak bóstwo malajskie we fraku, bez koszuli, w kalesonach i w ordynarnych pantoflach ozdobionych czerwoną skórką.

– Ja bym mu nie przeszkadzał, gdybym był wami – powiedział chłopak.

– Ja też nie, gdybym był tobą – powiedział Trzy Kosz.

Obaj z Agrestem przysiedli w kucki. Chłopak miarowo poruszał wachlarzem.

– O Człowieku! – powiedział Trzy Kosz. – Posłuchaj.

Moketubbe nie poruszył się.

– Tego czarnego nie ma – powiedział Trzy Kosz.

– A nie mówiłem wam? – powiedział chłopak. – Ja wiedziałem, że on ucieknie. Mówiłem wam.

– Uhu! – powiedział Trzy Kosz. – Nie ty pierwszy mówisz nam potem to, co powinniśmy wiedzieć przedtem. Dlaczego żaden z was wszystkich takich mądrych nie zrobił nic, żeby temu przeszkodzić wczoraj?

– On nie ma ochoty umrzeć – powiedział Agrest.

– Dlaczego miałby nie mieć ochoty? – zapytał Trzy Kosz.

– To, że kiedyś i tak musi umrzeć, to jeszcze nie powód, żeby teraz miał ochotę – powiedział chłopak. – Mnie by to też nie przekonało, staruszk.

– Nie gadaj tyle – powiedział Agrest.

– Przez dwadzieścia lat – powiedział Trzy Kosz – kiedy inni z jego plemienia pocili się na polach w słońcu, on służył Człowiekowi w cieniu. Dlaczego miałby nie mieć ochoty umrzeć, skoro nie miał ochoty się pocić?

– To będzie prędko – powiedział Agrest. – To nie potrwa długo.

– Złapcie go i jemu to powiedzcie – powiedział chłopak.

– Cicho bądź – powiedział Agrest.

Siedzieli w kucki, patrząc na twarz Moketubbe. On sam równie dobrze mógł być nieboszczykiem. Doznawało się wrażenia, że pod zwałami tłuszczu, pokrywającymi go tak dokładnie, nawet oddychanie odbywa się zbyt głęboko na to, żeby być postrzegalne.

– O Człowieku, posłuchaj – powiedział Trzy Kosz. – Issetibbeha nie żyje, Issetibbeha czeka. Mamy jego psa, mamy jego konia. Ale jego niewolnik uciekł. Ten, który trzymał przed nim garnek, ten który jadł jego jadło, z jego stołu, uciekł. Issetibbeha czeka.

– Uhu! – powiedział Agrest.

– To nie jest pierwszy raz – powiedział Trzy Kosz. – To już się zdarzyło wtedy, jak Doom, twój dziad, leżał i czekał u drzwi ziemi. Przez trzy dni leżał, czekał i pytał: „Gdzie mój Murzyn?”, a Issetibbeha, twój ojciec, odpowiadała: „Odnajdę go! Odpoczywaj! Przeprowadzę go do ciebie, żebyś mógł rozpocząć podróż!”

– Uhu! – powiedział Agrest.

Moketubbe nie poruszył się, nie otworzył oczu.

– Przez trzy dni Issetibbeha polował w wąwozie – powiedział Trzy Kosz. – Nie wracał do domu nawet, żeby jeść, dopóki nie przywiózł ze sobą tego Murzyna. Wtedy powiedział do Dooma, swojego ojca: „Oto twój pies, twój koń, twój Murzyn. Odpoczywaj!” Tak powiedział Issetibbeha, który od wczoraj nie żyje. A teraz uciekł Murzyn Issetibbehy. Jego koń czeka, jego pies czeka, ale jego Murzyn uciekł.

– Uhu! – powiedział Agrest.

Moketubbe nie poruszył się. Oczy miał zamknięte; w jego rozciągniętej na wznak potwornej postaci był jakiś kolosalny bezwład, coś do głębi nieruchomego, niezależnego od ciała, coś absolutnie nie do zwalczenia przez ciało. Przykucnięci patrzyli na jego twarz.

– Twój ojciec niedawno został Człowiekiem, kiedy to się zdarzyło – powiedział Trzy Kosz. – I to właśnie on, Issetibbeha, sprowadził tego niewolnika z powrotem tam, gdzie jego ojciec czekał, żeby zejść do ziemi.

Twarz Moketubbe nie drgnęła, oczy nie drgnęły. Po chwili Trzy Kosz powiedział:

– Ściągnij te trzewiki.

Chłopak ściągnął pantofle. Moketubbe zaczął sapać poruszając obnażoną pierś tak głęboko, jak gdyby spoza bezdennej masy tłuszczu wydobywał się z powrotem do życia – jak z wody, jak z morza. Ale oczy wciąż miał zamknięte.

Agrest powiedział:

– On poprowadzi łowy.

– Uhu – powiedział Trzy Kosz – on jest Człowiekiem. On poprowadzi łowy.

#### IV

Przez ten cały dzień Murzyn, służący Issetibbehy, śledził z ukrycia w szopie konanie swego pana. Murzyn miał lat czterdzieści, był Gwinejczykiem. Miał głowę małą jak pięść i płaski nos; kąciki jego oczu przy nosie były nieco wywinięte i czerwone, wypukłe dziąsła nad kwadratowymi, szerokimi zębami miały czerwień bladą, sinawą. Kiedy handlarz niewolników wywiózł go z Kamerunu, był czternastoletnim wyrostkiem o

zębach jeszcze nie spiłowanych. Służącym Issetibbehy był od lat dwudziestu trzech.

Poprzedniego dnia – tego dnia, w którym Issetibbeha zachorował – Murzyn wrócił do kwater o zmierzchu. W tej porze spokoju i braku pośpiechu dymy ognisk, na których gotowano, snuły się powoli od drzwi do drzwi, z jednej strony uliczki na drugą, niosąc zapach wszędzie jednakowego mięsa i chleba. Ogniskami zajmowały się kobiety; mężczyźni, zgromadzeni u wylotu uliczki, patrzyli na niego, kiedy schodził ze zbocza od strony domu, powoli, ostrożnie stawiając bosc stopy w zmierzchowym mroku. Z oczami błyskającymi w mroku zbliżył się do czekających.

– Issetibbeha jeszcze nie umarł – powiedział naczelnik.

– Nie umarł? – powiedział służący. – Kto nie umarł?

W tym zmierzchowym mroku i on, i oni wszyscy mieli jednakowe twarze, za którymi ich różny wiek i różne myśli zapieczętowane były nie do odczytania – twarze niby śmiertelne maski małp. Zapach ognisk, gotowania niósł się jakby z jakiegoś innego świata ostrym, ale powolnym powiewem przez ten dziwny zmierzchowy mrok ponad uliczką i nagimi Murzyniátkami w kurzu.

– Jeżeli on przeżył ten zachód słońca, to będzie żyć aż do świtu – powiedział jeden z nich.

– Kto tak mówi?

– Gadanie mówi.

– Uhu! Gadanie mówi. My wiemy tylko jedno.

Spojrzeli na służącego, który stał między nimi i patrzył oczami błyskającymi w mroku. Oddychał powoli i głęboko. Pierś miał obnażoną; pocił się trochę.

– On wie. On to wie – powiedzieli.

– Uhu! Pozwólmy mówić bębnom.

– Uhu! Niech bębny to powiedzą.

Bębny odezwały się, kiedy zapadła ciemność. Trzymali je w ukryciu na dnie wąwozu. Były to wydrążone cyprysowe pniaki i Murzyni trzymali je w ukryciu; dlaczego, nie wiedział nikt. Były zakopane w mule na brzegu trzęsawiska, pilnował ich czternastoletni chłopiec, niedorozwinięty i niemy; całymi dniami siedział tam na piętach w mule, w chmurze moskitów, zupełnie nagi, oblepiony tylko warstwą mułu, którą chronił się przed moskitami, z torbą z włókna zawieszoną na szyi, zawierającą świńskie żebro z czarnymi resztkami strzępów mięsa, i w naszyjniku zrobionym z dwóch kawałków kory nanizanych na drut. Ślinił się i ślina spływała mu na zaciśnięte kolana; od czasu do czasu spoza krzaków bezszelestnie wychodzili Indianie i stawali dumając nad nim przez chwilę, ale on nigdy o tym nie wiedział.

Murzyn słyszał te bębny w swojej kryjówce na poddaszu szopy, leżąc tam o zmierzchu i po zapadnięciu zupełnych ciemności. Dźwięki bębnów dolatywały z odległości trzech mil, ale on słyszał je tak, jakby waliły głucho, głucho tuż pod podłogą, na której leżał. To było tak, jakby słysząc je widział jednocześnie i ten ogień, i czarne kończyny w miedzianych pobłyskach, kręcące się na tle płomieni. Tylko że tam przy bębnach nie było teraz ognia. Nie było tam światła więcej niż tu, gdzie leżał, na tym zakurzonym poddaszu, w rozszemranych arpeggiach dreptania szczurów po nagrzanym, od niepamiętnych czasów krzyżującym się krokwiach. Jedyne ognie przy bębnach to dymna osłona przed moskitami, tam gdzie karmiąc dzieci siedzą przykucnięte kobiety o piersiach ciężkich, obwisłych, pełnych i gładkich, z sutkami w ustach męskich potomków, kobiety zadumane, głuche na bębnienie; jedyny ogień to dymna zasłona, bo ogień oznaczałby życie, a nie śmierć.

Ogień palił się u Indian w kasztelu parowca, tam gdzie umierał Issetibbeha wśród swoich żon, pod żyrandolami na rzemieniach i pod zawieszonym w powietrzu łóżkiem. Murzyn widział dym tego ognia przez całą noc, a na chwilę przed wschodem słońca zobaczył, że wychodzi stamtąd medyk w skunksowym kubraku, żeby na dziobie pokładu zapalić dwa oblepione gliną kije.

– On jeszcze nie umarł – powiedział Murzyn w rozszepczany mrok poddasza i natychmiast sam sobie odpowiedział; słyszał przy tym dwa głosy: siebie samego i siebie samego.

– Kto nie umarł?

– Tyś umarł.

– Uhu. Umarłem – powiedział spokojnie.

Zapragnął być tam przy bębnach. Zapragnął wyskoczyć z zarośli, wskoczyć między bębny, tak szybko mignąć w powietrzu nagimi, chudymi, wysmarowanymi tłuszczem nogami, żeby aż nie było tych nóg widać. Ale nie mógł tego zrobić. Bo chociaż człowiek musi przeskoczyć przez życie, zanim wskoczy w śmierć, chociaż śmierć zabiera człowieka dopiero na końcu życia, on runął już w śmierć, pomimo że żył jeszcze. Śmierć zagarnęła go od tyłu jeszcze w pełni życia. Nikły szepcący szept szczurzego dreptania zamierał w oddalających się podmuchach wzdłuż krokwi. On już kiedyś jadł szczura. Był wtedy chłopakiem i właśnie jechał do Ameryki. Przez dziewięćdziesiąt dni mieszkali wtedy w wysokim na trzy stopy pomieszczeniu pomiędzy pokładami statku płynącego po wodach podzwrotnikowych, a z góry dolatywał do nich głos pijanego kapitana z Nowej Anglii, który intonował coś z jakiejś książki; tą książką była Biblia: ale on dowiedział się o tym dopiero w dziesięć lat później. Przykucnięty w szopie przypominał sobie teraz, jak przyglądał się wtedy szczurowi już ucywilizowanemu przez styczność z człowiekiem, już pozbawionemu wrodzonej chytrącości, chytrącości członków i oka; bez trudu, niemal nie poruszając ręką, złapał wtedy tego szczura, a potem zjadł go powoli, i nie mógł się

nadziwić, że też w ogóle jakieś szczury mogły kiedykolwiek uciekać. W tym czasie był ubrany tylko w długą koszulę, którą dostał od handlarza niewolników, diakona Kościoła Unitariańskiego, i mówił tylko językiem ojczystym.

Teraz miał na sobie jedynie portki z grubego perkalu, zakupione przez Indian od białych, i rzemień wokoło bioder, na którym wisiał amulet. Amulet składał się z połowy lorgnon z macicy perłowej, paryskiego nabytku Issetibbehy, oraz z czaszki żmii mokasyn. Sam zabił tę żmiję i zjadł, odrzucając jej trujący łeb. Leżał teraz na tym poddaszu i patrzył na dom, na parowiec, i słuchał bębnow, i wyobrażał sobie, jak by to było, gdyby on tam był przy tych bębnach.

Przez całą noc leżał na poddaszu. Rano zobaczył, jak medyk w skunksowym kubraku wychodzi z domu, dosiada muła i odjeżdża, i wtedy znieruchomiał patrząc na rozwiewającą się w powietrzu ostatnią chmurkę pyłu spod kopyt muła. A potem stwierdził, że jeszcze oddycha, i zdziwił się, że jeszcze oddycha, że jeszcze potrzebuje powietrza. A potem leżał odwlekając chwilę jakiegokolwiek ruchu, oddychając lekko i regularnie, spokojnie patrząc oczami o białkach nieco błyszczących, ale błyskiem spokojnym, i nagle zobaczył Louisa Agresta, który wyszedł z domu i spojrział w niebo. Było już wtedy zupełnie jasno i wzdłuż pokładu parowca siedziało w kucki pięciu Indian świątecznie wystrojonych; w południe było ich tam dwudziestu pięciu. A po południu wykopano rów, w którym miały się piec pataty i mięso. W tym czasie była tam już prawie setka gości godnych, spokojnych, cierpliwych i sztywnych we wspaniałościach konfekcji europejskiej, a Murzyn patrzył, jak Agrest wyprowadza ze stajni klacz Issetibbehy i przywiązuje ją do drzewa, a potem patrzył, jak Agrest wychodzi z domu ze starym ogarem, który zawsze leżał przy fotelu Issetibbehy. Agrest przywiązał ogara do tego samego drzewa i ogar siedział tam, poważnie rozglądając się po twarzach gości. A potem zaczął wyć. Wył jeszcze o zachodzie słońca, kiedy Murzyn zsunął się w dół po ścianie szopy i wszedł do strumienia, nad którym leżał już zmierzch. A potem Murzyn zaczął biec. Biegając nad strumieniem słyszał za sobą wycie psa, a już w pobliżu źródła minął innego Murzyna. Przez sekundę obaj, jeden nieruchomy, drugi w biegu, popatrzyli na siebie tak, jakby ich dzieliła jakaś namacalna granica pomiędzy dwoma światami... Z ustami zamkniętymi, z zaciśniętymi pięściami, z nozdrzami miarowo kurczącymi się i rozdymającymi służący Issetibbehy biegł dalej w zupełną ciemność.

Biegł w ciemności. Znał dobrze te okolice, bo często polował tu ze swoim panem, jadąc na mule przy klaczy Issetibbehy w pościgu za lisem czy żbikiem; znał te okolice tak dobrze jak ludzie, którzy mieli wyruszyć za nim w pogoń. Po raz pierwszy zobaczył ich przed zachodem słońca drugiego dnia. Klucząc, zanim zawrócił, przebiegł już trzydzieści mil dnem wąwozu, a teraz leżał w gąszczu paw-paw i zobaczył pościg po raz pierwszy. Było ich dwóch w koszulach i w kapeluszach ze słomy, ze starannie zwiniętymi spodniami, które każdy z nich niósł pod pachą, i bez broni. Obaj byli w średnim wieku, mieli wielkie brzuchy i w żadnym razie nie mogli poruszać się szybko, pomyślał więc sobie, że minie dwanaście godzin, zanim zdołają powrócić tam, gdzie leżał patrząc na nich

teraz.

– Więc mam czas odpocząć do północy – powiedział.

Był tak blisko Plantacji, że czuł zapach ognisk, na których gotowano jadło, i przyszło mu na myśl, że chyba jest głodny, skoro nie jadł już od trzydziestu godzin.

– Ale ważniejsze, żeby odpocząć – powiedział do siebie.

Leżąc tam w gąszczu paw-paw ciągle to sobie powtarzał, bo wysiłek i potrzeba wypoczynania, pośpiech nagłący do tego wypoczynku sprawiały, że serce dudniło mu głucho, dudniło nie mniej niż przedtem w biegu. To było tak, jakby zapomniał, jak się odpoczywa, tak jakby tych sześć godzin było czasem za krótkim i na to, żeby odpocząć, i na to, żeby sobie przypomnieć, jak to się robi.

Natychmiast po zapadnięciu ciemności wyruszył dalej. Postanowił iść równo i spokojnie przez całą noc, bo przecież i tak właściwie nie miał dokąd iść, ale natychmiast kiedy ruszył z miejsca, zaczął biec, jak tylko mógł najprędzej, szeroko rozdymając nozdrza, prac zdyszana piersią poprzez duszną, chłuszczącą ciemność. Po godzinie takiego biegu, w którym zupełnie zatracił kierunek, zatrzymał się nagle i nasłuchując po chwili odróżnił od głuchego dudnienia swojego serca dudnienie bębnow. Bębny słyhać było z odległości niespełna dwóch mil; szedł za tym odgłosem, dopóki nie poczuł zapachu dymnego ogniska i smaku cierpkiego dymu. Kiedy stanął wśród bębnow, dźwięki ich nie ustały, tylko naczelnik podszedł do niego, a on stał w rozsnuwającym się dymie zdyszany, z nozdrzami rozdętymi i tętnicami, z białkami oczu to przyćmionymi, to błyskającymi niespokojnie w oblepionej mułem twarzy, tak jakby ich błysk był pompowany przez płuca.

– Spodziewaliśmy się ciebie – powiedział naczelnik. – No, masz iść.

– Iść?

– Zjeść i iść. Umarli nie mogą zadawać się z żywymi, wiesz o tym.

– Uhu! Wiem.

Nie patrzyli na siebie. Dudnienie bębnow nie ustawało.

– Będziesz jadł? – zapytał naczelnik.

– Nie jestem głodny. Dziś po południu złapałem królika i zjadłem, jak leżałem w kryjówce.

– Więc weź sobie trochę gotowanego mięsa.

Wziął gotowane mięso owinięte w liście i znów wszedł w wąwóz; po jakimś czasie dźwięki bębnow ustały. Szedł bez przerwy do świtu.

– Mam dwanaście godzin – powiedział. – Może więcej, bo oni tropili mnie w nocy, a to zawsze wolniej niż w dzień.

Przykucnął, zjadł mięso i wytarł ręce o uda. A potem wstał, zdjął perkalowe portki i znów przykucnął na brzegu trzęsawiska, oblepił się mułem – twarz, ręce, nogi, całe ciało, po czym znów przykucnął z zaciśniętymi kolanami i z pochyloną głową. Kiedy rozjaśniło się na tyle, że mógł widzieć, cofnął się w trzęsawisko i przykucnięty tam zasnął. Nie śniło mu się nic. Dobrze się stało, że w tym śnie się poruszył, bo budząc się nagle w pełnym blasku dnia, kiedy słońce było już wysoko na niebie, zobaczył tych dwóch Indian. I jeden, i drugi wciąż jeszcze trzymali swoje starannie zwinięte spodnie pod pachą; stali naprzeciw jego kryjówki brzuchaci, otyli, łagodni, trochę śmieszni w kapeluszach ze słomy, w koszulach ze zwisającymi połami.

– To męcząca robota – powiedział jeden z nich.

– Wolałbym być w domu, tam gdzie jest cień – powiedział drugi. – Ale tam Człowiek czeka w drzwiach ziemi.

– Uhu!

Rozejrzeli się spokojnie; jeden z nich pochylił się i z poły koszuli zdjął główkę łopianu.

– Przekleństwo na tego Murzyna – powiedział.

– Uhu! Czyż oni dla nas nie byli zawsze tylko utrapieniem i zgryzotą?

Wkrótce po południu Murzyn siedział na wierzchołku drzewa i patrzył w dół na Plantację. Widział zwłoki swojego pana na hamaku rozwieszonym pomiędzy drzewem, do którego przywiązano konia, a drugim drzewem, do którego przywiązano psa, i widział plac wokoło parowca zapełniony wozami i wózkami, końmi, mułami pociągowymi i wierzchowymi, i widział jaskrawe gromady kobiet, młodszych dzieci i starców siedzących w kucki nad długim rowem, w którym piekło się na ruszcie mięso biesiadne pośród gęstego, powoli rozsnuwającego się dymu. Wszyscy mężczyźni i starsi chłopcy starannie pozwijali swoje świąteczne ubrania, powtykali je w rozwidlenia drzew i udali się w pogoń za nim do wąwozu. Pomimo to zobaczył jeszcze gromadkę mężczyzn przed drzwiami domu, czyli baru parowca, a po chwili zorientował się, że ci mężczyźni wynoszą samego Mocketubbe w lektyce z kozłich skór i tyk persymonowych. Wysoko wśród liści ukryty Murzyn, zwierzyzna tych łowów, spokojnie patrzył w dół na swoje nieodwołalne przeznaczenie, przy czym wyraz jego twarzy był tak nieprzenikniony jak wyraz twarzy Mocketubbe.

– Uhu – powiedział spokojnie. – Więc on wyruszy też. Ten człowiek, co ma ciało od lat piętnastu nieżywe, wyruszy też.

Później po południu wpadł na jakiegoś Indianina. Obaj byli wtedy na kłodzie przerzuconej przez bagno – Murzyn mizerny, chudy, silny, niezmordowany i gotów na wszystko, Indianin otyły, łagodny, pozorne wcielenie ostatecznego i szczytowego bezwładu i niechęci do wszelkiego czynu. Indianin nie poruszył się, nie odezwał; stał na

kłodzie i patrzył, jak Murzyn daje nura w bagno, płynie do brzegu i wśród trzasku gałęzi umyka w zarośla.

Przed zachodem słońca leżał za zwałonym pniem drzewa. Po pniu powolną procesją, jedna za drugą posuwały się mrówki. Chwytał je i zjadał powoli, niejako z roztargnieniem, jak gość na obiedzie wyjadający solone orzeszki z salaterki. Mrówki też były słone i wywoływały ślinotok nieproporcjonalnie obfity w stosunku do ich rozmiarów. Zjadał je powoli i patrzył, jak nieprzerwanym szeregiem, z wytrwałym, straszliwym uporem nie zbaczając z drogi, posuwają się po pniu prosto w swoją jeszcze niewiadomą zagładę. To było wszystko, co jadł przez ten cały dzień; obwódki oczu łypiących w masce skawalonego mułu miał zaczerwienione. O zachodzie słońca, kiedy czołgał się brzegiem wąwozu, ku miejscu, w którym spostrzegł żabę, tępym, leniwym ciosem w przedramię chlasnęła go nagle żmija mokasyn. Trzasnęła go niezdarnie, pozostawiając mu w poprzek ręki dwa długie cięcia podobne do cięć brzytwy, a potem na pół wyciągnięta we wściekłym rozpędzie zeszywniała, znieruchomiała, całkowicie obezwładniona swoją niezdarną, gwałtowną złością.

– Olé, przodkowie moi – powiedział Murzyn.

Poruszył żmiję i patrzył, jak żmija znów i znów go uderza, przeorywując mu rękę niezdarnymi, szybko następującym po sobie, tępymi chlaśnięciami.

– To dlatego, że ja nie chcę umrzeć – powiedział.

A potem powtórzył raz jeszcze:

– To dlatego, że ja nie chcę umrzeć.

Głos miał przy tym spokojny, pełen otepiałego, powolnego oszołomienia, jakby to było coś, czego, póki te słowa nie wypowiedziały się same, nie wiedział zupełnie czy też może nawet i wiedział, tylko jeszcze nie znał całej głębi, całego natężenia swojej miłości do życia.

## V

Moketubbe zabrał ze sobą pantofle. Nie mógł ich długo mieć na nogach nie tylko wtedy, gdy się poruszał, ale nawet wtedy, gdy spoczywał bezwładnie w lektyce, więc leżały teraz na kwadracie jelonkowej skóry na jego podołku – te popękane, delikatne, miękkie pantofle, trochę rozklapane, ze złuszczonym lakierem na wierzchach, z językami bez sprzączek i ze szkarłatnymi zapiętkami leżały na rozciągniętym, na pół leżącym otyłym ciele, w którym życie ledwie się tliło; poprzez moczary i cierniste gąszcze lektykę niosły wciąż dalej i dalej rozkołysane sztafety, wytrwale dzień cały taszcząc zbrodnię i jej motyw po to, by sama ofiara tej zbrodni mogła spoczywać w spokoju. Dla Mocketubbe musiało to być czymś w rodzaju błyskawicznej przeprawy przez piekło, w które niosły go, nieśmiertelnego, potępione duchy ludzi przedtem, za życia, knujących jego zgubę, a teraz

po śmierci, będących obojętnymi współnikami jego potępienia.

Po chwili odpoczynku w lektyce, ustawionej pośrodku w kręgu przykucniętej świty, Mocketubbe, nieruchomy, z oczami zamkniętymi, z twarzą jeszcze spokojną przez chwilę, ale już z przeblyskiem świadomości tego, co zaraz nieuniknienie nastąpi – mógł na jakiś czas wkładać pantofle. Kiedy służący chłopak wpychał w pantofle wielkie, wrażliwe, rozdęte wodną puchliną stopy, na twarzy Mocketubbe znów pojawiał się ów wyraz tragiczny, bierny i głęboko uważny, wyraz ludzi cierpiących na niestrawność. A potem ruszyli dalej. Mocketubbe bez ruchu, bez słowa kiwał się bezwładnie, nie tyle może w takt kołysania się lektyki, co raczej siłą swojego bezwładu czy może siłą takiej królewskiej cnoty jak odwaga lub męstwo. Po jakimś czasie znów ustawiali lektykę na ziemi i patrzyli na jego żółtą twarz pokrytą kropelkami potu, podobną do oblicza bożka. Zawsze w takich chwilach Trzy Kosz czy Miał-Dwóch-Ojców mawiał:

– Zdejmijcie je. Honorowi stało się zadość.

Zdejmowali mu pantofle. Twarz Mocketubbe nie zmieniała się przy tym, tylko wtedy oddech jego, dobywając się z bladych warg z nikłym szmerkiem „aaaa”, stawał się postrzegalny, a oni wszyscy znów siedzieli w kucki, kiedy przybywali gońcy.

– Jeszcze nie?

– Jeszcze nie. On idzie na wschód. O zachodzie słońca dojdzie do wylotu Tippach. A potem zawróci. Może go jutro złapiemy.

– Miejmy nadzieję. To nie będzie za wcześnie.

– Uhu! Dziś już trzy dni.

– Kiedy umarł Doom, to trwało tylko trzy dni.

– Ale tamten czarny był stary. Ten jest młody.

– Uhu! Dobry wyścig. Jeżeli jutro się go złapie, wygram konia.

– Może wygrasz.

– Uhu! To nie jest przyjemna robota.

Właśnie tego dnia na Plantacji zabrakło jada. Goście odjechali do domów i nazajutrz powrócili z większą ilością jada, dostateczną na cały tydzień. Właśnie tego dnia Issetibbeha zaczął cuchnąć; czuć go było z daleka w jedną stronę wąwozu i w drugą, kiedy koło południa zrobiło się gorąco i powiał wiatr. Ale ani tego dnia, ani następnego nie pojмали Murzyna. Zapadał już zmierzch szóstego dnia, kiedy gońcy przyszedli do lektyki z wiadomością, że znaleźli ślady krwi.

– On się skaleczył.

– Mam nadzieję, że nie bardzo – powiedział Trzy Kosz. – Przecież nie możemy wysłać z Issetibbehą takiego, który na nic mu się nie zda.

– Ani takiego, którego Issetibbeha sam by musiał pielęgnować i jeszcze się o niego troszczyć.

– Nie wiemy – powiedział goniec. – On się ukrył. Zaczął się z powrotem w bagno. Zostawiliśmy tam posterunki.

Pokłusowali teraz z lektyką. To miejsce, z którego Murzyn poczołgał się w bagno, było oddalone o godzinę drogi. W pośpiechu i w podnieceniu zapomnieli, że Mocketubbe ma jeszcze pantofle na nogach, i dopiero kiedy dotarli do celu, zobaczyli, że Mocketubbe zemdłał. Zdjęli, mu pantofle i doprowadzili go do przytomności.

Po zapadnięciu zmroku otoczyli bagno. Siedzieli w kucki osłonięci chmurami komarów i moskitów; na zachodzie nisko i blisko paliła się gwiazda wieczorna i na niebie zaczynały już się wytaczać gwiazdne konstelacje.

– Damy mu czas – powiedzieli. – Jutro to tylko inne imię dnia dzisiejszego.

– Uhu! Niech ma czas.

A potem umilkli i wszyscy jak jeden wpatrzyli się tam, gdzie w ciemnościach rozciągało się bagno. Hałas dochodzący stamtąd wkrótce ucichł, po czym z ciemności wyszedł goniec.

– Próbował nam uciec z bagna.

– Aleście go zawrócili?

– Sam zawrócił. Baliśmy się go przez chwilę wszyscy trzej. Pachniał nam, jak się czołgał w ciemnościach, i jeszcze coś nam pachniało, ale nie wiemy co. Baliśmy się właśnie dlatego, póki do nas nie przemówił. Powiedział, żeby go zabić od razu tam, bo tam jest ciemno, więc nie będzie musiał zobaczyć tej twarzy, która do niego przyjdzie. Ale nie to nam pachniało. Powiedział nam, co to jest. Wąż go uderzył. To było dwa dni temu. Ręka mu spuchła i było ją czuć. Ale to też nie było to, co nam tak pachniało, bo opuchlizna już otęchła i ręka zrobiła się mała jak u dziecka. Pokazał nam. Macaliśmy mu rękę, wszyscy trzej macaliśmy; mała jak u dziecka. Powiedział, żeby mu dać toporek, to sobie odrąbie tę rękę. Ale jutro to także jest dzisiaj.

– Uhu! Jutro to także jest dzisiaj.

– Baliśmy się przez chwilę. A potem on wrócił w bagno.

– To dobrze.

– Uhu! Baliśmy się. Czy mam powiedzieć Człowiekowi?

– Zobaczę – powiedział Trzy Kosz.

Odszedł. Goniec, siedząc w kucki, znów opowiadał o Murzynie. Trzy Kosz wrócił.

– Człowiek powiedział, że to dobrze. Wracaj na posterunek.

Goniec odpełznął. Siedzieli w kucki wokoło lektyki, chwilami zasypiali. W jakiś czas po północy obudził ich Murzyn. Zaczął krzyczeć i mówić coś do siebie głosem wydzierającym się ostro, gwałtownie z ciemności – a potem zamilkł. Nadszedł brzask; biały żuraw przetrzepotał powoli przez żonkilowe niebo. Trzy Kosz czuwał.

– Już ruszajmy – powiedział. – Już jest dzisiaj.

Dwaj Indianie hałaśliwie weszli w bagno. Nie dochodząc do Murzyna zatrzymali się, bo Murzyn zaczął śpiewać. Widzieli go, jak nagi, oblepiony mułem siedzi na zwalonym pniu i śpiewa. Przykucnęli cicho w niewielkiej od niego odległości i czekali, aż skończy. Śpiewał coś swoją własną mową z twarzą uniesioną ku wschodzącemu słońcu. Śpiewał głosem czystym i pełnym, dzikim jakimś i smutnym.

– Niech ma czas – powiedzieli Indianie, cierpliwie siedząc w kucki i czekając.

Wreszcie umilkł i wtedy do niego podeszli. Obejrzał się i podniósł na nich oczy w twarzy pokrytej spękaną maską mułu. Oczy miał nabiegłe krwią, wargi spękane nad kwadratowymi, krótkimi zębami. Zdawało się, że maska z mułu nie przylega mu do twarzy ściśle – tak jak gdyby od chwili, kiedy oblepił twarz mułem, utracił na niej ciało; lewą rękę trzymał przy piersi. Od łokcia w dół ręka była oblepiona czarnym mułem i bezkształtna. Czuli jego zapach, mdły zapach. Przez chwilę przyglądali mu się w milczeniu, a potem jeden z nich dotknął jego ramienia.

– Chodź – powiedział Indianin. – Dobrze uciekałeś. Nie masz się czego wstydzić.

## VI

Kiedy się zbliżali do Plantacji w zmaconą dymem jaskrawą jasność poranku, Murzyn zaczął przewracać oczami jak koń. Dym z jamy, w której gotowano, miótł się nisko po ziemi, po przykucniętych na pokładzie parowca i gdzieś na dziedzińcu gościach: kobietach, dzieciach, starcach obleczonych w jaskrawe, sztywne, rażące wzrok, okazałe stroje. Z wąwozu przysłano gońców i innych z wiadomością, więc zwłoki Issetibbehy zostały już przeniesione tam, gdzie czekał na niego grób z jego koniem i z jego psem, chociaż jeszcze czuć było zapach jego śmierci w domu, w którym mieszkał za życia. Goście zaczęli już ruszać w stronę grobu, kiedy Ludzie z lektyką Mocketubbe wchodzili na zbocze wzgórza.

Murzyn był tam najwyższy i jego wysoko osadzona mała, oblepiona mułem głowa majaczyła nad nimi wszystkimi. Oddychał ciężko, jak gdyby ten cały desperacki wysiłek sześciu przeżytych w zawieszeniu desperackich dni zwał się na niego od razu niby jeden wielki wystrzelony z katapulty kamień; chociaż szli powoli, jego naga pokryta bliznami pierś ponad zaciśniętą pięścią lewej ręki podnosiła się i opadała bardzo szybko. Patrzył to tu, to tam, tak jakby nie widział nic, jakby jego spojrzenie nie padało nigdzie. Lekko rozchylając usta, ukazując wielkie białe zęby, zaczął dyszeć. Goście już w drodze do

grobu, niektórzy z kawałkiem mięsiwa w rękach, zatrzymali się, stanęli, obejrzeni się, a on patrzył na ich twarze dzikimi, niezdolnymi do patrzenia, rozlatanymi oczami.

– Przedtem będziesz jadł? – zapytał Trzy Kosz. Musiał zapytać o to dwa razy.

– Tak – powiedział Murzyn. – Właśnie. Chce mi się jeść.

Tłum zaczął już napierać od tyłu, ku ich grupie; przekazano te słowa tym, którzy byli najdalej.

– On przedtem będzie jadł.

Doszli do parowca.

– Siadaj – powiedział Trzy Kosz.

Murzyn usiadł na krawędzi pokładu. Wciąż jeszcze dyszał, pierś mu falowała, głowa nieustannie odwracała się z boku na bok, białka łypały. Patrzył nie widząc, tak jakby ta jego niezdolność widzenia wypływała z wewnątrz, z braku nadziei, a nie z jakiegoś zewnętrznego zaćmienia wzroku. Przynieśli mu jadło i patrzyli spokojnie, kiedy usiłował jeść. Nappełnił usta i żuł, ale wkrótce na pół przeżuta masa zaczęła się wynurzać z kącików ust i ściekać mu ze śliną po podbródku na pierś, a on przestał żuć i już nie żując, siedząc tam nagi, oblepiony zeschniętym mułem, z talerzem na kolanach, z ustami otwartymi nad masą przeżutego jada, z oczami rozszerzonymi, rozlatanymi, dyszał i dyszał. Patrzyli na niego i czekali cierpliwi, nieubłagani.

– No – powiedział wreszcie Trzy Kosz.

– Wody chcę – powiedział Murzyn. – Chcę wody.

Studnia była nieco niżej na zboczu od strony kwater.

Zbocze leżało pocętkowane cieniami południa – tej południowej spokojnej godziny, kiedy Issetibbeha zwykle drzemał w swoim fotelu w oczekiwaniu na południowy posiłek i następujące po nim długie popołudnie snu, a Murzyn, jego służący, miewał wolny czas. Przesiadywał wtedy w drzwiach kuchni i rozmawiał z kobietami, które przyrządzały jadło. Uliczka za kuchnią pomiędzy dwoma rzędami kwater była spokojna, cicha i tylko kobiety rozmawiały ze sobą z przeciwległych chat, a dym gotowania snuł się na Murzyniątku podobne do hebanowych zabawek w kurzu.

– Chodź – powiedział Trzy Kosz.

Murzyn szedł między nimi, wyższy od nich wszystkich. Goście zdążali do miejsca, w którym ze swoim koniem i ze swoim psem czekał Issetibbeha. Murzyn szedł, nieustannie kręcąc wysoko osadzoną głową, falując pierś, dysząc.

– No – powiedział Trzy Kosz – chciałeś wody.

– Tak – dysząc powiedział Murzyn – tak.

Dyszał. Obejrzał się na dom, a potem na kwatery, w których dzisiaj nie paliło się żadne ognisko i nie było widać żadnej twarzy w drzwiach, żadnego Murzyniątka w kurzu.

– Tu mnie trzasnęła, przeorała po tej ręce. Jeden raz, dwa razy, trzy razy. Powiedziałem: „Olé, przodkowie moi!”

– No, chodź już – powiedział Trzy Kosz.

Murzyn wciąż jeszcze przedzierał się przez własne kroki, wysoko unosząc kolana, wysoko trzymając głowę, tak jak gdyby wprzęgnięty był w kierat. Jak koń przewracał oczami dzikimi, niezdolnymi do patrzenia.

– Chciałeś wody – powiedział Trzy Kosz. – Pij!

Przy studni wisiała tykwa. Napętnili tykwę wodą, podali ją Murzynowi i patrzyli na niego, kiedy usiłował pić. Oczy nie przestały mu latać na wszystkie strony, kiedy powolnym ruchem przechylał tykwę do swojej zamulonej twarzy. Patrzyli, jak jego krtań pracuje, jak świetlista woda kaskadami spływa mu z obu stron tykwy na podbródek i pierś. A potem woda przestała spływać.

– No – powiedział Trzy Kosz.

– Zaraz – powiedział Murzyn.

Jeszcze raz zanurzył tykwę w studni i jeszcze raz przychylił tykwę do twarzy pod rozlatanymi oczami. Jeszcze raz patrzyli, jak jego krtań pracuje, jak nie połknięta woda powleka mu niezliczonymi kroplami podbródek i żłobi sobie koryto na oblepionej zeschniętym mułem piersi. Czekali cierpliwie, poważni, godni i nieubłagani – członek plemienia i gość, i krewniak. A potem woda przestała spływać, chociaż pusta tykwa wciąż jeszcze przechylała się dnem coraz wyżej i wyżej, chociaż czarne gardło Murzyna wciąż jeszcze małpowało daremnie łykanie czegoś, czego już nie było. Kawał podmytego wodą mułu oderwał się Murzynowi od piersi i upadł mu na zamulone stopy, a oni słyszeli, jak w pustej tykwie gra jego oddech: a-a-a-a-a-a.

– No – powiedział Trzy Kosz odbierając Murzynowi tykwę i zawieszając ją z powrotem na studni.

*Przełożyła  
Zofia Kierszys*

# W TYŁ ZWROT

## I

Amerykanin – ten starszy – nie miał na sobie myśliwskich bedfordów. Ubrany był w bryczesy uszyte tak jak kurtka, ze zwykłego drelichu. A jego kurtka bez długich poł londyńskiego kroju wystawała spod pasa koalicyjnego brzegiem zupełnie prostym, podobnie jak wystaje spod pasa do rewolweru kurtka amerykańskiego żandarma. Na nogach zamiast wysokich butów od londyńskiego szewca z Savile Row miał owijacze i wygodne pantofle człowieka w średnim wieku, przy czym owijacze nie pasowały kolorem do pantofli, pas koalicyjny nie pasował kolorem ani do jednych, ani do drugich, a skrzydełka pilota na kurtce były tylko skrzydełkami i niczym więcej. Ale baretką orderowa poniżej tych skrzydełek była dobrą baretką, a dystynkcje na ramionach dwiema belkami kapitana. Nie był wysoki. Twarz miał szczupłą, profil orli, oczy inteligentne, jakby znużone, lat ponad dwadzieścia pięć. Patrząc na niego myślało się: „Niekoniecznie Phi Beta Kappa, ale może Czaszka i Piszczele, a może stypendium Rhodesa.”

Jeden ze stojących naprzeciw niego mężczyzn, nawet patrząc na niego, prawdopodobnie nie widział go wcale. Stał tylko dzięki temu, że go podtrzymywał amerykański żandarm. Był zupełnie pijany i przy tym podtrzymującym go żandarmie o wydatnych szczękach, chwiejąc się i prostując na swoich długich smukłych, jakby bezkostnych nogach, wyglądał na przebraną dziewczynę. Mógł mieć lat osiemnaście; był wysoki, twarz miał białoróżową, oczy niebieskie i dziewczęce usta. Był w krzywo pozapinanej i zabłoconej, grubej dwurzędowej kurtce marynarskiej i w czapce oficera Królewskiej Marynarki Wojennej, przekrzywionej na jasnej głowie z ową charakterystyczną zawadiacką fanfaronadą niemożliwą dla innych ludzi do osiągnięcia czy naśladowania.

– Co to jest, kapral? – zapytał amerykański kapitan. – O co chodzi? To przecież Anglik. Niech się nim zajmą angielscy żandarmi.

– Ja wiem, że to Anglik – powiedział żandarm.

Z trudem oddychał i z trudem mówił głosem człowieka mobilizującego wszystkie swoje siły fizyczne, pomimo dziewczęcej delikatności budowy angielski chłopiec był cięższy – czy może jeszcze bardziej bezwładny – niż na to wyglądał.

– Bacność – powiedział żandarm. – To oficerowie.

Wtedy angielski chłopiec zrobił wysiłek. Zebrał się w sobie, koncentrując niepewne, rozpełzane spojrzenie. Jedną rękę niepewnie zarzucił żandarmowi na szyję, a drugą zasalutował, przykładając rozedrganą dłoń z lekko przygiętymi palcami do prawego ucha,

już znów się chwiejąc i znów odzyskując równowagę.

– Czooolem, panie kapitanie – powiedział. – Pan się nie nazywa Beatty... cała nadzieja.

– Nie – odpowiedział kapitan.

– Aha – powiedział angielski chłopiec. – To dobrze. Ale mój błąd. Bez urazy, co?

– Bez – powiedział kapitan spokojnie.

Ale patrzył przy tym na żandarma. Odezwał się drugi Amerykanin. Ten drugi był porucznikiem, też lotnikiem. Nie miał jednak dwudziestu pięciu lat i był ubrany w myśliwskie bryczesy i w wysokie londyńskie buty, a jego kurtka tylko kołnierzem różniła się od kurtki brytyjskiej.

– To jeden z tych marynarskich ananasów – powiedział. – Przez całą noc zbierają ich tutaj... po rynsztokach. Nie dość często przyjeżdżasz do miasta.

– Aha – powiedział kapitan. – Słyszałem o nich. Teraz sobie przypominam.

Już zauważył także i to, że chociaż na ulicy panował ruch – stali przed popularną kawiarnią – chociaż mijalo ich wielu przechodniów, żołnierzy i cywilów, nikt nawet na chwilę nie zatrzymał się przy ich grupie, tak jakby stanowiła ona widok powszedni. Patrzył na żandarma.

– Nie możecie go odprowadzić na okręt?

– Myślałem o tym, panie kapitanie, zanim jeszcze pan kapitan pomyślał – powiedział żandarm. – Ale on powiada, że nie może iść na swój okręt po zapadnięciu zmroku, bo o zachodzie słońca go odstawia.

– Odstawia?

– Marynarz, stać prosto! – warknął żandarm ze złością, szarpiąc swoje bezwładne brzemię. – Może pan kapitan coś się z tego dorozumie. Bo niech mnie szlag trafi, jak ja mogę. Powiada, że oni trzymają łódź pod mołem. Wpychają ją pod molo wieczorem i nie mogą wyciągnąć aż dopiero rano z przypływem.

– Pod molo? Łódź? Co to znaczy? – kapitan zwrócił się teraz do porucznika. – Czy oni jeżdżą na jakichś motocyklach wodnych?

– Coś w tym rodzaju – powiedział porucznik. – Na pewno je widziałeś, te łodzie. Motorówki zakamuflowane, i w ogóle. Na pewno je widziałeś. Oni przez cały dzień nimi jeżdżą, a przez całą noc śpią tutaj w rynsztokach.

– Aha – powiedział kapitan. – Myślałem, że to łodzie dyspozycyjne dowódców okrętów. Chcesz przez to powiedzieć, że oficerów używa się tylko do...

– Nie wiem – powiedział porucznik. – Może ich się używa do przewożenia gorącej

wody z jednego okrętu na drugi. Czy bułek. A może posyła się ich tam i z powrotem, kiedy zapomną zabrać pieluch czy czegoś takiego.

– Bzdura – powiedział kapitan.

Znów spojrzał na angielskiego chłopca.

– Ale tak jest – powiedział porucznik. – A potem przez całą noc zaparszywiają miasto. Roi się od nich w rynsztokach i angielscy żandarmi jak niańki z parku wywożą ich całymi partiami. Może to sami Francuzi dają im te łodzie, żeby na dzień pozbyć się ich z rynsztoków.

– Aha – powiedział kapitan – rozumiem.

Ale widać było, że nie rozumie, że nie słucha, że nie wierzy. Patrzył na angielskiego chłopca.

– No, w takim stanie nie można go tu zostawić – powiedział.

Znów angielski chłopiec zrobił wysiłek, żeby wziąć się w garść.

– W porządku, zapewniam – powiedział gładko głosem przyjemnym, prawie beztroskim, zupełnie uprzejmym. – Już się przywykło. Swoją drogą bruk piekielnie nierówny. Trzeba zmusić tych Francuzów, żeby coś z tym zrobili. Chłopcy w gościnie zasługują na przyzwoite boisko, co?

– I to jeszcze jak on sobie używał tego boiska! – warknął zajadłe żandarm. – Może mu się zdawało, że jest jednoosobową drużyną.

W tej samej chwili podszedł piąty mężczyzna. Był to żandarm brytyjski.

– No? – zapytał. – Co to ma być? Co to ma być?

Po czym zobaczył dystynkcje na naramiennikach Amerykanów. Zasalutował. Angielski chłopiec odwrócił się chwiejnie na dźwięk jego głosu i zerknął.

– Aha, Albert. Halo – powiedział.

– No, właśnie, pan porucznik Hope – powiedział żandarm brytyjski. – Co się znowu stało? – zapytał przez ramię żandarma amerykańskiego.

– Pewnie nic – powiedział Amerykanin. – Tak to wy, faceci, prowadzicie tę wojnę. Ale to do mnie nie należy. Macie. Zabierajcie go sobie.

– Co to znaczy, kapral? – zapytał kapitan. – Co on właściwie zrobił?

– Ten powie, że nic – powiedział żandarm amerykański ruchem głowy wskazując żandarma brytyjskiego. – Powie, że ele mele dudki gospodarz malutki czy coś takiego. Przed chwilą wychodzę ja z za rogu chyba trzeciej przecznicy za nami, a tu jezdnia zablokowana, sznur ciężarówek, które jadą z doków, i szoferzy wrzeszczą do przodu, co się tam dzieje, u diabła. Więc dalej idę i widzę, że jezdnia aż do trzeciego skrzyżowania

zapchana tymi ciężarówkami i przecznice też; więc dalej idę aż do czoła kolumny i widzę, jak gromada tych szoferów stoi przed wozami jak na wiecu czy co na samym środku ulicy, więc do nich podchodzę i się pytam: „Co się tu dzieje?”, a oni mnie przepuszczają i widzę, jak leży ten ananas...

– Mówicie o oficerze Jego Królewskiej Mości, człowieku – powiedział żandarm brytyjski.

– Liczcie się ze słowami, kapral – powiedział kapitan. – I zobaczyliście, jak leży ten oficer...

– Na samym środku ulicy położył się spać z głową na pustym koszyku zamiast poduszki. Leżał tam z rękami pod głową, z nogą założoną na nogę i wyklócał się z nimi, czy ma stamtąd iść, czy nie ma stamtąd iść. Powiedział, że te ciężarówki mogą sobie zawrócić i pojechać naokoło inną ulicą, ale on na żadnej innej ulicy spać nie może, bo właśnie ta ulica jest jego.

– Jego?

Angielski chłopiec wysłuchał tego wszystkiego z pełnym sympatii zainteresowaniem.

– Kwatera, pan rozumie – powiedział. – Porządek musi być, nawet kiedy wojna... stan wyjątkowy. Wylosowana kwatera. To moja ulica; kłusownictwa nie ma, co? Sąsiednia ulica kwatera Jamie Witherspoona. Ale ciężarówki mogą pojechać tamtą ulicą, bo Jamie z niej jeszcze nie korzysta. Jeszcze nie poszedł spać. Bezsenność. Wiedziałem. Powiedziałem im. Ciężarówki tamtędy. Już pan rozumie?

– Tak było, kapral? – zapytał kapitan.

– Tak jak panu kapitanowi opowiedział. Nie chciał wstać. Tylko tam leżał i się wyklócał. Powiedział, żeby któryś z nich gdzieś poszedł i przyniósł mu te ich tam paragrafy wojenne...

– Regulamin Jego Królewskiej Mości, tak – powiedział kapitan.

– ...żeby się przekonać, czy jest w tej książce o tym, kto ma prawo pierwszeństwa: on czy te ciężarówki. To ja go wtedy podniosłem, a potem przyszedł ten pan kapitan. I to wszystko. I za pozwoleniem pana kapitana oddaję go teraz mamce Jego Królewsk...

– To wystarczy, kapral – powiedział kapitan. – Możecie odejść. Już ja się tym zajmę.

Żandarm zasalutował i poszedł. Angielskiego chłopca podtrzymywał teraz żandarm brytyjski.

– Nie możecie go zabrać? – zapytał kapitan. – Gdzie są ich kwatery?

– Panie kapitanie, właściwie to nie wiem, czy oni w ogóle gdzieś kwatują. My...

ich zwykle widzimy po rozmaitych szynkach aż do świtu. Oni chyba nie korzystają z kwater.

– Chcecie powiedzieć, że oni w zasadzie kwaterują na okrętach?

– Panie kapitanie, może to i można nazwać okrętami. Ale człowiek musiałby bardziej lecieć z nóg niż on, żeby spać na którymś z tych okrętów.

– Rozumiem – powiedział kapitan. Spojrzał na żandarma. – Co to są za łodzie?

Tym razem głos żandarma zabrzmiał natychmiast, tępo i ostatecznie. Zabrzmiał tak jak trzaśnięcie zamykanych drzwi.

– Panie kapitanie, właściwie to nie wiem.

– Aha – powiedział kapitan. – W porządku. No, ale on dzisiaj jest w takim stanie, że nie może do świtu przebywać gdzieś w szynku.

– Postaram się znaleźć mu kawałek miejsca gdzieś na zapleczu, to się tam prześpi – powiedział żandarm.

Ale kapitan nie słuchał. Patrzył na drugą stronę ulicy, tam gdzie na chodnik padały światła z jakiejś innej kawiarni. Angielski chłopiec ziewnął przeraźliwie jak dziecko, szeroko, dziecinnie rozdziawiając różowe usta.

Kapitan odwrócił się do żandarma.

– Czy możecie przejść tam na drugą stronę i zapytać o szofera kapitana Bogarda? Ja się zajmę panem porucznikiem Hope.

Żandarm odszedł. Angielskiego chłopca teraz podtrzymywał pod ramię kapitan. Chłopiec znów ziewnął jak zmęczone dziecko.

– Cierpliwości! – powiedział kapitan. – Zaraz tu będzie samochód.

– Dobrze – powiedział angielski chłopiec poprzez ziewnięcie.

## II

Natychmiast kiedy się znalazł w samochodzie pomiędzy dwoma Amerykanami, zasnął tak nagle i spokojnie, jak zasypiają niemowlęta. Ale chociaż droga na lotnisko trwała tylko pół godziny, kiedy tam przybyli, już nie spał i najwidoczniej zupełnie wypoczęty poprosił o whisky. Kiedy wszedł z nimi do kasyna, trochę tylko mrugając i mrużąc oczy przed blaskiem oświetlonej sali, sprawiał wrażenie zupełnie trzeźwego w swojej krzywo nasadzonej czapce, krzywo pozapinanej kurtce dwurzędowej i w okręconym naokoło szyi brudnym jedwabnym szaliku z haftem, w którym Bogard rozpoznał godło klubowe jednej z najlepszych szkół średnich.

– Ach – powiedział głosem różnym, już czystym, nie zmaconym, zupełnie

beztroskim i takim donośnym, że wszyscy w sali odwrócili się i spojrzeli na niego. – Klawo. Whisky, co?

Prosto jak ogar w las poszedł do baru w kącie sali, wiodąc za sobą porucznika. Bogard odwrócił się i ruszył w przeciwnym kierunku, w głąb sali, do stolika, przy którym grało w karty pięciu oficerów.

– Czego to admirał? – zapytał jeden z nich.

– Był admirałem całej floty szkockiej, kiedy go spotkałem – powiedział Bogard.

Drugi z nich podniósł oczy znad kart.

– Och, ja go już chyba widziałem w mieście. – Spojrzał na tamtego. – W pierwszej chwili nie poznałem go, może dlatego, że wszedł tu na własnych nogach. Zwykle się ich widuje, jak leżą w rynsztoku.

– Aha – powiedział ten pierwszy. I on się obejrzał. – To jeden z tych facetów?

– No pewnie. Widziałeś ich nieraz, jak siedzą na krawędzi chodnika, no wiesz przecież, i po dwóch na każdego hyclowatych żandarmów ciągnie ich za ręce.

– Owszem, widziałem – powiedział drugi.

Wszyscy spojrzeli na angielskiego chłopca. Stał przy barze mówiąc coś głośno i z ożywieniem.

– Oni wszyscy tak wyglądają – dodał jeszcze ten drugi. – Chłopaki po siedemnaście, osiemnaście lat. Kręcą się tam i z powrotem tymi małymi łódkami.

– Naprawdę? – zapytał trzeci. – To znaczy, że jest jakaś marynarska, pomocnicza służba męska dla tych facetek z Waac? Mój Boże, to ja na pewno nie tam się zaciągnąłem, gdzie powinienem. Ale ta wojna nigdy nie reklamowała się należycie.

– Nie wiem – powiedział Bogard. – Zdaje mi się jednak, że oni poza tą jazdą w kółko robią coś więcej.

Ale tamci go nie słuchali. Patrzyli na gościa.

– Oni są jak wskazówki zegara – powiedział ten pierwszy. – Wystarczy zobaczyć, w jakim stanie jest którykolwiek z nich po zachodzie słońca, żeby prawie dokładnie wiedzieć, która godzina. Ale zupełnie nie pojmuję, jakim cudem człowiek, będąc w takim stanie co noc o godzinie pierwszej, zdoła potem następnego ranka choćby tylko dojrzeć okręt wojenny.

– Może kiedy się ma do przesłania jakieś wiadomości na okręt, po prostu pisze się je przez kalkę, ustawia się te łodzie w rzędzie dziobami do okrętu i jednocześnie się je wypuszcza. A ci, którym się nie uda trafić na ten okręt, kręcą się tylko w okolicach portu, dopóki nie wyrzną gdzieś o nabrzeże.

– To musi być coś więcej – powiedział Bogard.

Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale ich młody gość odwrócił się właśnie od baru i ze szklanką w ręku ruszył w ich stronę. Szedł dosyć równo, miał jednak rumieńce, oczy mu błyszczały i podchodząc mówił głośno i wesoło:

– Słowo daję. Nie napijecie się, koledzy, ze mną... – Urwał. Zdawało się, że dopiero teraz coś zauważył; patrzył na ich piersi. – Och, słowo daję. Panowie latają. Wszyscy! O Boziu! Klawo latać, co?

– Owszem – powiedział ktoś. – Klawo.

– Ale niebezpiecznie, co?

– Trochę bardziej nerwowe zajęcie niż tenis – powiedział ktoś inny.

Gość spojrział na niego ożywiony, życzliwy, zainteresowany.

Ktoś inny powiedział szybko:

– Bogard mówi, że pan dowodzi okrętem.

– Trudno to nazwać okrętem. Ale dziękuję. I nie dowodzę. Ronnie dowodzi. Trochę starszy stopniem. Wiek.

– Ronnie?

– Właśnie. Miły. Fajny kumpel. Ale stary. Pedant.

– Pedant?

– Okropny. Nie do uwierzenia. A kiedy tylko wypatrzymy dym, a ja mam lornetę, on zaraz zjeżdża w bok. Żeby tego okrętu nie było widać, póki ja mam lornetę. Nie ma wtedy bibra. Wczoraj minęło dwa tygodnie, jak mnie pobił o dwa punkty.

Amerykanie popatrzyli na siebie.

– Nie ma bibra?

– Bo my gramy w bibra. O bocianie gniazda. Widzi się bocianie gniazdo. Biber! Jeden punkt. „Ergenstrasse” swoją drogą już się nie liczy.

Mężczyźni przy stole patrzyli na siebie. Odezwał się Bogard:

– Rozumiem. Ten z was dwóch, który zobaczy jakiś okręt z bocianim gniazdem, zdobywa jeden punkt. Ale co to jest „Ergenstrasse”?

– Niemiecki. Internowany. Żegluga przybrzeżna. Maszt tak olinowany, że wygląda na coś w rodzaju bocianiego gniazda. Reje, liny, zdaje mi się. Moim zdaniem, to nawet nie jest takie podobne do bocianiego gniazda. Ale Ronnie powiedział „tak” i jednego dnia zaklepał. A potem jednego dnia przesunęli go na drugą stronę zatoki i wtedy ja go zaklepałem przez pomyłkę. Więc postanowiliśmy, że to się już nie liczy. Teraz pan

rozumie, co?

– Aha – powiedział ten, który zrobił uwagę o tenisie. – Więc pływacie sobie z Ronnie’em tą łódką i gracie sobie w bibra. Hmmm! To przyjemnie. Czy gracie kie...

– Jerry – powiedział Bogard.

Gość nie poruszył się. Wciąż jeszcze uśmiechnięty, patrzył na mówiącego szeroko otwartymi oczami. Tamten wciąż jeszcze patrzył na gościa.

– Czy to wasza łódka... pana i Ronnie’ego, ma na rufie zająca?

– Zająca na rufie? – zapytał angielski chłopiec. Nie uśmiechał się już, ale wciąż jeszcze miał przyjemny wyraz twarzy.

– Myślałem, że kiedy takie łódki mają tylko takich dwóch kapitanów, maluje się na rufach rzeczy w tym rodzaju.

– Aha – powiedział gość. – Burt i Reeves nie są oficerami.

– Burt i Reeves – powtórzył tamten z zadumą w głosie. – Więc oni też jeżdżą. Też grają w bibra?

– Jerry – powiedział Bogard.

Tamten spojrzał na niego. Bogard lekko potrząsnął głową.

– Chodź no tu – powiedział.

Tamten podniósł się od stołu. Odeszli na bok.

– Odczep ty się od niego – powiedział Bogard. – Mówię to poważnie, no! To jeszcze dzieciak. Kiedy byłeś w jego wieku, ile miałeś rozsądku? Tyle tylko, żeby na czas zdążyć do kaplicy szkolnej.

– Jednak mój kraj wtedy nie był w czwartym roku wojny – powiedział Jerry. – Jesteśmy tutaj, wydajemy nasze pieniądze, zestrzeliwiają nas raz po raz, i to nawet nie bijemy się o swoje, a te cholery, co już od dwunastu miesięcy by wyciągały kulasy pod szwabską komendą, gdyby nie nasza pomoc...

– Zamknij się – powiedział Bogard. – Gadasz, jakbyś nawoływał do subskrypcji Pożyczki Wyzwolenia.

– ...traktują to jak jaki kiermasz czy jak... „Klawo – głos Jerry’ego zamienił się teraz w przeciągły dyszkant. – Ale niebezpiecznie, co?”

– Cii... – powiedział Bogard.

– Już ja bym chciał tylko raz przyłapać w porcie jego z tym jego całym Ronnie’em. W jakim bądź porcie. W londyńskim. Wystarczyłaby mi wtedy „Jenny”. Zresztą, po co aż „Jenny”, do diabła? Wziąłbym po prostu rower wodny! Już ja mu pokażę trochę wojny!

– No, ale teraz się od niego odczep. On niedługo się stąd wyniesie.

– Co z nim zrobisz?

– Zabiorę go ze sobą nad ranem. Niech leci zamiast Harpera. Mówi, że umie się obchodzić z lewisem. Mówi, że oni tam mają lewisa na tej swojej łodzi. Coś mi nawet opowiadał, jak z odległości siedmiuset jardów zestrzelił kiedyś światło kanałowe.

– No, to już twoja sprawa. Może cię ogra!

– Ogra?

– W bibra. Wtedy się weźmiesz za Ronnie’ego!

– Bądź co bądź pokażę mu trochę wojny – powiedział Bogard. Spojrzał na gościa. – Jego rodacy są w tym całym bałaganie już od trzech lat, a on to sobie traktuje jak pierwszorocznik... student szukający przygody w wielkim mieście. – Znowu spojrzał na Jerry’ego. – Ale ty się już od niego odczep.

Kiedy podchodzili z powrotem do stolika, gość mówił głośno i z ożywieniem:

– ...jak on pierwszy złapie lornetę, to podjeżdża blisko i patrzy, ale jak ja mam lornetę pierwszy, to on zaraz zjeżdża w bok i wtedy mogę zobaczyć tylko dym. Okropny facet. Okropny. Ale „Ergenstrasse” już się nie liczy. I jeżeli przez pomyłkę go się zaklepie, to się traci dwa punkty. Gdyby tylko Ronnie się zapomniał i zaklepał go, bylibyśmy kwita.

### III

O drugiej w nocy angielski chłopiec wciąż jeszcze mówił głosem różnym, dziecinnie i beztrosko. Opowiadał im o tym, jak w roku tysiąc dziewięćset czternastym z jego Szwajcarii zrobiły się nici i zamiast tych szwajcarskich wakacji, obiecanych mu przez ojca na szesnaste urodziny, musiał zadowolić się wyjazdem ze swoim wychowawcą do Walii. Ale obaj z wychowawcą chodzili w góry bardzo wysoko, więc on teraz ośmiela się powiedzieć – oczywiście z całym należnym uszanowaniem dla obecnych, którzy może mieli przywilej zobaczenia Szwajcarii – że prawdopodobnie z gór walijskich można sięgnąć wzrokiem tak samo daleko jak z Alp Szwajcarskich.

– I tak bardzo się pocić, i tak ciężko oddychać jak w Szwajcarii – dodał.

A siedzący koło niego Amerykanie, nieco bardziej zahartowani, nieco trzeźwiejsi, nieco starsi od niego, przysłuchiwali się w jakimś zimnym oszołomieniu. Już od pewnego czasu niektórzy z nich podnosili się z miejsc, wychodzili i wracali w kombinezonach, z hełmami i okularami ochronnymi w rękach. Ordynans wniósł na tacy filiżanki z kawą i gość uświadomił sobie, że już od pewnego czasu z ciemności za oknami dolatuje warkot silników.

Wreszcie podniósł się i Bogard.

– Chodźmy – powiedział. – Weźmiemy jakieś łachy dla pana.

Kiedy wyszli z kantyny, warkot rozgrzewających się powoli silników stał się zupełnie głośnym dudnieniem, niby przewlekły grzmot. Nisko w ciemnościach na jednej linii wzdłuż niewidocznej nawierzchni lotniska, jak gdyby zawieszzone w powietrzu, jaśniały nieokreślone ławice niebiesko-zielonych pełgających ogników. Przeszli przez lotnisko do kwatery Bogarda, gdzie porucznik MacGinnis, już ubrany do lotu, siedząc na pryczy kończył zapinać lotnicze buty. Bogard pochylił sięgnął po jakiś kombinezon i cisnął go na pryczę.

– Niech pan to włoży – powiedział.

– Czy to potrzebne? – zapytał gość. – Lecimy aż na tak długo?

– Prawdopodobnie – powiedział Bogard. – Lepiej niech pan to włoży. Tam na pięterku zimno.

Gość podniósł kombinezon.

– Słowo daję – powiedział – słowo daję, my sami z Ronnie'em mamy coś niecoś do roboty jut... to znaczy dzisiaj. Myśli pan, że Ronnie nie będzie szurać, jeżeli się trochę spóźnię? Mógłby na mnie nie czekać.

– Wrócimy przed podwieczorkiem – powiedział MacGinnis. Zdawało się, że jest bardzo zajęty swoim butem. – Obietnica na mur.

Angielski chłopiec spojrzał na niego.

– O której godzinie musi pan być z powrotem? – zapytał Bogard.

– Och... no – powiedział angielski chłopiec. – Hecy to chyba o to nie będzie. Oni, bądź co bądź dają Ronnie'emu wolną rękę, jeżeli chodzi o czas. Poczeka na mnie, gdybym się trochę spóźnił.

– Poczeka – powiedział Bogard. – Niech pan to już włoży na siebie.

– Dobrze – powiedział tamten.

Pomogli mu się ubrać.

– Nigdy jeszcze nie byłem w powietrzu – powiedział gawędziarsko, przymilnie. – Chyba widać stamtąd dalej niż z gór, co?

– W każdym razie widać więcej – powiedział MacGinnis. – To się panu będzie podobało.

– Aha, na pewno. Jeżeli tylko Ronnie na mnie poczeka. A to heca! Ale niebezpiecznie, prawda?

– Ależ skąd – powiedział MacGinnis. – Pan żartuje.

– Zamknij jadaczkę, Mac – powiedział Bogard. – Chodźmy! Może jeszcze kawy?

Spojrzał na gościa, ale odpowiedział MacGinnis:

– Nie. Coś lepszego niż kawa. Bo od kawy robią się cholerne plamy na skrzydłach.

– Na skrzydłach? – zapytał angielski chłopiec. – Skąd kawa na skrzydłach?

– Zatkaj się, powiedziałem już, Mac – powiedział Bogard. – Chodźmy.

Przeszli z powrotem przez lotnisko, ku rozszemranym ławicom płomienia. Kiedy tam się zbliżyli, oczom gościa ukazały się kształty, zarysy Handley-Page'a. To wyglądało trochę jak jakiś pulmanowski wagon stojący na tylnych kołach, wbity przednią swoją częścią w szkielet parteru jakiegoś nie dokończonego drapacza chmur. Gość popatrzył na to spokojnie.

– Większy niż krążownik – powiedział rażnym, pełnym zainteresowania głosem. – Daję słowo, wiecie, panowie. To nie lata w jednym kawałku. Nie dam się nabrać. Widziałem już takie. To lata w dwóch częściach. Kapitan Bogard i ja polecimy w jednej. A porucznik MacGinnis z jakimś innym facetem w drugiej, co?

– Nie – powiedział MacGinnis. Bogarda już przy nich nie było. – To wszystko lata w jednym kawałku. Heca, co? Koło pieca, co?

– Koło pieca? – zamamrotał gość. – Aha, daję słowo. Krążownik. Latający. No, daję słowo.

– I słuchaj no pan – powiedział MacGinnis. Wyciągnął rękę; o dłoń chłopca otarło się coś zimnego: butelka. – Kiedy zacznie się zbierać na mdłości, pan rozumie? Niech pan sobie z tego pociągnie.

– Och, będę miał mdłości?

– Na pewno. Wszyscy miewamy. Związane z lataniem. A to powstrzyma. Ale w razie gdyby nie powstrzymało. Pan rozumie?

– Co? No, owszem. Co?

– Nie za burzę. Nie rzygać za burzę.

– Nie za burzę?

– Pęd powietrza zwieje to nam w twarz, mnie i Bogy'emu. Oślepi nas. Klops. Koniec z nami. Pan rozumie?

– Aha. Owszem. Ale co mam z tym zrobić?

Mówili cicho, poważnie, krótko, jak dwaj spiskowcy.

– Opuścić tylko głowę i rzygać w garść.

– Aha. Owszem.

Powrócił Bogard.

– Może ty mu pokaż, jak ma wleźć do przedniej kabiny – powiedział.

MacGinnis wszedł pierwszy przez klapę. Przejście, wznosząc się ukośnie w kadłubie, zwięzało się ku przodowi; człowiek musiał się czołgać.

– Wczołgaj się pan i dalej do przodu – powiedział MacGinnis.

– To wygląda jak psia buda – powiedział gość.

– No prawda? – zgodził się radośnie MacGinnis. – Leż pan dalej. – Pochylny słyszał, jak tamten spieszenie posuwa się naprzód. – Znajdzie pan tam lewisa, a może i nie – powiedział w głąb tunelu.

Od przodu doleciał głos gościa:

– Znalazłem.

– Zaraz tu będzie sierżant zbrojmistrz i sprawdzi, czy ten lewis jest naładowany.

– Owszem, jest – powiedział gość; niemal natychmiast po tych słowach karabin wystrzelił krótką serią staccato.

Rozległy się krzyki, najgłośniejsze z ziemi spod kadłuba.

– Nic się nie stało – powiedział angielski chłopiec. – Zanim nacisnąłem spust, wycelowałem na zachód. Tam są tylko biura dowództwa piechoty morskiej i dowództwo waszej brygady. My z Ronnie’em zawsze to robimy przed każdą wyprawą. Przepraszam, jeżeli to za wcześnie. Och, ale... ale... – dodał – na imię mi Claude. Chyba jeszcze tego nie powiedziałem.

Na ziemi stał Bogard z dwoma innymi oficerami, którzy przybiegli na odgłos strzałów.

– Na zachód wystrzelił – powiedział jeden z nich. – skąd on wie, do jasnej i niespodziewanej, z której strony jest zachód?

– To marynarz – powiedział drugi. – Zapomniałeś o tym.

– Zdaje się, że i cekaemowiec też – powiedział Bogard.

– Miejmy nadzieję, że on o tym nie zapomina.

#### IV

Bogard nie spuszczał jednak wzroku z ciemnego zarysu głowy, w odległości dziesięciu stóp sterczącej przed nim z okrągłego gniazda cekaemu na przodzie aeroplanu.

– Swoją drogą on umie się obchodzić z tym karabinem – powiedział do MacGinnisa, który siedział obok niego. – Nawet sam założył bęben, prawda?

– Owszem – powiedział MacGinnis. – Byleby tylko coś mu się nie pokręciło i nie pomyślał, że ten karabin to jego wychowawca i że jest teraz w górach walijskich.

– Może nie powinienem był go zabierać – powiedział Bogard.

MacGinnis nie odpowiedział. Bogard pokręcił trochę wolantem. Przed nimi, w gnieździe cekaemowca, poruszała się nieustannie głowa gościa patrzącego to w jedną, to w drugą stronę.

– Polecimy tam, zrzucimy, co mamy, i będziemy pruli z powrotem – powiedział Bogard. – Może w tych ciemnościach... Szlag to trafił, hańba byłaby dla jego kraju, w tym całym bałaganie, już od czterech lat, żeby on nawet nie zobaczył, jak do niego mierzą z karabinu.

– Dziś w nocy zobaczy, jeżeli nie schowa głowy.

Ale chłopiec nie schował głowy. Nawet wtedy, gdy już byli u celu i MacGinnis szczołgał się do zwalniacza zaczepów bomb. Nawet wtedy, gdy ich odnalazły reflektory i gdy Bogard sygnalizował do innych maszyn, i z ogłuszającym warkotem obu silników na pełnych obrotach nurkował poprzez wybuchające pociski – nawet wtedy widział w łunie reflektora głowę chłopca wychyloną za burtę, wyraz dziecięcego zainteresowania i zachwytu na jego twarzy wynurzającej się ostro z cienia jak twarz w blasku reflektora na ciemnej scenie.

„Ależ on strzela z tego lewisa – pomyślał Bogard. – I to w dodatku prosto.”

Nurkując jeszcze bardziej stromo w dół, patrząc, jak celownik nachodzi na cele, czekał z podniesioną prawą ręką na moment, w którym będzie mógł dać MacGinnisowi sygnał. Opuścił rękę; zdawało mu się, że poprzez hałas silników słyszy szczęk i gwizd wyrzuconych bomb, kiedy maszyna wolna już od ciężaru warcząc furknęła w górę długim szarpnięciem, które na chwilę poderwało, ją z kręgu światła. A potem przez jakiś czas był dosyć zajęty, śmigając znów poprzez pociski, przelatując w poprzek smugi innego reflektora, chwytającego i trzymającego ich dostatecznie długo, żeby można było zobaczyć, jak angielski chłopiec, prawie do pasa wychylony przez burtę, patrzy za siebie w dół na podwozie pod prawym skrzydłem.

„Może gdzieś o tym czytał” – pomyślał Bogard oglądając się do tyłu, żeby dołączyć do reszty eskadry.

A potem już było po wszystkim w ciemności chłodnej i puste, i spokojnej, w ciszy niemal zupełnej, zakłóconej jedynie miarowym odgłosem silników. MacGinnis wrócił do kabiny, stanął na siedzeniu i wystrzelił tym razem z pistoletu raketowego, po czym stał tak jeszcze, patrząc do tyłu, tam gdzie reflektory nadal sondowały i chlastały niebo. Po chwili znów usiadł.

– Dobra jest – powiedział. – Cztery ich naliczyłem. Zwiewajmy! – Spojrzał przed siebie. – Co się stało z gwardzistą Jego Królewskiej Mości? Przecież go nie zawiesiłeś z bombami na zaczepach, prawda?

Bogard spojrział. Gniazdo cekaemu przed nimi było puste. Teraz znów majaczyło mgliście na tle gwiazd, ale nie było w nim nic z wyjątkiem karabinu.

– Nie – powiedział MacGinnis. – Otóż i on. Widzisz? Już się wychyla. Niech to cholera! Powiedziałem mu przecież, żeby tak nie rzygał. No, już jest znowu!

Znów ukazała się głowa gościa. Ale po chwili znów zniknęła.

– Jest znowu – powiedział Bogard. – Każ mu się uspokoić. Powiedz mu, że w ciągu pół godziny będziemy mieli na karku wszystkie eskadry szwabskiej grupy kanałowej.

MacGinnis opuścił się w dół i pochylił nad wylotem przejścia.

– Wracaj pan! – krzyknął.

Tamten był już niemal na zewnątrz; jak dwa psy przykucnięci tak oko w oko krzyczeli do siebie poprzez hałas silników warczących wciąż jeszcze na pełnych obrotach z obu stron za płóciennymi ściankami. Głos angielskiego chłopca był cienki i piskliwy.

– Bomba! – wrzeszczał.

– Tak! – krzyczał MacGinnis. – Były bomby! Daliśmy im bobu. Wracaj pan, mówię! Wszystkie szwaby z całej Francji na karku za dziesięć minut! Wracaj pan do kaemu!

Poprzez hałas silników znów doleciał piskliwy i słaby głos angielskiego chłopca:

– Bomba. To nie szkodzi?

– Nie! Nie! Nie szkodzi. Wracaj pan do kaemu, do cholery!

MacGinnis wspiął się z powrotem do kabiny.

– Wrócił. Chcesz na chwilę oddać wolant?

– Dobrze – powiedział Bogard. Oddał MacGinnisowi wolant. – Trochę ściągnij. Wolałbym, żeby już było jasno, kiedy szwaby się na nas rzucą.

– Właśnie – powiedział MacGinnis. Poruszył nagle wolantem. – Co jest z prawym skrzydłem? – zapytał. – Popatrz no, widzisz? Lecę z lotkami w prawo i z lekko wdepniętym sterem kierunku. Zobacz, weź wolant.

Bogard potrzymał wolant przez chwilę.

– Nie zauważyłem tego. Pewnie gdzieś ścięgno nawaliło. Nie myślałem, żeby któryś z tych pocisków trzasnął aż tak blisko. Swoją drogą uważaj.

– Właśnie – powiedział MacGinnis. – Więc jutro... nie, to już dzisiaj... wybierasz

się na tę jego łódkę?

– Tak. Obiecałem mu. Niech to cholera! Nie można robić dzieciakowi przykrości, wiesz.

– Może byś zabrał tam Colliera z mandoliną. Moglibyście sobie żeglować i śpiewać.

– Obiecałem mu – powiedział Bogard. – Wyrównaj ten zwis.

– Dobrze – powiedział MacGinnis.

W pół godziny potem zaczęło świtać; niebo zszarzało. MacGinnis powiedział teraz:

– No? nadlatują. Patrz! Jak komary we wrześnie. Mam nadzieję, że on się nam nie podnieci za bardzo, że mu nie strzeli do głowy grać teraz w bibra. Zresztą, może by i zdobył punkt przewagi nad Ronnie'em, o ile oczywiście ten szwab ma brodę. Chcesz wolant?

## V

O godzinie ósmej w dole pod nimi widać już było plażę i Kanał; maszyna na przymkniętym gazie spływała w dół łagodnie, kierowana przez Bogarda pod wiatr wiejący nad Kanałem. Bogard miał twarz skupioną, trochę zmęczoną.

MacGinnis też wyglądał na zmęczonego i właściwie powinien już się ogolić.

– Jak myślisz? Na co on teraz patrzy? – zapytał. Bo angielski chłopiec znów wychylony przez prawą burtę gniazda cekaemu patrzył do tyłu w dół pod prawe skrzydło.

– Nie wiem – powiedział Bogard. – Może tam są dziury od kul. – Zwiększył obroty lewego silnika. – Widocznie odrutowanie...

– Mało brakowało, żeby zobaczył te dziury bliżej – powiedział MacGinnis. – Moge przysiąc, że widziałem, jak raz amunicja świetlna wali mu prosto w plecy. A może on się tak gapi na ocean? Ale przecież musiał już widzieć ocean, skoro przyjechał tu z Anglii.

Wkrótce potem Bogard wyrównał maszynę; kadłub podniósł się gwałtownie do przodu tuż nad zwijającym się piaszczystym brzegiem przyływu, który zaczął teraz przelatywać pod samolotem. A przecież wciąż jeszcze angielski chłopiec z twarzą urzeczoną, pochłonięty jak dziecko przedmiotem swego zainteresowania, wychylał się daleko za burtę, patrząc do tyłu w dół na coś pod prawym skrzydłem. Trwał w tej pozycji, dopóki maszyna nie zatrzymała się zupełnie. Wtedy przykucnął i w raptownej ciszy silników słycać było, jak się czołga przez przejście. Wynurzył się stamtąd w chwili, kiedy obaj lotnicy schodzili sztywno z kabiny, i rześki, rozpromieniony zawołał piskliwym z podniecenia głosem:

– Och, słowo daję! O, rety! Ale facet! Ale wycucie odległości! Gdyby tylko Ronnie mógł to zobaczyć! O rety! Czy może one nie są takie jak nasze... może one nie

wybuchają od razu, kiedy powietrze w nie uderza?

Amerykanie popatrzyli na niego.

– Co za one? I czego nie robią? – zapytał MacGinnis.

– Ta bomba! To było przepyszne; słowo daję, nigdy tego nie zapomnę. Och, słowo daję, no, wiecie! To była klasa!

Dopiero po chwili MacGinnis zapytał słabnącym głosem:

– Bomba?

A potem obaj lotnicy spojrzeli na siebie i powiedzieli jednocześnie:

– To prawe skrzydło!

A potem jak jeden przepchnęli się przez klapę i wraz z gościem, który im deptał po piętach, obiegli samolot i zajrzeli pod prawe skrzydło. Zawieszona statecznikiem przy prawym kole niby ołowiany pion wisiała bomba, leciutko samym czubkiem muskając piasek. A po piasku równoległe z koleiną koła biegła długa, delikatna linia wyżłobiona przez ten wlokący się czubek bomby w chwili lądowania aeroplanu.

Za ich plecami rozbrzmiewał głos angielskiego chłopca piskliwy, czysty i dziecinny:

– Nawet miałem pietra. Chciałem panom powiedzieć. Ale się przecież kapnąłem, że lepiej ode mnie znacie się na rzeczy. Zręczność. Fantastyczna! Ach, słowo daję, nigdy o tym nie zapomnę!

## VI

Żołnierz piechoty morskiej z bagnetem na broni przepuścił Bogarda na molo i skierował go do łodzi. Molo było puste i Bogard zobaczył tę łódź dopiero wtedy, gdy stanął na krawędzi mola i spojrzął w dół wprost na nią i na pochylone plecy dwóch marynarzy w zatłuszczonych kombinezonach, którzy wyprostowali się na chwilę, obrzucili go krótkim spojrzeniem i znów się pochyliłi.

Był to kuter mający około trzydziestu stóp długości i około trzech stóp szerokości. Był pomalowany na szarzielony kolor ochronny. Miał tylko jedną czwartą pokładu, pokrywającą dziób, i dwa tępo zakończone, dosyć poharatane kominy.

„Dobry Boże – pomyślał Bogard. – Jeżeli pod tym całym pokładem jest silnik...”

Tuż za pokładem było miejsce sternika; Bogard zobaczył wielkie koło sterowe i tablicę przyrządów. Na wysokości mniej więcej jednej stopy nad burtą biegł od rufy do pokładu masywny, również zamaskowany falochron, który podwyższając się przechodził w poprzek tylnej krawędzi pokładu, po czym znów się obniżając otaczał i przeciwległą

burtę aż do rufy; rufa nie była osłonięta. W falochronie naprzeciw miejsca sternika, niby oko, gapiła się okrągła dziura o średnicy około ośmiu cali. Bogard, patrząc tak w dół na ten jakoś zjadliwie wąski i długi, nieruchomy kształt, przyjrzał się jeszcze obrotowemu cekaemowi na rufie, po czym znów spojrzął na ten niski falochron, wraz z którym łódź wynurzała się z wody nie wyżej niż do wysokości jarda, i na to jedno zagapione w przód oko i pomyślał spokojnie:

„To stal. Cały kuter ze stali.”

I z zupełnym spokojem, zadumany, zaciągnął na siebie trencz i pozapinał guziki, tak jakby mu się nagle zrobiło zimno.

Usłyszał za sobą czyjeś kroki, więc się odwrócił. Ale to był tylko ordynans z lotniska pod eskortą tego żołnierza piechoty morskiej z karabinem. Ordynans niósł sporą paczkę zawiniętą w papier.

– Panie kapitanie, pan porucznik MacGinnis kazał doręczyć panu kapitanowi – powiedział ordynans.

Bogard wziął to od niego. Ordynans i żołnierz piechoty morskiej odmaszerowali. Rozwinął paczkę. Zawierała kilka przedmiotów i zabazgraną kartkę. Obejrzał te przedmioty: nową, pokrytą złotym jedwabiem poduszkę na kanapę, parasolkę japońską najwidoczniej pożyczoną, grzebień i rolkę papieru toaletowego. Przeczytał kartkę:

„Nie wiedziałem, skąd wziąć aparat fotograficzny, a Collier nie chciał mi dać swojej mandoliny. Ale może Ronnie umie grać na grzebieniu. Mac.”

Bogard patrzył na te przedmioty wciąż jeszcze z całkowitym spokojem, zadumany i poważny. Zapakował to wszystko z powrotem, po czym poszedł z tą paczką na koniec mola i spokojnie upuścił ją w wodę.

Wracając do niewidocznego kutra zobaczył, że zbliżają się tam dwaj mężczyźni. Od razu poznał chłopca – wysoki, smukły, już rozgadany, wymowny, pochylał lekko głowę ku niższemu od siebie towarzyszowi, który człapał obok niego z rękami w kieszeniach, z fajką w ustach. Chłopiec pod trzepoczącym na wietrze ceratowym płaszczem teraz też, miał na sobie dwurzędową kurtkę, ale zamiast zawadiackiej, niedbale nasadzonej czapki włożył brudną sukienną bałakławę piechura, której ogon, długi niemal jak burnus, powiewał za nim jak gdyby poruszany dźwiękiem jego głosu.

– Halo tam! – krzyknął chłopiec z odległości stu jardów.

Ale Bogard już patrzył na tego drugiego, myśląc sobie, że chyba nigdy w życiu nie widział równie dziwacznej postaci. W samym kształcie jego zgarbionych ramion, w lekkim wygięciu szyi i w spojrzeniu spode łba przejawiał się jakiś krzepki upór. Był o głowę niższy od chłopca. Twarz miał także rumianą, ale ułożoną w wyraz głębokiej powagi graniczącej z surowością prawie. Twarz młodzieńca dwudziestoletniego, który już od roku nawet w czasie snu usiłuje wyglądać na lat dwadzieścia jeden. Miał na sobie

spodnie od kombinezonu i golf; na golfie skórzaną kurtkę, a na kurtce zaszargany marynarski płaszcz oficerski, który sięgał mu prawie do kostek i przy którym brak było jednego naramiennika i wszystkich guzików. Na głowie miał myśliwską cyklistówkę, na cyklistówce wąski, niewiarogodnie brudny szalik zakrywający mu uszy, okręcony jeden raz wokół szyi i pod lewym uchem zawiązany w pętlę. Z rękami zanurzonymi w kieszeniach po łokcie, z głową wysuniętą do przodu i ze spojrzeniem spode łba wyglądał co najmniej jak czyjaś babka powieszona, powiedzmy, za paranie się czarami. W zębach tkwił mu cybuch odwróconej miseczką do dołu krótkiej głogowej fajki.

– To właśnie oni – krzyknął chłopiec. – To Ronnie! A to kapitan Bogard.

– Czołem – powiedział Bogard.

Wyciągnął rękę. Tamten nie powiedział ani słowa, ale flegmatycznie też wyciągnął rękę. Ręka była zupełnie zimna, twarda, zgrubiała. Ale nie powiedział ani słowa; popatrzył tylko krótko na Bogarda, a potem odwrócił wzrok. Bogard jednak zdążył w tym ułamku sekundy dostrzec w jego spojrzeniu coś niespodziewanego – błysk, coś w rodzaju ukrytego, zaciekawionego szacunku, z jakim chłopiec piętnastoletni patrzy na akrobatę na trapezie w cyrku.

Ale nie powiedział ani słowa. Przykucnął i nagle zniknął z oczu Bogarda na krawędzi mola, jak gdyby nogami naprzód skoczył w morze. Bogard zauważył teraz, że silniki w niewidocznym kutrze już pracują.

– My też możemy już wsiadać – powiedział chłopiec.

Ruszył do łodzi i nagle się zatrzymał. Dotknął ramienia Bogarda.

– Tam – syknął – widzi pan?

Głos miał aż cienki z podniecenia.

– Co? – zapytał Bogard także szeptem, odruchowo, z nawyku patrząc do tyłu i w górę. Chłopiec ścisnął mu ramię i wskazywał na coś po przeciwległej stronie portu.

– Tam! Tam! „Ergenstrasse”! Znów go przesunęli.

Daleko za portem sterczał z wody stary, zardzewiały, zapadnięty kadłub statku. Był mały, niepozorny i Bogard, przypominając sobie to, co chłopiec mówił ubiegłej nocy, zauważył, że fokmaszt tego statku stanowi jakąś dziwną plątaninę lin i rei, którą przy wielkiej dozie rozbrykanej wyobraźni można było ostatecznie uznać za bocianie gniazdo. Chłopiec niemal się zachłystywał z wrażenia.

– Jak pan myśli, Ronnie zauważył? – zasyczał. – Jak pan myśli?

– Nie wiem – powiedział Bogard.

– O rety! Gdyby tylko spojrział i zaklepał, zanim go pozna, bylibyśmy kwita. O rety! Ale niech pan idzie.

Ruszył pierwszy; wciąż jeszcze się zachłystywał.

– Ostrożnie – powiedział. – Okropna drabina!

Zeszedł pierwszy, przy czym dwaj marynarze w kutrze powstali i zasalutowali. Ronnie już zniknął prawie cały z wyjątkiem tylnej części ciała, która wypełniała mały właz prowadzący pod pokład na dziobie. Bogard zeszedł ostrożnie.

– Dobry Boże – powiedział. – Co dzień tak musicie złazić i włązić?

– Okropne, co? – zapytał chłopiec radośnie. – Ale sam pan wie. Próbują toczyć wojnę byle czym, byle jak, a potem się dziwią, że ta wojna trwa tak długo.

Wąski kadłub kutra ślizgał się i wznosił na fali nawet pod dodatkowym ciężarem Bogarda.

– Prawie się nie zanurza, pan widzi – powiedział chłopiec. – Przy dużej rosie mógłby pływać i na trawniku. Leci po falach jak kawałek papieru.

– Jak kawałek papieru? – zapytał Bogard.

– Aha, zupełnie. To właśnie dlatego, pan rozumie.

Bogard nie rozumiał, ale był teraz zbyt zajęty ostrożnym opuszczaniem się do pozycji siedzącej.

Nie było poprzecznych ławek; nie było żadnych siedzeń z wyjątkiem grubego walcowatego wzniesienia biegnącego wzdłuż dna łodzi od miejsca sternika aż do rufy. Ronnie cofnął się tyłem, tak że znów go było widać. Siedział już przy kole sterowym pochylony nad tablicą przyrządów. Ale kiedy obejrzał się przez ramię, nie powiedział nic. Na jego twarzy, przekreślonej teraz w poprzek długim maźnięciem smaru, malował się wyłącznie wyraz pytającego oczekiwania. Twarz chłopca w tej chwili też nie wyrażała nic.

– Dobra jest – powiedział. Spojrzał na dziób, przy którym już był jeden z marynarzy. – Dziób gotów? – zapytał.

– Tak jest, panie poruczniku – powiedział marynarz.

Drugi marynarz był na rufie.

– Rufa gotowa?

– Tak jest, panie poruczniku.

– Odbijać.

Kuter odbił ukosem, pomrukując poprzez bulgotanie wody pod rufą. Chłopiec spojrzał na Bogarda.

– Głupiego robota. Swoją drogą robi się ją na cacy. Nigdy nie można przewidzieć, kiedy jakiś głupek komandor...

Twarz jego znów przybrała inny wyraz, była teraz szczerą, pełną troski.

– Słowo daję. Czy panu będzie ciepło? Nie wpadło mi na myśl, żeby przynieść...

– Dobrze będzie – powiedział Bogard.

Ale tamten już z siebie zdejmował ceratowy płaszcz.

– Nie, nie – powiedział Bogard. – Nie wezmę tego.

– Powie mi pan, kiedy będzie panu zimno?

– Powiem. Oczywiście.

Patrzył teraz na walec, na którym siedział. Był to właściwie pół walec wyglądający jak zbiornik do gorącej wody przy jakimś monstrualnym piecu, rozplątany wzdłuż średnicy i przytwierdzony rozwartą stroną do stępki. Miał dwadzieścia stóp długości i ponad dwie stopy szerokości. Wznosił się na wysokość burty, przy czym po obu jego stronach było w kutrze akurat tyle miejsca, ile potrzeba do tego, żeby mógł przejść jeden człowiek.

– To „Muriel” – powiedział, chłopiec.

– „Muriel”?

– Właśnie. Przed tym to była „Agatha”. Na cześć mojej ciotki. Ta pierwsza, którą mieliśmy z Ronnie’em, to była „Alicja w Krainie Czarów”. My z Ronnie’em byliśmy „Białym Królikiem”. Klawo, co?

– Aha, miał pan z Ronnie’em już trzy...

– Aha, właśnie – powiedział chłopiec. Pochylił się do przodu. – On nie zauważył – szepnął. Twarz miał znów rozjaśnioną, radosną – Kiedy będziemy wracać – powiedział – niech pan uważa!

– Aha – powiedział Bogard. – „Ergenstrasse”.

Spojrzał poza rufę, a potem pomyślał: „Dobry Boże! Więc już płyniemy... jesteśmy w drodze!”

Rozejrzał się teraz na obie strony i zobaczył uciekającą w tył linię portu, i pomyślał sobie, że ten kuter mknie niemal z tą samą szybkością co Handley-Page już w powietrzu, po oderwaniu się od ziemi. Kuter nawet na tej osłoniętej wodzie zaczął teraz skakać z jednego grzbietu fali na drugi z wyraźnymi wstrząsami. Bogard wciąż jeszcze opierał rękę na walcu, na którym siedział. Znów spojrzał na walec przesuwając po nim wzrokiem od miejsca, gdzie walec wynurzał się jak gdyby spod siedzenia Ronnie’ego, aż tam, gdzie łączył się z rufą.

– Przypuszczam, że w nim jest powietrze – powiedział.

– Jest co? – zapytał chłopiec.

– Powietrze. Nagromadzone w nim powietrze. Dlatego ta łódź się tak mało zanurza.

– Aha, pewnie tak. Bardzo możliwe. Nie przyszło mi to do głowy.

Z burnusem trzepoczącym na wietrze podszedł do Bogarda i usiadł przy nim. Głowy obaj mieli poniżej krawędzi falochronu.

Poza rufą port uciekał zmniejszając się coraz bardziej, zanurzając się w morze. Kuter już od pewnego czasu unosił się i rzucał naprzód, a potem w dół, wstrząsał się i niemal nieruchomiał na chwilę, po czym znów się unosił i znów się rzucał; znad dziobu wpadał do kutra siekący pył wodny niby wsypywany pełnymi łopatami śrut.

– Wolałbym, żeby pan ten płaszcz włożył – powiedział chłopiec.

Bogard nie odpowiedział. Odwrócił głowę i spojrzał na jego pogodną twarz.

– Jesteśmy na pełnym morzu, prawda? – zapytał spokojnie.

– Tak... niech pan to włoży, dobrze?

– Dziękuję, nie włożę. Będzie mi zupełnie ciepło. Bądź co bądź, to chyba długo nie potrwa.

– Nie. Zaraz zakręcimy. Wtedy nie będzie już tak źle.

– No właśnie. Będzie mi zupełnie dobrze, jak zakręcimy.

A potem zakręcili. Ruch stał się łagodniejszy. To znaczy, kuter nie dygotał już i nie walił na łeb na szyję w fale. Mknął teraz szybciej z biegiem fal, odchylając się z długim przyprawiającym o mdłości chybotaniem to w jedną, to w drugą stronę. Ale wciąż mknął naprzód, a Bogard patrzył na morze za rufą z takim spokojem, z jakim przedtem patrzył na ten kuter w porcie.

– Płyniemy teraz na wschód – powiedział.

– Z leciutkim odchyleniem na północ – powiedział chłopiec. – Teraz już niesie lepiej, co?

– Owszem – powiedział Bogard.

Za rufą było teraz tylko puste morze, a na rufie, na tle kipiącego białego szlaku ciągnącego się za kutrem, delikatna, podobna do igły linia lufy kaemu i dwaj spokojnie przykucnięci marynarze.

– Owszem, teraz jest lżej – powiedział Bogard. A potem zapytał: – Jak daleko płyniemy?

Chłopiec pochylił się ku niemu. Przysunął się bliżej. Radośnie, poufnie, dumnie, chociaż głosem trochę niższym, powiedział:

– To pokaz Ronnie’ego. On to obmyślił. Nie dlatego, żebym ja nie umiał jak trzeba.

Wdzięczność i w ogóle. Ale on jest ten starszy, pan rozumie. Prędko myśli. Grzeczność, *noblesse oblige* i w ogóle. Obmyślił to od razu, dzisiaj rano, kiedy tylko mu powiedziałem. Powiedziałem: „Och, słowo daję, byłem tam. Widziałem.” A on mi na to: „Nie latałeś.” To ja mu na to: „Latałem, jak Boga kocham.” Na to on: „Daleko? Nie kłam!” A ja na to: „Och, daleko. Piekielnie. Przez całą noc.” Na to on: „Całonocny lot. To musiało być na Berlin.” Na to ja: „Nie wiem. Chyba tak.” To wtedy on zaczął myśleć. Widziałem, jak myśli. Bo on jest starszy, pan rozumie. Lepiej się orientuje, co wypada. I powiedział: „Berlin. To żaden cymes dla takiego faceta pętać się z nami tam i z powrotem.” I dalej myślał, a ja czekałem, aż wreszcie powiedziałem: „Ale my go nie możemy zabrać do Berlina. Za daleko. Zresztą, nie znam drogi.” A on powiedział prędko jak z bicza trząśł... powiedział: „Ale jest przecież Kilonia.” I już wiedziałem, że...

– Co? – zapytał Bogard. Nie poruszając się, podskoczył całym ciałem. – Do Kilonii? W tym?

– Jasna rzecz. Ronnie to obmyślił. Z głową, chociaż to taki służbista. Od razu powiedział: „Zeebrougge to żaden pokaz dla takiego faceta. Musimy zrobić dla niego wszystko, co w naszej mocy. Berlin! – powiedział Ronnie. – Rety! Berlin!”

– Słuchaj pan – powiedział Bogard. Odwrócił się już zupełnie do chłopca i z całą powagą popatrzył mu w oczy. – Na co jest ta łódź?

– Na co?

– Co się w niej robi? – Po czym zapytał kładąc rękę na walcu, już z góry znając odpowiedź na swoje pytanie. – Co tu jest w środku? Torpeda, prawda?

– Myślałem, że pan wie – powiedział chłopiec.

– Nie – powiedział Bogard. – Nie wiedziałem. – Własny głos brzmiał mu w uszach tak, jakby dolatywał z daleka, suchy, podobny do trzaskania kul krokietowych.

– Jak wy tym strzelacie?

– Strzelamy?

– Jak wy to wyrzucacie z łodzi? Kiedy ta kłapa była otwarta, widziałem silniki. Są na samym przodzie, przy końcu tej rury.

– Aha – powiedział chłopiec. – No, pociąga się za ten tam wihajster i torpeda wypada za rufę. Śruba, jak tylko dotknie wody, od razu zaczyna się kręcić i wtedy torpeda jest już gotowa, odbezpieczona. I wtedy trzeba tylko prędko wykręcić kuter, a torpeda sobie idzie naprzód.

– To znaczy... – powiedział Bogard. Po chwili głos znowu był mu posłuszny. – To znaczy, że nastawiacie kuter w tym kierunku, w jakim ma iść torpeda, i wyrzucacie torpedę, i kiedy torpeda zaczyna się posuwać, zjeżdżacie jej z drogi i ona leci prosto przez miejsce, które opuszczacie.

– Wiedziałem, że pan się w tym połapie – powiedział chłopiec. – Powiedziałem to Ronnie’emu. Lotnik. Chociaż to robota spokojniejsza niż wasza. Ale nie ma rady. Robimy, co możemy, chociaż tylko na wodzie. Ale wiedziałem, że pan się w tym połapie.

– Słuchaj pan – powiedział Bogard.

Własny głos zabrzmiał mu w uszach zupełnie normalnie. Łódź odchylając się, chybotając, znoszona przez fale, mknęła wciąż naprzód. Siedział zupełnie nieruchomo. Zdawało mu się, że słyszy, jak sam rozmawia ze sobą: „No, dalej! Zapytaj go. Zapytać go o co? Zapytaj go, jak blisko trzeba podpłynąć do okrętu, zanim się wystrzeli...”

– Słuchaj pan – powiedział tym normalnym, spokojnym głosem. – No, niech pan powie Ronnie’emu, rozumie pan. Niech pan mu tylko powie... tylko powie, że...

Poczuł, że głos mu się odbija od krtani, więc urwał. Siedział zupełnie nieruchomo, czekając na powrót głosu. Chłopiec pochylił się i patrzył na niego. Znów w głosie chłopca brzmiała troskliwość.

– Słowo daję. Pan się nie czuje dobrze. Te cholerne płytkie kutry.

– Nie chodzi o to – powiedział Bogard. – Ja tylko... Macie rozkaz do Kilonii?

– Och, nie. Ronnie’emu dają wolną rękę. Bylebyśmy tylko odstawili ten kuter z powrotem. To jest dla pana. Wdzięczność. Pomysł Ronnie’ego. Co prawda, po lataniu to takie bez fantazji. Ale pan woli gdzie indziej, co?

– Właśnie. Gdzieś bliżej. Pan rozumie, ja...

– W zupełności. Rozumiem. Na wojnie nie ma wakacji. Powiem Ronnie’emu.

Poszedł do przodu. Bogard nie poruszył się. Kuter mknął długimi, rozchybotanymi susami. Bogard patrzył spokojnie poza rufę na morze pędzące z wiatrem, na niebo. „Mój Boże – myślał. – Czy to się skończy? Czy to się skończy?”

Chłopiec wrócił. Bogard podniósł ku niemu twarz o barwie brudnego papieru.

– Już w porządku – powiedział chłopiec. – Nie do Kilonii. Gdzieś bliżej, polowanie pewnie nie gorsze. Ronnie mówi, że wie, że pan zrozumie. – Wyszarpywał coś z kieszeni. Wyciągnął butelkę. – Proszę. Nie zapomniałem wczorajszej nocy. Rewanż. Dobrze na żołądek, co?

Bogard wypił wielki łyk. Podał butelkę chłopcu, ale chłopiec podziękował.

– Nigdy nie dotykam na służbie. Nie tak jak wy, lotnicy. Tu bez fantazji.

Kuter mknął naprzód. Słońce było już nisko na zachodzie. Ale Bogard zatracił poczucie czasu, poczucie przestrzeni. Przed sobą przez okrągłe oko naprzeciw twarzy Ronnie’ego widział biel morza; widział rękę Ronnie’ego na kole sterowym i jak wykuty z granitu profil jego szczęki z wygasłą, wywróconą do tyłu fajką. Kuter mknął naprzód.

Chłopiec pochylił się i dotknął ramienia Bogarda. Bogard na pół się podniósł. Chłopiec na coś wskazywał. Słońce było czerwonawe; na tle słońca, w odległości może dwóch mil od kutra w kierunku pełnego morza, stał na redzie kołysząc wysokim masztem jakiś statek wyglądający na trawler.

– Statek latarnia! – krzyknął chłopiec. – To ich! – Bogard zobaczył przed sobą niskie, płaskie molo, wejście do jakiegoś portu.

– Kanał! – krzyczał chłopiec. Machnął ręką w jedną i w drugą stronę. – Miny! – Wiatr niósł jego głos do tyłu. – Wszystko zapaskudzone minami. Wszędzie. Pod nami też. To ci heca, co?

## VII

O molo biła spora fala. Kuter, wychodząc teraz z pełnego morza, niemal przeskakiwał z jednego bałwana na drugi; na przestrzeniach pomiędzy bałwanami, kiedy śruba zawisała w powietrzu, silnik pracował, jak gdyby z korzeniami chciał się wyrwać z kutra. Ale kuter nie zwalniał; mijając koniec mola zdawał się stać na sterze niemal tak prosto jak rekin na ogonie. Molo było w odległości jednej mili. Z końca mola zaczęły niby świętojańskie robaczki mrugać błyskami małe, słabe światełka. Chłopiec się pochylił.

– Pochylić się – powiedział. – Cekaemy. Może zaprzestaną ostrzału.

– Co mam robić? – krzyknął Bogard. – Co mogę robić?

– Dzielny chłop! Damy im bobu, co? Wiedziałem, że to się panu będzie podobało.

Przykucnięty, z twarzą jak w gorączce, Bogard spojrział na chłopca.

– Mogę obsługiwać cekaem.

– Nie trzeba! – odkrzyknął chłopiec. – Dajemy im pierwszeństwo. Sportowo. Goście, co? – Patrzył przed siebie. – To ten statek. Widzi pan?

Byli już w porcie, w otwierającej się przed nimi zatoce. W kanale stał jakiś wielki statek frachtowy. W połowie kadłuba miał wymalowaną olbrzymią flagę argentyńską.

– Wróć na stanowiska! – krzyknął chłopiec nad Bogardem.

I wtedy, w tej właśnie chwili, Ronnie odezwał się po raz pierwszy. Kuter mknął po gładszej wodzie. Szybkość kutra była wciąż taka sama, a Ronnie odzywając się nie odwrócił głowy. Leciutko tylko poruszył swoją sterczącą szczęką i wygasłą, wciśniętą w zęby fajką i samym kącikiem ust powiedział jedno słowo:

– Biber!

Chłopiec, pochylony nad czymś, co nazwał przedtem wihajstrem, wzdrygnął się, drgnął z miną taką, jakby go spotkała jakaś oszalamiająca zniewaga. Bogard również

spojrzał na Ronnie'ego i zobaczył, że Ronnie wskazuje ręką na coś za prawą burtą kutra. Był to lekki krążownik na redzie w odległości mili. Miał bocianie gniazda i kiedy Bogard tam patrzył, z tylnej wieżyczki zabłysło strzelające działo.

– O cholera! – krzyczał chłopiec. – Och, ty cwaniaku! O, niech cię diabli, Ronnie! Teraz już trzy na moją niekorzyść.

Ale już znów pochylał się nad swoim wihajstrem, znów twarz miał jasną, pustą i czujną, z wyrazem nie tyle rozwagi, co spokojnego wyczekiwania. Bogard znów patrzył przed siebie, czując, jak kuter zakręcając kładzie się na burcie, po czym ze straszliwą szybkością zmierza prosto na ten frachtowiec. Ronnie, teraz już tylko z jedną ręką na kole sterowym, podniósł drugą rękę do wysokości głowy.

Ale zdawało się Bogardowi, że ta ręka nigdy nie opadnie. W kucki, już nawet nie siedząc, przyglądał się z jakąś dziwnie spokojną grozą namalowanej fladze rosnącej w oczach jak na ekranie lokomotywa w pędzie, sfilmowana z szyn. Znów huknęło działo z krążownika za nim i zaraz potem, zupełnie z bliska, wypalono do nich z dzioba frachtowca. Bogard nie słyszał żadnego huku.

– Człowieku! Człowieku! – krzyczał. – Na litość boską!

Ręka Ronnie'ego opadła. Znów kuter położył się na burcie. Bogard zobaczył, jak druga burta podnosi się przy tym zwrocie. Myślał, że kuter trzaśnie bokiem w okręt, ale kuter nie trzasnął. Prysnał w bok długim łukiem. Bogard czekał, pewny, że teraz zatoczą jeszcze szerszy łuk i odpłyną na pełne morze pozostawiając ten frachtowiec za rufą, i znów pomyślał o krążowniku.

„Tym razem dostaniemy salwę z jednej burty, natychmiast kiedy zwiejemy od tego frachtowca” – pomyślał.

I zaraz przypomniał sobie o frachtowcu, o torpedzie i obejrzał się na frachtowiec, żeby zobaczyć eksplozję torpedy, ale ku swojemu przerażeniu stwierdził, że kuter ślizgając się zakręca i znów bierze kierunek na argentyńską flagę. Niby człowiek we śnie patrzył na samego siebie: jak pędzi pod okręt, jak wciąż jeszcze ślizgając się na wodzie, przelatuje pod bokiem okrętu tak blisko, że można już rozróżnić twarze na pokładzie.

„Chybili i teraz będą gonić tę torpedę, aż złapią, żeby drugi raz wystrzelić” – pomyślał idiotycznie.

Więc nie wiedział, że chłopiec stoi za nim, dopóki nie poczuł dotknięcia na ramieniu. Głos chłopca był zupełnie spokojny.

– Pod siedzeniem Ronnie'ego. Taka maciupcia korbka. Gdyby pan zechciał mi ją podać...

Znalazł korbkę. Podał ją do tyłu; myślał jak we śnie: „Mac by powiedział, że oni mają telefon w tej łodzi.”

Ale nie odwrócił się zaraz, żeby zobaczyć, co chłopiec robi z tą korbką, bo wciąż jeszcze znieruchomiały w owej spokojnej grozie patrzył na Ronnie'ego, który nie wypuszczając wygasłej fajki z zębów, z najwyższą szybkością przemiałał kutrem raz po raz dokoła frachtowca tak blisko, że widać było nity na płytach poszycia burt. Dopiero potem odwrócił się od Ronnie'ego, nieprzytomnie, nachalnie, spojrzął na rufę i zobaczył, co chłopiec robi z korbką. Chłopiec wkręcał korbkę w coś, co najwidoczniej było małym kabestanem znajdującym się nisko na boku rury w pobliżu głowicy. Podniósł oczy i zobaczył twarz Bogarda.

– Nie wyleciała! – krzyknął bez troski.

– Nie wyleciała?! – krzyknął Bogard. – Nie... Torpeda...

Chłopiec i jeden z marynarzy z przejęciem pochylali się nad kabestanem i rurą.

– Nie. Sfuszerowane. Zdarza się. Myślałby kto, że tacy spryciarze jak inżynierowie... Ale zdarza się. Wciągniemy ją i spróbujemy jeszcze raz.

– Ale zapalnik, nakrętka! – krzyknął Bogard. – Jeszcze jest w rurze, prawda?! To w porządku, prawda?

– W absolutnym. Ale już działa. Odbezpieczona. Śruba zaczęła się kręcić. Trzeba ją wciągnąć z powrotem i dobrze wypuścić. Gdybyśmy się zatrzymali albo zwolnili tempo, to by na nas wybuchła. Wciągnąć ją w rurę! Kłops! Co?

Bogard stał teraz odwrócony, usiłując zachować równowagę na karuzeli łodzi. Zdawało się, że wysoko w górze nad nimi frachtowiec kręci się i kręci w kółko niby na trikowym zdjęciu w jakimś filmie.

– Daj mi pan tę korbkę! – krzyknął.

– Wolnego – powiedział chłopiec. – Nie można jej wyciągać za szybko. Już my ją sami wtłoczmy w głowicę rury. Znowu kłops! Najlepiej niech pan nam pozwoli. Każdy szewc pilnuje swojego kopyta, co?

– Aha, owszem – powiedział Bogard. – Aha, bez kwestii!

To było tak, jakby jego ustami mówił ktoś inny. W napięciu opierał się rękami o zimną rurę przy tamtych. Coś go paliło wewnątrz, ale zarazem było mu zimno. Wstrząsany dreszczem patrzył na zwiniętą, pomarszczoną spiralnie dłoń marynarza obracającą kabestan lekkimi, krótkimi, jednocalowymi łukami, podczas gdy chłopiec pochylony nad głowicą rury uderzał delikatnie kluczem francuskim o walec, nasłuchując z głową odwróconą, z uwagą i ze skupieniem niby zegarmistrz, który naprawia zegarek. Kuter mknął naprzód owymi zażartymi, ślizgającymi się skrętami. Bogard zobaczył pomiędzy swoimi rękami długą, cieniutką pętlę śliny, sączącej się z czyichś ust, po czym zorientował się, że ta nitka wysuwa się z ust jego własnych.

Nie słyszał, że chłopiec coś mówi, i nie zauważył, kiedy chłopiec się wyprostował.

Poczuł tylko, że kuter wyrównuje nagle, rzucając go na kolana przy rurze. Marynarz powrócił już na rufę, a chłopiec znów się pochylił nad swoim wihajstrem. Bogard klęczał teraz i było mu zupełnie niedobrze. Nie czuł, jak kuter znów się kołysze, i nie słyszał, jak znów odzywają się działa z krążownika, z którego przedtem nie odważono się strzelać, i z frachtowca, z którego przedtem strzelać nie było możliwości. Nie czuł w ogóle nic, kiedy widział, jak olbrzymia namalowana flaga w bezpośredniej bliskości rośnie mu w oczach z szybkością lokomotywy i jak podniesiona ręka Ronnie'ego opada. Ale tym razem wiedział już, że torpeda wyleciała; tym razem miał wrażenie, że cały kuter, kręcąc się i wirując, zupełnie się odrywa od wody; zobaczył, jak dziób kutra wystrzela ku niebu niby dziób podrywającego się w górę pościgowca. A potem jego znieważony żołądek odmówił mu posłuszeństwa. Nie widząc już gejzeru, nie słysząc już detonacji, rozciągnął się na rurze. Czuł tylko, jak czyjaś ręka chwyta go za kołnierz, i z daleka, z bardzo daleka, doleciał do niego głos jednego z marynarzy.

– Spokojnie, panie kapitanie. Ja pana kapitana trzymam.

## VIII

Obudził go dźwięk czyjegoś głosu, dotknięcie czyjejś ręki. Oparty o rurę na pół siedział, na pół leżał w wąskim przejściu przy prawej burcie. Trwał tak w tej pozycji już od jakiegoś czasu. Już jakiś czas upłynął od chwili, kiedy poczuł, że ktoś go okrywa płaszczem. Ale nie podniósł wtedy głowy.

– Mnie nie zimno – powiedział tylko. – Niech pan to zatrzyma.

– Mnie niepotrzebny – powiedział chłopiec. – Już wracamy.

– Przepraszam, że... – powiedział Bogard.

– Właśnie. Te cholerne płytkie kutry. Każdemu żołądek się wywraca, dopóki człowiek się do nich nie przyzwyczai. My z Ronnie'em też... obaj na początku. Za każdym razem. Pan by nie uwierzył. Pan by nie uwierzył, że w ludzkim żołądku tyle się mieści. Proszę. – Była to butelka. – Dobrze się napić. Porządny łyk. Dobrze na żołądek.

Bogard się napił. Wkrótce zrobiło mu się lepiej, cieplej. Kiedy później poczuł na sobie dotknięcie tej ręki, zorientował się, że od tamtej chwili spał.

To był znów chłopiec. Dwurzędowa kurtka była na niego za mała; może skurczyła się w praniu. Długie, dziewczęco smukłe przeguby jego rąk wynurzające się spod za krótkich mankietów były sine z zimna. Wtedy Bogard uświadomił sobie, czym jest nakryty płaszczem. Ale zanim zdążył coś powiedzieć, chłopiec z radością na twarzy pochylił się i szepnął:

– On nie zauważył!

– Czego?

– „Ergenstrasse”. Nie zauważył że przesunęli „Ergenstrasse”. Rety! Już tylko o jeden punkt będę gorszy. – Patrzył na Bogarda jasnym, niecierpliwym wzrokiem. – Biber, pan wie. Słowo daję. Lepiej się pan czuje, co?

– Tak – powiedział Bogard. – Lepiej.

– Wcale nie zauważył. O rety! O rany koguta!

Bogard podniósł się i usiadł na rurze. Przed nimi było wejście do portu; kuter płynął teraz trochę wolniej. Zapadał już zmierzch. Bogard zapytał spokojnie:

– Często to się zdarza?

Chłopiec spojrział na niego. Bogard dotknął rury.

– To. Często nie wylatuje?

– Aha, owszem. Dlatego właśnie wprowadzili kabestan. Ale dopiero później. Zrobili pierwszą taką torpedę i kuter któregoś dnia ze wszystkimi wyleciał w powietrze. Więc wprowadzili kabestan.

– Ale to się czasami zdarza nawet i teraz? To znaczy, czasami rozsadza nawet z tym kabestaniem?

– No, nie można powiedzieć, żeby nie. Oczywiście. Kutry wypływają. Nie wracają. Możliwe. Nigdy nie wiadomo, oczywiście. Swoją drogą, nie słyszało się jeszcze, żeby któryś dostał się do niewoli. Możliwe. Swoją drogą, nam to się nie zdarzyło. Jeszcze nie.

– Tak – powiedział Bogard. – Tak.

Kuter wpłynął do portu, wciąż jeszcze mknąc szybko, ale już bez wstrząsów i na zmniejszonych obrotach, poprzez wypełniony zmierzchem basen portowy. Chłopiec znów się pochylił i syknął radośnie:

– Ani słowa teraz. Jak gdyby nigdy nic.

Wyprostował się; podniósł głos:

– Słowo daję, Ronnie!

Ronnie nie odwrócił głowy, ale Bogard wiedział, że on słucha.

– Lepsza zabawa z tym argentyńskim statkiem, co? Tam na morzu. Jak ci się zdaje, jak on się tam przedostał tuż pod naszym bokiem? Właściwie mógł się zatrzymać i tutaj. Francuzi by kupili tę pszenicę.

Urwał szatańsko – Machiavelli z twarzą upadłego anioła.

– Słowo daję. Odkąd to nie mieliśmy tu żadnego obcego okrętu? Chyba już od miesięcy, co?

Znów się pochylił i syknął:

– Teraz niech pan uważa!

Ale Bogard widział, że głowa Ronnie’ego nawet nie drgnęła.

– On jednak patrzy – szepnął chłopiec z przydechem.

I Ronnie rzeczywiście patrzył, chociaż głowa mu przy tym nawet nie drgnęła. A potem na tle zmierzchowego nieba mglistym zarysem ukazał się podobny do bocianiego gniazda fokmaszt internowanego statku. Natychmiast ręka Ronnie’ego uniosła się w tym kierunku; po raz drugi Ronnie odezwał się; nie odwracając głowy, samym tylko kącikiem ust poprzez wciśniętą w zęby wygasłą fajkę powiedział jedno słowo:

– Biber!

Chłopiec drgnął cały jak odskakująca sprężyna, jak spuszczone ze smyczy pies.

– O, niech cię cholera! – krzyknął. – Och, ty cwaniaku! To „Ergenstrasse”! O, niech cię diabli! Już tylko jeden punkt dla ciebie!

Jednym wielkim krokiem przeszedł już przez Bogarda i pochylał się teraz nad Ronnie’em.

– Co?

Kuter na wyłączonych silnikach podpływał do mola.

– No nie? Tylko jeden punkt dla ciebie!

Kuter sunął po falach zatoki; marynarz wyczołgał się już na dziób, na pokład. I wtedy Ronnie odezwał się po raz trzeci i ostatni.

– Zgadza się – powiedział.

## IX

– Proszę – powiedział Bogard – o skrzynkę szkockiej. Najlepszej, jaką macie. I żeby była dobrze zapakowana. Trzeba ją wysłać do miasta. I niech tu przyjdzie ktoś odpowiedzialny, kto ją tam dostarczy.

Przyszedł ktoś odpowiedzialny.

– To jest dla jednego dzieciaka – powiedział Bogard wskazując skrzynkę. – Znajdziecie go na ulicy Dwunastu Godzin gdzieś w okolicy kawiarni „Dwanaście Godzin”. Będzie leżał w rynsztoku. Poznacie go. Dzieciak, który ma około sześciu stóp wzrostu. Każdy angielski żandarm wam go wskaże. Jeżeli będzie spał, to go nie budźcie. Usiądźcie tam tylko i czekajcie, dopóki sam się nie obudzi. Wtedy mu to doręczycie. Powiecie, że to od kapitana Bogarda.

## X

Mniej więcej w miesiąc później na amerykańskie lotnisko zabłąkał się numer „The English Gazette” zawierający na liście strat następujące pozycje:

„NIE POWRÓCILI: Kuter torpedowy X001, podporucznicy: R. Boyce Smith i L. C. W. Hope (Rezerwa Królewskiej Marynarki Wojennej) R. N. R.; bosmanmat Burt i starszy marynarz Reeves. Flota Kanału, Dywizjon Kutrów Torpedowych. Nie powrócili ze służby patrolowej przybrzeżnej.”

Wkrótce potem dowództwo lotnictwa amerykańskiego również wydało biuletyn.

„Nagrodzeni za niezwykle męstwo wykraczające poza obowiązki służbowe: kapitan H. S. Bogard oraz jego załoga złożona z podporucznika Darrela MacGinnisa i strzelców pokładowych Watta i Harpera, którzy, dokonując nalotu dziennego bez osłony myśliwców, zniszczyli bombami skład amunicji w odległości kilku mil za liniami nieprzyjacielskimi. Stamtąd wyżej wymienieni ścigani przez przeważające siły lotnictwa nieprzyjacielskiego polecili z pozostałymi bombami na dowództwo korpusu nieprzyjacielskiego w miejscowości X i częściowo zburzyli ten *château*, po czym powrócili cało bez straty w ludziach.”

W związku z tym wyczynem można by dodać, że gdyby akcja ta kapitanowi Bogardowi się nie powiodła, a on wyszedł z niej żywy, to natychmiast oddano by go pod sąd wojenny.

Ze swoimi dwiema pozostałymi bombami nurkował Handley-Page'em na *château*, w którym generałowie siedzieli właśnie przy obiedzie, i nie dawał sygnału MacGinnisowi czekającemu przy zwalnicach zaczepów bomb, dopóki ten nie zaczął na niego krzyżeć. Nie dawał sygnału, dopóki nie opuścił się tak nisko, że mógł rozróżnić poszczególne dachówki łupkowe na dachu tego *château*. Wtedy dopiero opuścił rękę i z furkotem poderwał się w górę, po czym utrzymując dziko warczący aeroplan wysoko w powietrzu, z sykiem oddychając przez rozchylone wargi, myślał:

„Boże! Boże! Gdybyż oni tam byli wszyscy... wszyscy ci generałowie, admirałowie, prezydenci i królowie... ich i nasi... Oni wszyscy!”

*Przełożyła*

*Zofia Kierszys*

## WASH

Sutpen stał nad siennikiem, na którym leżała matka z dzieckiem. Przez szpary pomiędzy spaczonymi deskami ściany wpadały złote krechy wczesnego porannego słońca, załamując się na rozkraczonych nogach Sutpena i na szpicrucie w jego ręce, przekreślając w poprzek nieruchomą postać matki leżącej z dzieckiem u boku, owiniętym w kawałek wystrzępionego, ale czystego płótna, wpatrzonej w Sutpena nieruchomymi, nieodgadnionymi, posępnymi oczami. Za nimi, w głębi izby, przy prymitywnym palenisku, na którym płonął słaby ogień, siedziała w kucki stara Murzynka.

– No, Milly – powiedział Sutpen – to fatalnie, że nie jesteś klaczą. Gdybyś była klaczą, dałbym ci przyzwoite miejsce w stajni.

Wciąż jeszcze dziewczyna na sienniku nie uczyniła żadnego ruchu. Tylko wpatrywała się w Sutpena nieprzerwanie bez żadnego wyrazu na młodej, posępnej, nieodgadnionej twarzy, jeszcze bladej po niedawnym połogu. Sutpen poruszył się, przesuwając w rozszczepione złote krechy ołówków słońca twarz człowieka sześćdziesięcioletniego. Spokojnym głosem odezwał się do przykucniętej Murzynki:

– Gryzelda mi się ożrebiła dziś o świcie.

– Koń czy klacz? – zapytała Murzynka.

– Ogier... diabelnie pyszny źrebak... A co to jest? – Ręką, w której trzymał szpicrutę, machnął w kierunku siennika.

– To klaczka, miarkuję.

– Ha! – powiedział Sutpen. – Diabelnie pyszny źrebak. Wykapany Rob Roy z niego będzie. Ten Rob Roy, co to na nim pojechałem na północ w sześćdziesiątym pierwszym. Pamiętasz?

– Tak, panie.

– Ha! – Rzucił okiem na siennik. Nie było wiadomo, czy dziewczyna jeszcze patrzy na niego, czy już nie patrzy. Znów ręką, w której trzymał szpicrutę, wskazał siennik.

– Dopilnuj, żeby mieli wszystko, co mogą tu mieć.

Wyszedł z izby przez walącą się sień, zeszedł z progu w bujne chwasty przed domem (zardzewiała kosa, którą Wash przed trzema miesiącami od niego pożyczył, żeby skosić te chwasty, stała jeszcze w kącie ganku) i skierował się tam, gdzie czekał jego koń, gdzie stał Wash przytrzymując konia.

Kiedy pułkownik Sutpen pojechał bić się z Jankesami, Wash mu nie towarzyszył.

– Ja pilnuję domu i Negrów pana pułkownika – mówił wszystkim, którzy go pytali, i wybranym, którzy go nie pytali; wynędzniały, wymizerowany wskutek malarii człowiek o wyblakłych, zawsze zdumionych oczach, wyglądający na lat trzydzieści pięć, chociaż było wiadomo, że ma już nie tylko córkę, ale i ośmioletnią wnuczkę. To było kłamstwo i większość tych, którym to mówił – tych nielicznych pozostałych mężczyzn w wieku od lat osiemnastu do pięćdziesięciu – dobrze o tym wiedziała, chociaż byli i tacy, co wierzyli, że on sam chętnie w to wierzy, jakkolwiek nawet i ci byli pewni, że Wash jest za rozsądny jednak, żeby wystawiać prawdziwość swojego oświadczenia na ogniową próbę w obecności pani Sutpen czy niewolników Sutpena. Za rozsądny jest na coś takiego albo może zbyt leniwy czy zbyt niedbały, powiadali ludzie, wiedząc, że jedyny jego związek z plantacją Sutpenów polega na tym, że już od lat pułkownik Sutpen pozwala mu mieszkać na terenie swojej posiadłości w walącej się budzie wśród mokradeł dawnego łożyska rzeki; buda ta była kiedyś domkiem rybackim, który Sutpen wybudował za swoich kawalerskich czasów i który już się rozpadł stojąc bezużytecznie i wyglądał teraz jak stare czy chore dzikie zwierzę, co przyczołgało się w straszliwych mękach zdychania do wodopoju.

Do niewolników Sutpena doszło to jego oświadczenie. Śmieli się z tego. Nie pierwszy to raz śmieli się z Washa i nazywali go za jego plecami „białym śmieciem”. Sami zaczęli go pytać o to, kiedy grupkami spotykali go na zarośniętej ścieżce wiodącej z bagien i z dawnego obozu rybackiego.

– Czemuś wojować nie poszedł, biały?

Zatrzymywał się i patrzył na krąg czarnych twarzy, białych gałek ocznych i białych zębów, za którymi czaiło się szyderstwo.

– Bo mam córkę i rodzinę na utrzymaniu – mówił. – Złaźcie mi z drogi, wy Negry!

– Negry? – powtarzali. – Negry? – Śmieli się już. – Patrzcie no, kto to na nas mówi Negry!

– Właśnie – mówił. – Ja nie mam Negrów, co by się opiekowali moją rodziną, gdybym poszedł wojować.

– Ani nic nie masz, tylko tę budę. Nikomu z nas pan pułkownik nie dałby mieszkać w takiej budzie.

Nieraz ich klął; czasami z jakimś kijem podniesionym z ziemi rzucał się na nich, ale chociaż rozbiegali się przed nim, zdawało mu się, że wciąż jeszcze go otaczają kręgiem tego czarnego śmiechu, szyderczego, nieuchwytnego, od którego nie było ucieczki nawet i wtedy, gdy dysząc, bezsilny i wściekły zostawał sam. Kiedyś to się zdarzyło na tylnym dziedzińcu wielkiego domu. Właśnie dotarły owe smutne wiadomości z gór Tennessee i z Vicksburga i już przez plantację przejechał generał Sherman, za którym podążała

większość Murzynów. Prawie wszystko, co było, odeszło z oddziałami wojsk federalnych i pani Sutpen zawiadomiła Washa, że mógłby się zająć jednak winogronami dojrzewającymi w altanie w ogrodzie warzywnym. Tym razem zaczepiła Washa służąca, jedna z nielicznych pozostałych czarnych; tym razem ta Murzynka musiała uciekać po kuchennych schodkach na ganek, na którym odwróciła się do Washa.

– Stać tam, biały. Stać tam, gdzie stoisz. Nie wolno ci było włączyć na te schodki, jak tu był pan pułkownik, to i teraz także nie wleziesz.

To była prawda. Ale była w tym jakaś duma: Wash nigdy nie próbował wejść do wielkiego domu, chociaż nawet mu się zdawało, że gdyby tylko spróbował, Sutpen na pewno by go przyjął, kazał go wpuścić.

„Tylko że ja nie dam żadnego zasmolonemu Negrowi sposobności do gadania, że gdzieś mi wchodzić nie wolno – powiedział sobie. – Nie dam panu pułkownikowi sposobności do tego, żeby musiał wymyślać Negrom na mój rachunek.”

Tak myślał, choć spędzili z Sutpenem niejedno popołudnie w owe rzadkie niedziele, kiedy u Sutpenów nie było gości. Może zdawał sobie sprawę, że zdarza się to tylko wtedy, gdy Sutpen, który nie znosił być sam, nie ma nic lepszego do roboty. Fakt jednak pozostawał faktem, że ci dwaj – Sutpen rozparty w hamaku, Wash przykucnięty pod słupem – spędzali całe popołudnia razem w tej altanie nad wiadrem wody z cysterny, popijając na przemian whisky z tego samego gąsiora.

W dni powszednie w owym okresie Wash widywał tylko z daleka tego mężczyznę, który był prawie co do dnia jego rówieśnikiem, chociaż żadnemu z nich nigdy nie przyszło na myśl, że tak jest (może dlatego, że Wash miał już wnuczkę, podczas gdy syn Sutpena był jeszcze wyrostkiem w wieku szkolnym), tylko z daleka widywał tę wspaniałą postać na wspaniałym karym ogierze galopującym po plantacji. W takich chwilach serce miał spokojne i pełne dumy. Zdawało mu się, że ten cały świat, na którym Murzyni przez Boga stworzeni, jak to wiedział z Biblii, i przekleństwem Boga skazani na zbydłecenie i niewolniczą służbę u wszystkich ludzi o białej skórze, żyją w lepszych warunkach, lepiej mieszkają, a nawet lepiej są odziani niż on i jego rodzina – że ten cały świat, na którym bez ustanku wyczuwał wokoło siebie szydercze echa czarnego śmiechu, to tylko sen i złudzenie, a jedyna rzeczywistość to świat, po którym na karym koniu czystej krwi galopuje jego, Washa, własne samotne bóstwo. Myślał przy tym, że skoro Biblia również mówi, że wszyscy ludzie zostali stworzeni na obraz i podobieństwo Boże, to przecież, przynajmniej w oczach Boga, wszyscy ludzie stanowią obraz jednakowy; więc i on, Wash, może powiedzieć, tak jakby mówił o samym sobie:

„Świetny, dumny mężczyzna. Gdyby sam Pan Bóg miał zstąpić z niebios i jeździć konno po tej zwyczajnej ziemi, to pewno by sobie umyślił, że nie inaczej będzie wyglądać.”

Sutpen powrócił na tym karym ogierze w roku sześćdziesiątym piątym. Postarzał

się, jak gdyby mu przybyło lat dziesięć. W ciągu jednej zimy owdowiał i na wojnie stracił syna. Z pochwałą za męstwo, otrzymaną na piśmie z rąk generała Lee, powrócił na zrujnowaną plantację, gdzie już od roku jego córka utrzymywała się po części ze szczupłych darów człowieka, któremu piętnaście lat temu pozwolił zamieszkać w owym walącym się domku rybackim, człowieka, o którego istnieniu zdążył już przez ten czas zapomnieć. Wash przyszedł, żeby go powitać, nie zmieniony: tak samo wynędzniały, tak samo bez wieku, z tym bladym, pytającym spojrzeniem, z miną niepewną, trochę służalczy, trochę poufały.

– No, panie pułkowniku – powiedział Wash – zbili nas oni, ale nas jeszcze nie pobili, co?

To było treścią ich rozmów przez następne pięć lat. Teraz popijali razem whisky już pośledniejszą z kamiennego dzbana, i w dodatku nie odbywało się to w altanie. Popijali w tylnej izbie małego sklepiku, który Sutpen zdołał założyć przy gościńcu – małego pomieszczenia z półkami, gdzie Wash, pełniąc zarazem rolę subiekta i tragarza, sprzedawał naftę, podstawowe artykuły żywnościowe, zjełczałe farbowane słodycze, tanie paciorki i wstążki Murzynom oraz takim samym jak on białym biedakom, przybywającym tu bądź pieszo, bądź na nędznych mułach, żeby targować się do znudzenia o dziesięciocentówkę czy ćwierć dolara z tym mężczyzną, który jeszcze mógł bez chwili odpoczynku przegalopować dziesięć mil po swojej urodzajnej ziemi (kary ogier żył jeszcze; stajnia mieszcząca jego zazdrośnie strzeżony pomiot była w lepszym stanie i otoczona większą dbałością niż dom jego pana) i który jeszcze niedawno tak mężnie prowadził żołnierzy do boju; targi te trwały, dopóki Sutpen nie wpadał w gniew i nie wyrzucał wszystkich ze sklepiku, zamykając drzwi na klucz od wewnątrz. Wtedy to obaj z Washem szli do tylnej izby i zaglądali do dzbana. Ale rozmowa nie toczyła się już tak spokojnie jak w owych czasach, kiedy Sutpen wygłaszał swoje zarozumiałe monologi leżąc w hamaku, a Wash parskał śmiechem kuląc się w kucki pod słupem. Teraz obaj siedzieli, chociaż Sutpen zajmował jedyne krzesło, a Wash przysiadł na byle skrzynce czy baryłce, jaka była w pobliżu, i to tylko na krótką chwilę, bo Sutpen szybko osiągał ową fazę bezsilnej wściekłości wobec klęski, której nie chciał uznać, i chwiejąc się, i zataczając wstawał i jeszcze raz oświadczał, że dosiądzie karego ogiera, weźmie pistolet i sam jeden pojedzie do Waszyngtonu, żeby zabić Lincolna, wówczas już nieżyjącego, i zabić Shermana, wówczas już w cywilu.

– Zabiję ich! – krzyczał. – Jak psy powystrzelam, bo to są psy!

– A już, panie pułkowniku, a już – mawiał wtedy Wash chwytając upadającego Sutpena.

A potem rekwirował pierwszy lepszy przejeżdżający wóz, albo, jeżeli nic się nie nadarzało, szedł milę do najbliższego sąsiada, żeby od niego wóz pożyczyć, po czym wracał i odwoził Sutpena do domu. Teraz już wchodził do domu. Od dawna tam wchodził, kiedy tak przywoził Sutpena pierwszym lepszym wypożyczonym wozem, do którego

zapraszał go przymilnym szeptem i cmokaniem, tak jakby Sutpen był koniem, ogierem. W domu przyjmowała ich córka Sutpena, bez słowa przytrzymując otwarte drzwi. Wash wnosił swoje brzemie przez niegdyś biały reprezentacyjny przedśionek, nad którym było półkoliste okno z szybami, tafla po tafli importowanymi z Europy, obecnie załatanie deską przybitą w miejscu brakującej szyby; po aksamitnym dywanie, z którego już się wytarł cały włos, i po reprezentacyjnych schodach – po tym upiorze reprezentacyjnych schodów obecnie już tylko składających się z gołych desek pomiędzy dwoma pasami wyblakłej farby – docierał do sypialni. W zapadającym zmierzchu rzucał rozkraczonemu pułkownika na łóżko, rozbierał go, a potem cicho siedział przy nim na krześle. Po jakimś czasie do drzwi przychodziła córka.

– Już się dobrze czujemy – mówił jej Wash. – Niech się panienska Judith nic nie martwi.

A potem robiło się ciemno i Wash kładł się wreszcie na podłodze przy łóżku, chociaż nie po to, żeby spać, bo już wkrótce – czasami nawet przed północą – mężczyzna na łóżku zaczynał się poruszać, jęczeć i pytał:

– Wash?

– Tu jestem, panie pułkowniku. Niech pan pułkownik śpi dalej. Jeszcze nas oni nie pobili, co? Ja i pan możemy pobić ich.

Tak było nawet i wtedy, gdy już zobaczył tę szarfę, którą przepasała się jego wnuczka. Wnuczka miała teraz piętnaście lat i była dojrzała ową wczesną dojrzałością kobiet jej typu. Wiedział, skąd ona ma tę szarfę. Od trzech lat codziennie widywał takie szarfy w sklepiku, więc wiedział, choćby mu nawet skłamała, skąd ją ma, czego zresztą nie zrobiła w swojej posępnej, trwożliwej dumie.

– A już – powiedział. – Jeżeli pan pułkownik był łaskaw ci to dać, to spodziewam się, żeś pamiętała, żeby mu podziękować.

Serce miał spokojne nawet wtedy, gdy zobaczył tę sukienkę, gdy wnuczka z wyrazem twarzy tajemniczym, wyzywającym i przerażonym powiedziała, że to panienska Judith pomogła jej tę sukienkę uszyć.

Ale tego samego popołudnia z całą powagą podszedł do Sutpena, kiedy już zamknęli sklepik i przeszli do tylnej izby.

– Daj no dzban – polecił Sutpen.

– Zaraz – powiedział Wash. – Za chwilę dopiero.

Sutpen też nie zaprzeczył, że to on dał jej tę sukienkę.

– Co z tego? – zapytał.

Ale Wash wytrzymał jego aroganckie spojrzenie; powiedział spokojnie:

– Idzie już na dwudziesty rok, odkąd znam pana pułkownika, i nigdy tak nie było, żebym nie posłuchał, jak pan pułkownik kazał mi coś zrobić. A przecież ja już mam prawie szósty krzyżyk na karku, a ona to dopiero piętnastoletnia dziewczuszka.

– Myślisz, że ja bym zrobił jakiej dziewczynie krzywdę? Ja, człowiek taki stary jak ty?

– Gdyby pan pułkownik był kimś innym, to bym powiedział, że pan pułkownik jest taki stary jak ja. I czy stary, czy niestary, nie dałbym jej zatrzymać ani tej sukienki, ani nic, co by dostała z pana pułkownika ręki. Ale pan pułkownik nie jest taki jak inni.

– Jak to nie taki?

Ale Wash tylko spojrzał na niego bladymi, pytającymi, trzeźwymi oczami.

– Więc właśnie dlatego się mnie boisz?

Spojrzenie Washa nie było już pytające. Było spokojne, pogodne.

– Nie boję się. Bo pan pułkownik jest dzielny. I to nie jest tak, że pan pułkownik był dzielny przez jakąś jedną tam minutę czy dzień w swoim życiu, co to pan pułkownik aż dostał od generała Lee dokument do pokazywania. Ale pan pułkownik jest dzielny tak samo, jak pan pułkownik żyje i oddycha. To dlatego ta dzielność nie jest taka jak u innych. Mnie nie trzeba biletu, żebym to wiedział. I wiem, że wszystko, za co się pan pułkownik weźmie czy się tknie... czy to będzie cały pułk żołnierzy, czy nieuczona dziewczuszka, czy tylko ogar... to już pan pułkownik zrobi z tym tak, że będzie jak się należy.

Teraz to Sutpen spuścił wzrok z Washa, odwracając się nagle, raptownie.

– Daj no dzban – powiedział ostro.

– A już, panie pułkowniku – powiedział Wash.

Więc w dwa lata później, w ową niedzielę, Wash widząc, że Murzynka akuszerka, przywędrowawszy trzy mile, żeby przyjąć ten poród, już zniknęła za rozpadającymi się drzwiami, za którymi zawodząc leżała jego wnuczka, serce miał spokojne, chociaż był bardzo przejęty. Widział już, co mówią oni – ci Murzyni w okolicznych chatach i ci biali wałęsający się przez cały boży dzień w pobliżu sklepiku – co oni mówią patrząc spokojnie na ich troje, na Sutpena, na niego i na jego wnuczkę z tą jej miną bezczelnego, a zarazem zastraszonego wyzwania, kiedy już jej stan z dnia na dzień stawał się coraz bardziej widoczny – co oni mówią patrząc na nich troje niby na aktorów, którzy wchodzą na scenę w teatrze i ze sceny schodzą.

„Ja wiem, co oni między sobą mówią – myślał. – Prawie ich słyszę: «Wash Jones przycisnął wreszcie starego Sutpena do muru. Dwadzieścia lat mu to zabrało, ale na koniec go przycisnął.»,,

Już miało świtać, chociaż jeszcze było ciemno. Z domu, spoza spaczony futryny drzwi, przez którą padało mętne światło lampy, dochodziły jęki wnuczki tak regularnie, jakby nią poruszał mechanizm zegarowy, a Washowi myślenie szło jakoś powoli i straszliwie po omacku, płacząc się i płacząc z tętentem galopującego konia, dopóki nie wyzwoliła się wreszcie z tego tętentu wspaniała, dumna sylwetka mężczyzny na wspaniałym, dumnym ogierze w pełnym galopie; i wtedy właśnie, to, w czym myślenie dotychczas utykało, wyzwoliło się również, stało się zupełnie jasne, nie usprawiedliwiając, nie tłumacząc tego mężczyzny, ale wynosząc go do godności bóstwa samotnego, wytłumaczalnego przez sam fakt swojej boskości, wyższy ponad wszelkie zbrukanie ludzkim dotknięciem.

„On jest większy niż oni wszyscy, ci Jankesi, co mu zabili syna i żonę i zabrali Negrów, i zniszczyli ziemię... większy niż ten cały tutejszy zasrany kraj, o który on się tak bił, a który tak się go odrzekł, że on musi teraz prowadzić zwykły wiejski sklepik. On jest większy niż to odrzeczenie, co mu je kraj przystawił do ust jak kielich goryczy z Biblii. A ja... jak ja bym przez te dwadzieścia lat mógł żyć tylko blisko niego, gdyby on mnie nie wyuczył i nie zmienił? Może ja nie jestem taki wielki jak on, może nigdy nie galopowałem, ale przynajmniej przez cały czas włókłem się za nim. Ja i on możemy zrobić wszystko, jeżeli tylko on mi pokaże, jak robić to, czego chce ode mnie.”

A potem był świt. I nagle Wash zobaczył dom i starą Murzynkę, która stała w drzwiach i patrzyła na niego. A potem uświadomił sobie, że nie słyszy już krzyku wnuczki.

– To dziewczyna – powiedziała Murzynka. – Jak chcecie, możecie iść do niego i powiedzieć mu to.

Znów weszła do domu.

– Dziewczyna – powtórzył Wash. – Dziewczyna – powtórzył w oszołomieniu, słysząc ten tętent galopującego konia, widząc dumną postać znów wynurzającą się w pełnym galopie. Zdawało mu się, że patrzy, jak ta postać przejeżdża obok niego, galopując przez wcielenia niby przez kamienie milowe lat znaczące czas od osiągnięcia szczytu, owego szczytu wszelkiego życia – jak galopuje ta postać pod szablą wzniesioną, pod podartym kulami sztandarem, spadając jak piorun z jakiegoś nieba o żółtej burzowej barwie; po raz pierwszy w życiu pomyślał, że może Sutpen jest jednak taki stary jak on.

„Mamy dziewczuchę – pomyślał w tym oszołomieniu; a potem przyjemnie zaskoczony jak dziecko, pomyślał jeszcze: – Tak, panie. Niech mnie gęś kopnie, jak nie dożyłem tego, że w końcu jestem pradziadkiem.”

Wszedł do domu. Poruszał się niezdarnie, na palcach, jak gdyby już tam nie mieszkał, jak gdyby to niemowlę, które przed chwilą po raz pierwszy wciągnęło oddech i zapłakało w świetle, wywłaszczyło go z tego domu, pomimo że było krwią z jego własnej krwi. Ale nawet kiedy już stał nad siennikiem, widział niewiele oprócz majaczącej jasną

plamą steranej twarzy wnuczki. A potem odezwała się do niego Murzynka przykucnięta przy palenisku:

– Lepiej już idźcie mu powiedzieć, jak macie iść. Już dzień.

Ale to nie było konieczne. Ledwie Wash skręcił za róg ganku, na którym stała w kącie kosa pożyczona przed trzema miesiącami po to, żeby usunąć z drogi te chwasty – Sutpen sam, we własnej osobie, podjechał na karym ogierze. Wash nie zastanawiał się nawet, skąd Sutpen o tym wiedział. Uznał za zrozumiałe samo przez się, że to właśnie ta sprawa, a nie inna, sprowadziła tu Sutpena o tej godzinie niedzielnego ranka; stojąc tam, kiedy tamten zsiadał z konia, biorąc od tamtego uzdę z wyrazem niemal głupkowatym na swojej wynędzniałej twarzy, powiedział głosem, w którym zabrzmiało coś w rodzaju znużonego triumfu:

– To jest dziewczuszka, panie pułkowniku. Niech mnie gęś kopnie, jak pan pułkownik nie jest taki stary jak ja.

Sutpen minął go i wszedł do domu. Wash, stojąc przy koniu, trzymając uzdę, słyszał kroki Sutpena idącego przez izbę do siennika. Słyszał słowa Sutpena i wtedy coś w nim chyba zamarło, zanim ruszyło dalej.

Słońce już było wysoko, to szybkie słońce missisipijskich szerokości geograficznych, a jemu się wydało, że stoi pod jakimś obcym niebem, w jakimś obcym miejscu na tyle tylko znajomym, na ile znajome wydają się rzeczy oglądane w snach, w tych snach na przykład o spadaniu, śniących się komuś, kto nigdy nie wspina się pod górę na jawie.

„Nie mogłem tego słyszeć. To mi się zdawało – pomyślał spokojnie. – Wiem, że nie mogłem tego słyszeć.”

A jednak ten głos, dobrze znany głos, który wypowiedział te słowa, brzmiał dalej, teraz już w rozmowie ze starą Murzynką o źrebaku urodzonym tego ranka.

„To on dlatego wstał dzisiaj tak wcześniej – pomyślał Wash. – To było to. To nie ja i moja wnuczka. To nawet nie jego rodzone dziecko wyciągnęło go z łóżka.”

Sutpen wyszedł. Zeszedł w chwasty, poruszając się z tym ociężałym rozmysłem, który u człowieka młodszego byłby pośpiechem. Jeszcze nie spojrzał na twarz Washa.

– Dicey tu zostanie i zajmie się nią. A ty lepiej... – i urwał, bo chyba zobaczył twarz Washa. – Co takiego? – zapytał.

– Pan pułkownik powiedział... – Głos Washa do jego własnych uszu doleciał płaski jak kwakanie, jak głos głuchego. – Pan pułkownik powiedział, że gdyby ona była kłaczą, to dałby jej pan pułkownik dobre miejsce w stajni.

– No? – zapytał Sutpen.

Oczy mu się rozszerzyły i zwężyły niemal tak, jak rozluźniająca się i zaciskająca pięści, kiedy Wash, garbiąc się nieco, zaczął ku niemu iść.

Unieruchomiony na tę chwilę samym zdumieniem, Sutpen patrzył na tego człowieka, który w jego oczach w ciągu dwudziestu lat tak samo nie wykonał żadnego poruszenia nie na jego rozkaz, jak ten koń, na którym on, Sutpen, jeździł. Znowu oczy mu się zwężyły i rozszerzyły; nie ruszył się, a przecież jak gdyby stanął dęba.

– Odsuń się – powiedział gwałtownie i ostro. – Nie dotykaj mnie.

– Ja się dotknę pana pułkownika – powiedział Wash tym płaskim, spokojnym, niemal łagodnym głosem, podchodząc bliżej.

Sutpen podniósł rękę, w której trzymał szpicrutę; spoza rozpadających się drzwi wyjrzała stara Murzynka z twarzą zmęczonego karła, czarną jak rzeźba u wylotu rynny.

– Odsuń się, Wash – powiedział Sutpen.

A potem uderzył. Stara Murzynka zwinnie jak koza zeskoczyła w chwasty i uciekła. Sutpen jeszcze raz chlasnął Washa przez twarz, powalając go na kolana. Kiedy Wash podniósł się i zbliżył do Sutpena jeszcze raz, już miał w rękach kosę, którą przed trzema miesiącami pożyczył od Sutpena i której Sutpen nie miał potrzebować już nigdy.

Kiedy wrócił do domu, wnuczka poruszyła się na sienniku i zawołała go grymaśnie.

– Co to było? – zapytała.

– Co, kochaneczku?

– Ta awantura tam przed domem.

– To nic nie było – powiedział łagodnie. Ukląkł i niezdarnymi palcami dotknął jej gorącego czoła. – Chcesz czegoś?

– Łyk wody – powiedziała kłótniwie. – Już tak dawno tu leżę i chcę jeden łyk wody, ale nikogo to nie obchodzi.

– No, już – powiedział kojąco.

Podniósł się sztywno, przyniósł czerpak z wodą i przytrzymał wnuczce głowę, kiedy piła, po czym położył ją z powrotem i patrzył na nią, kiedy z kamienną twarzą odwróciła się do dziecka. Ale po chwili zobaczył, że ona cichutko płacze.

– No, no – powiedział. – Ja tam bym nie płakał. Stara Dicey powiada, że to jak raz udana dziewczuszka. Już dobrze. Już przecież po wszystkim. Już nie trzeba płakać.

Ale ona wciąż płakała cichutko, posepnie, nie zwracając na niego uwagi, więc podniósł się z siennika i stanął nad nią myśląc przez chwilę to, co myślał wtedy, kiedy leżała tak jego żona, a potem z kolei córka.

„Kobiety! To dla mnie dziw niepojęty. Niby to chcą mieć te bębny, a jak im się je

daje, to tylko beczą. To dla mnie dziw niepojęty. Dla każdego chłopca dziw niepojęty.”

A potem odszedł, przyciągnął krzesło do okna i usiadł.

Przez to całe długie, jasne, słoneczne przedpołudnie siedział przy oknie i czekał. Od czasu do czasu wstawał i na palcach podchodził do siennika. Ale wnuczka teraz spała z twarzą posępną, spokojną i znużoną z dzieckiem w zgięciu ramienia. Znów powracał do okna, siadał na krześle i czekał zastanawiając się, dlaczego tyle im to czasu zabiera, dopóki sobie nie przypomniał, że to przecież niedziela. Siedział tam przy oknie i po południu, kiedy zza rogu domu wyszedł jakiś biały chłopak; na widok zwłok chłopak wydal zduszony okrzyk, a potem podniósł oczy i przez ułamek sekundy patrzył jak urzeczony na Washa w oknie, zanim nagle odwrócił się i uciekł. Wash wstał wtedy i znów na palcach podszedł do siennika.

Wnuczka już się obudziła. Może obudziła się na krzyk tego chłopca, chociaż nie wiedziała o tym.

– Milly – zapytał. – Nie jesteś głodna?

Nie odpowiedziała odwracając twarz. Rozpalił ogień w palenisku i ugotował to, co poprzedniego dnia przyniósł do domu: kawałek tłustego mięsa i zimną papkę kukurydzaną. Nalał wody do garnka ze zwietrzałą kawą i postawił garnek na ogień. Ale wnuczka nie chciała jeść, kiedy jej przyniósł jedzenie, więc cicho zjadł sam, po czym odstawił brudne naczynia i wrócił do okna.

Zdawało mu się teraz, że widzi i słyszy tych ludzi, jak już zaczynają się gromadzić z końmi i ze strzelbami, i z psami – tych ciekawych, mściwych ludzi pokroju Sutpena, którzy dotrzymywali Sutpenowi towarzystwa przy stole, w czasach kiedy sam Wash nie podchodził do domu bliżej niż tylko do tej altany w oplotach winogron w ogrodzie warzywnym – tych ludzi, którzy tak samo jak Sutpen pokazywali mniejszym od siebie, jak trzeba się bić na polu bitwy, którzy może tak samo jak Sutpen mieli dowody na piśmie podpisane przez generałów, że stoją w rzędzie najdzielniejszych, którzy tak samo jak Sutpen galopowali w dawnych czasach aroganccy i dumni na swoich pięknych koniach po swoich pięknych plantacjach – tak samo jak Sutpen byli symbolami podziwu i nadziei, a zarazem narzędziem rozpaczny i żalu.

Ci ludzie się spodziewali, że właśnie od takich jak oni Wash będzie uciekał. A przecież Wash wiedział, że równie nie ma od czego, jak i do czego uciekać. Nawet gdyby uciekał, to byłaby tylko ucieczka od jednego tłumu chełpliwych, złych cieni do drugiego tłumu cieni zupełnie takich samych, bo oni wszyscy byli tacy sami na całej ziemi, jaką Wash znał. A Wash był przecież stary, za stary, żeby uciekać gdzieś dalej, nawet gdyby chciał uciec.

Nie mógłby od nich uciec bez względu na to, jak daleko, ile mil by przebiegł: człowiek, któremu idzie na sześćdziesiątkę, nie może uciekać aż tak daleko... aż tak

daleko, żeby wymknąć się gdzieś poza granice ziemi, na której żyją tacy ludzie ustanawiając ład i reguły życia. Zdawało się Washowi, że teraz po raz pierwszy po pięciu latach widzi, jak to się stało, że Jankesom czy jakimś innym wojskom na świecie udało się pobić tych ludzi: tych mężnych, tych pysznych, tych walecznych – tych najlepszych spośród nich, uznanych i wybranych po to, żeby właśnie oni nieśli wysoko odwagę, honor i dumę. Może gdyby poszedł z nimi na tę wojnę, odkryłby ich wcześniej. Ale gdyby odkrył ich wcześniej, to cóż po tym odkryciu zrobiłby ze swoim życiem? Jak mógłby po tym odkryciu przez całe pięć lat znieść rozpamiętywanie, czym było jego życie przedtem?

Słońce chyliło się ku zachodowi. Dziecko płakało; kiedy Wash podszedł do siennika, wnuczka zaczęła je karmić z twarzą wciąż zadumaną, posępną, nieodgadnioną.

– Jesteś już głodna? – zapytał.

– Nic mi nie trzeba.

– Powinnaś coś zjeść.

Tym razem nie odpowiedziała, patrząc na dziecko. Wrócił do okna i zobaczył, że słońce zaszło.

„Teraz to już chyba niedługo” – pomyślał.

Wyczuwał ich zupełnie blisko – tych ciekawych i mściwych. Zdawało mu się nawet, że słyszy, co o nim mówią wyrażając przekonanie nurtujące ich w głębi niezależnie od wściekłości, jaka ich ogarnęła.

„Stary Wash Jones przewalił się wreszcie. Myślał, że ma Sutpena w rękę, ale Sutpen go wykiwał. Myślał, że ma pułkownika w rękę, że tak go przycisnął, że on musi teraz albo ożenić się z dziewczuchą, albo słono zapłacić. A pułkownik mu odmówił.”

– Ale ja się nigdy tego nie spodziewałem, panie pułkowniku! – krzyknął głośno, łapiąc się na tym, zdumiony dźwiękiem własnego głosu. Obejrzał się szybko i zobaczył, że wnuczka patrzy na niego.

– Do kogo dziadek mówi?

– To nic. Tak sobie tylko myślałem i nawet nie wiedziałem, jak zacząłem gadać.

Twarz jej znów stała się niewyraźną, posępną plamą w zmierzchu.

– Tak miarkuję. Miarkuję, że musi dziadek jeszcze głośniej wrzeszczeć; żeby on tam dziadka usłyszał, hen! w tym domu. I miarkuję, że będzie dziadek potrzebował zrobić coś więcej niż tylko wrzeszczeć, żeby go ściągnąć tutaj.

– No już – powiedział. – Już ty się o nic nie martw.

Ale teraz myślenie szło mu gładko.

„Pan pułkownik wie, że ja nigdy. Pan pułkownik wie, że ja nigdy niczego się nie

spodziewałem od nikogo na świecie i o nic nie prosiłem nikogo na świecie, ale od pana pułkownika to się spodziewałem. Ale nie prosiłem o to. Myślałem, że nie trzeba. Mówiłem sobie: «Przecież nie trzeba. Czyż może taki człek jak Wash Jones nie wierzyć ślepo mężczyźnie, co mu sam generał Lee napisał na bilecie, że jest dzielny?» Dzielny – myślał. – Lepiej by było, żeby już żaden z nich nigdy nie wrócił do domu w sześćdziesiątym piątym. – Myślał: – Lepiej by było, żeby tacy jak on i tacy jak ja nigdy nie zaczęli oddychać na tej ziemi. Lepiej by było, żeby wszystkich nas, co tu zostaną, wymiotło coś z tej ziemi, niż gdyby jakiś inny Wash Jones miał zobaczyć, jak całe jego życie odłupuje się od niego i kurczy jak sucha łupina ciśnięta w ogień.”

Odsunął od siebie to myślenie, uspokoił się. Nagle wyraźnie usłyszał te konie; teraz już widział latarnię i ludzi w ruchu, połysk luf karabinowych w chwiejnym blasku latarni. A przecież się nie poruszył. Siedział po ciemku i słuchał tych głosów i trzasku gałązek, kiedy oni otaczali dom. Zbliżyła się latarnia; światło jej padło na spokojne ciało leżące w chwastach i zatrzymało się tam na tle koni wysokich, majaczących jak cienie. Któryś z nich zeskoczył z konia i w blasku latarni pochylił się nad ciałem. Trzymał pistolet; wyprostował się i spojrzał na dom.

– Jones – powiedział.

– Tu jestem – spokojnie powiedział Wash z okna. – To pan major?

– Wyjdźcie.

– A już – powiedział spokojnie. – Tylko muszę dopatrzeć wnuczki.

– Już my jej dopatrzymy. Wyjdźcie.

– A już, panie majorze. Już zaraz.

– Zróbcie światło. Zapalcie lampę.

– A już. Za minutę.

Słyszeli jego głos cichnący w głębi domu, ale nie widzieli go, kiedy podszedł szybko do szpary w kominie, w której chował rzeźnicki nóż; jedyną rzecz w jego całym niechlujnym życiu i domu, z której był dumny, bo to był nóż ostry jak brzytwa. Zbliżył się do siennika, do głosu wnuczki.

– Kto tam jest? Niech dziadek zapali światło.

– Nie trzeba światła, kochaneczku. To tylko minuta – powiedział macając w kierunku jej głosu, teraz już szepcząc. – Gdzie jesteś?

– Tu – powiedziała grymaśnie. – A gdzie bym miała być? Co... – Dotknął ręką jej twarzy. – Co to... Dziadku! Dzia...

– Jones – powiedział szeryf. – Wychodźcie stamtąd!

– Za minutę, panie majorze – powiedział Wash.

A potem wstał i szybko przeszedł przez izbę. Wiedział, gdzie w ciemnościach stoi bańka z naftą, tak samo jak wiedział, że jest pełna, bo nie dalej jak przed dwoma dniami nappełnił ją w sklepie i przy pierwszej sposobności przywiózł do domu wozem, jako że pięć galonów to porządny ciężar. W palenisku było jeszcze trochę żarzących się węgla, zresztą cały ten nędzny budynek sam w sobie był jak hubka: węgle, palenisko i ściany buchnęły jedną niebieską łuną. W oszalałym ułamku sekundy, zanim konie stanęły dęba i okręciły się młynem, mężczyźni, którzy czekali przed domem, zobaczyli na tle łuny, jak Wash wyskakuje ku nim z podniesioną kosą. Powściągnęli konie i zwrócili je z powrotem ku łunie, ku tej szaleńczej sylwetce na tle łuny, ku tej chudej, kościstej postaci, pędzącej ku nim z podniesioną kosą.

– Jones! – krzyknął szeryf. – Stój! Bo strzelam!

Ale wciąż jeszcze w tej łunie, w huku płomieni oszalała koścista postać z podniesioną kosą pędziła ku nim, waliła się z podniesioną kosą na nich i na konie z dziko wytrzeszczonymi oczami, i na kołyszące się, połyskliwe lufy strzelb, nie wydając przy tym żadnego okrzyku, sunąc bezszelestnie jak widmo.

*Przełożyła  
Zofia Kierszys*

# PENNSYLVANIA STATION

## I

Zdawało się, że obaj wnoszą ze sobą zapach śniegu padającego na Seventh Avenue. Czy też może zrobili to już inni, którzy tu weszli przed nimi, wydychając ten zapach z płuc, napełniając cały pasaż zatechłym chłodem, takim właśnie, jaki mógłby się rozwlekać martwo na zimnych równinach samej nieskończoności. W długim szeregu okna wystawowe jedno przy drugim jaśniały w tym chłodzie blaskiem zastygłym uparcie, bezsennie, jak oczy ludzi odurzonych kawą podczas czuwania nocą nad zwłokami kogoś obcego.

W wielkiej okrągłej hali dworcowej, gdzie tłumy sprawiały wrażenie korowodów ruchliwych, zaprząniętych swoim celem mrówek, nadal się ciągnął, chociaż teraz już wysoko pośród stalowych belek, nadal był ten zapach śniegu i tutaj też jakiś zmartwiały, skażony, rozszemrany znużonym, bezustannym szeptaniem niby głosami pielgrzymów na owej nieskończonej równinie, niby głosami wszystkich wędrowców, którzy kiedykolwiek tę równinę przemierzali rozglądając się wokół z niepokojem i zdumieniem zabłąkanych dzieci.

Szli obaj do poczekalni dla palących. To właśnie ten stary stanął pierwszy w drzwiach i zajrzał do poczekalni.

– Dobra jest – powiedział.

Wyglądał na lat sześćdziesiąt, chociaż miał pewnie ze czterdzieści osiem czy może pięćdziesiąt dwa, czy pięćdziesiąt osiem. W długim płaszczu z kołnierzem niegdyś futrzanym i w czapce z nausznikami wyglądał jak karykatura farmera z głębokiej prowincji. Buty miał nie od pary.

– Na razie ich tu niedużo. Będziemy mieli trochę czasu.

Kiedy tam stali w drzwiach, do poczekalni zajrzeli jeszcze jacyś trzej mężczyźni z takimi samymi minami niezupełnie niepewnymi i niezupełnie ukradkowymi, w takim samym, jak gdyby z ich ust i odzieży zalatującym wyziewie kuchni towarzystw dobroczynnych i świetlic Armii Zbawienia. Weszli do poczekalni. Stary poszedł pierwszy w głąb sali pomiędzy rzędy ciężkich, masywnych ław zajętych przez jeszcze innych mężczyzn starszych i młodszych, którzy dumając w bezruchu bądź drzemiąc siedzieli tu tak jakoś dorywczo jak strachy na wróble przywiane wiatrem na szereg skalnych progów. Stary wybrał ławkę i usiadł robiąc przy sobie miejsce dla młodego.

– Dawniej to myślałem, że jak się siedzi gdzieś w środku, to on może ominąć. Ale teraz już wiem, że właściwie to wszystko jedno, gdzie się siedzi.

– I gdzie się leży, też wszystko jedno – powiedział młody. Ten miał na sobie nowy wojskowy płaszcz i żółte wojskowe buciory z asortymentu do nabycia za dolara czy coś koło tego w sklepach tak zwanych wojskowych. Widać było, że nie golił się już od pewnego czasu. – I w ogóle, cholera, wszystko jedno, czy się oddycha, czy się nie oddycha, jak się już raz gdzieś leży. Palić mi się chce. Mogę nie jeść... już się przyzwyczyłem, ale cholera, szlag mnie trafia, że ani rusz nie mogę się przyzwyczywać do tego, że nie palę.

– No jasna rzecz – powiedział stary. Chciałbym mieć papierosa dla ciebie. Ja sam nie palę, odkąd ze wszystkim wyjechałem na Florydę. To było pocieszne, dziesięć lat nie paliłem, a przecież jak tylko wróciłem do Nowego Jorku, od razu sobie pomyślałem, żeby zapalić. Pocieszne, co?

– I owszem – powiedział młody. – Szczególnie, jak chęć przyszła palić, a tu ani peta.

– O to zmartwienia wtedy nie było. Dobrze się wtedy miałem. Póki mnie...

Usadowił się wygodnie – stary gaduła nagle urzeczony, pochłonięty swoim opowiadaniem wolnym od wszelkiej zapalczywości, zdumienia czy urazy.

– Właśnie to mi pokręciło w głowie, że cały czas sobie myślałem, że te pieniądze na pogrzeb są nietknięte. Jak tylko dostałem wiadomość, że z Danny'm jest ten kłopot, od razu wróciłem do Nowego Jorku...

## II

– Ale kto to jest ten Danny? – zapytał młody.

– Nie mówiłem ci? Syn mojej siostry. Nikt z nas nie został, tylko siostra z Danny'm i ja. A przecież ze mnie był taki cherlak. Taki, co to aż myśleli, że gdzie mu tam do życia. I aż dwa razy, zanim jeszcze miałem piętnaście lat, machnęli na mnie ręką, a jednak przeżyłem ich wszystkich. Przeżyłem wszystkich ośmiorgo, jak siostra umarła trzy lata temu. To właśnie dlatego wyjechałem na Florydę, żeby tam zawsze mieszkać. Bo sobie myślałem, że tych ostrych zim tutaj na pewno nie przetrzymam. A przecież już trzy zimy przetrzymałem teraz, odkąd siostra umarła. Ale czasami wygląda na to, że człowiek może przetrzymać prawie wszystko, byleby tylko nie wierzył, że może. Nie uważasz?

– Nie wiem – powiedział młody. – Co to był za kłopot?

– Jaki kłopot?

– No, ten z Danny'm?

– Nie chcę, żebyś mnie źle zrozumiał, jeżeli się rozchodzi o Danny'ego. On nie był zły; tylko rozhukany jak każdy żółtodziób. Ale nie żeby zaraz zły.

– Dobrze – powiedział młody. – No, to nie było żadnego kłopotu.

– Nie było. To dobry chłopak. Jest teraz w Chicago. Ma teraz dobrą posadę. Znalazł mu ją ten adwokat z Jacksonville, zaraz potem jak wróciłem stamtąd do Nowego Jorku. Nawet nie wiedziałem, że on dostał tę posadę, póki nie spróbowałem do niego zatelegrafować o tym, że siostra umarła. Wtedy się dowiedziałem, że on jest w Chicago na tej dobrej posadzie. Przesłał dla siostry wieniec, taki kosztowny wieniec najmniej za dwieście dolarów. Samolotem przysłał; to też coś kosztuje. Sam nie mógł przyjechać, bo dopiero zaczął na tej posadzie pracować i szefa nie było w mieście, więc nie mógł. To zawsze był dobry chłopak. Więc kiedy się zrobił kłopot z tą kobietą piętro niżej, co go oskarżyła, że jej ukradł pranie ze sznura, powiedziałem siostrze, że mu przyślę pieniądze na kolej do Jacksonville i żeby tam przyjechał, to już ja się nim zaopiekuję. Żeby go wyrwać z towarzystwa tych rozłajdaczonych chłopaków, co łążą po szynkach, i w ogóle. Przyjechałem taki kawał drogi z Florydy, żeby się nim zająć. W ten sposób się stało, że poszedłem z siostrą do pana Pincksi, zanim jeszcze siostra zaczęła płacić na tę trumnę. Chciała, żebym z nią poszedł. Bo wiesz, jakie są stare kobiety. Tylko że ona nie była stara, chociaż tak jak ja przeżyła tamtych wszystkich siedmioro. Ale wiesz, jaka to pociecha dla starej kobiety wiedzieć już naprzód, że ją porządnie pochowają, na wypadek gdyby nie było żadnych krewnych, co by się tym zajęli. To chyba niejedną starą kobietę trzyma przy życiu.

– Szczególnie jak jest taki Danny już wtedy za bardzo zajęty, żeby się zająć tym, czy ją w ogóle pochowają.

Stary, już otwierając usta do dalszego ciągu swego opowiadania, urwał i spojrzał na młodego.

– Co?

– Mówię, że jeżeli niektórych ostatecznie nie trzyma przy życiu sama pewność, że umrą, to już nie wiem, co ich w ogóle trzyma.

– Aha, możliwe. Ja tam nigdy się tym nie gryzłem. Pewnie dlatego, że już dwa razy machnęli na mnie ręką, jeszcze zanim miałem piętnaście lat. I teraz też za każdym razem, jak zima już przejdzie, mówię sobie: „No, daję słowo, przecież znów jestem.” To właśnie dlatego wyjechałem na Florydę: przez te tutejsze zimy. Wróciłem dopiero, jak dostałem od siostry ten list o Danny’ m, i to na niedługo wróciłem. Może gdybym tego listu o Danny’ m nie dostał, już bym w ogóle nie wrócił. Ale wróciłem i właśnie wtedy siostra zabrała mnie do pana Pincksi, zanim mu zaczęła płacić na trumnę, żebym zobaczył, czy pan Pincksi jej nie nabiera. Powiedział, że towarzystwa ubezpieczeniowe przez cały czas każą płacić odsetki. Ołówkiem na papierze jej pokazał, że gdyby płaciła swoje pieniądze towarzystwom ubezpieczeniowym, to by wyszło na to samo, co gdyby pracowała o sześć minut dłużej w każdą noc i swój zarobek za te dodatkowe sześć minut oddawała towarzystwu ubezpieczeniowemu. Ale siostra powiedziała, że jej by to nic a nic nie szkodziło, bo to tylko sześć minut, a przecież o trzeciej czy czwartej nad ranem sześć minut by nie...

– O trzeciej czy czwartej nad ranem?

– Bo ona tam sprzątała w tych wysokich budynkach gdzieś koło Wall Street. Ona i parę innych pań. Pomagały sobie nawzajem przez noc, tak żeby razem kończyć pracę o jednej porze i razem wracać koleją podziemną do domu. Więc pan Pincki ołówkiem na papierze nam pokazał, że gdyby siostra pożyła jeszcze piętnaście lat na ten przykład, powiedział pan Pincki, to by wyszło na to samo, co gdyby pracowała przez trzy lata i osiemdziesiąt pięć dni bez żadnej zapłaty. To by było tak, jakby przez trzy lata i osiemdziesiąt pięć dni pracowała za darmo dla towarzystw ubezpieczeniowych. I zamiast żyć piętnaście lat, to by właściwie żyła tylko jedenaście lat i dwieście osiem dni. Siostra stała tam chwilę i trzymała woreczek pod szalem. A potem się zapytała: „Więc jakbym płaciła na swój pogrzeb nie panu, a towarzystwom ubezpieczeniowym, to bym musiała żyć o trzy lata i osiemdziesiąt pięć dni dłużej, zanim stać by mnie było na to, żeby umrzeć?”

„No – powiedział pan Pincki tak jakoś, jakby nie bardzo wiedział, co powiedzieć. – No, cóż... tak. Można to ująć i w ten sposób. Zupełnie za darmo by pani pracowała przez trzy lata i osiemdziesiąt pięć dni dla towarzystw ubezpieczeniowych.”

„O pracę to mi się wcale nie rozchodzi – powiedziała siostra. – O co innego, nie tam o pracę.”

A potem wyciągnęła z woreczka pierwsze pół dolara i położyła je u pana Pincki na biurku.

### III

Od czasu do czasu z długim, cichnym dudnieniem pod ich stopami przejeżdżała kolej podziemna. Może myśleli chwilami o dwóch zielonych żrenicach, jak suną gwałtownie naprzód poprzez podziemny tunel, na pozór nie gnane niczym, nie kierowane niczym, jakby je pędził własny niedościgły, szalony pęd, po drodze niszcząc miarowo niby paciorki na sznurek w równych odstępach, wnętrza ze światłami, w których blasku, bladym, przelatującym, ludzie wyglądają jak trupy chwilowo poustawiane na sztorc na cmentarzu po zbezczeszczeniu – trupy, co się chylą w tył sztywno, dziwnie, odgarnięte mrokiem dalszego pędu.

– Bo ja byłem cherlawy dzieciak. Dwa razy machnęli na mnie ręką, jeszcze zanim miałem piętnaście lat. Był jeden agent ubezpieczeniowy, co mi raz sprzedał polisę, bo tak mi się naprzykrzał, że powiedziałem, że dobrze. Że wezmę. To mnie wtedy zbadali i żadnej innej polisy dać nie chcieli, tylko taką na tysiąc dolarów, na którą miałem płacić do ukończenia pięćdziesięciu lat. A ja miałem wtedy dwadzieścia siedem lat. Trzeci byłem z ośmiorga, a przecież, jak siostra umarła trzy lata temu, to właśnie ja przeżyłem ich wszystkich. Więc jak jużśmy załatwili ten kłopot Danny’ego z tą kobietą, co powiedziała, że Danny jej ukradł to pranie ze sznura, to siostra mogła...

– Jakżeście załatwili ten kłopot?

– Zapłaciliśmy pieniądze jednemu, co miał dozorować tych chłopaków, z którymi uciekł Danny. Ławnik miejski znał Danny'ego i tamtych chłopaków. Wtedy już było w porządku. Więc siostra dalej mogła co tydzień płacić panu Pincksi te pięćdziesiąt centów. Bośmy się umówili, że jak tylko będę mógł, to zaraz przyślę pieniądze na bilet kolejowy, żeby Danny przyjechał na Florydę i żeby już był pod moją opieką. I pojechałem z powrotem do Jacksonville, a siostra mogła płacić panu Pincksi te pięćdziesiąt centów bez żadnego kłopotu. Co niedziela rano po robocie, jak wracała z tamtymi paniami do domu, to wszystkie razem wstępowały po drodze do pana Pincksi i budziły go, i siostra dawała mu te pięćdziesiąt centów. Jemu nie szkodziło, że to było o takiej porze, bo siostra była dobrą klientką. Powiedział jej, że mu wszystko jedno, o jakiej porze ona tam do niego przychodzi i go budzi, żeby mu zapłacić. Więc czasami to było bardzo późno, nawet i o czwartej nad ranem, szczególnie jak one miały sprzątanie po jakichś hucznych zebraniach czy czymś tam i w tych budynkach był bałagan z confetti albo z flagami. Może ze cztery razy do roku ta pani, co mieszkała najbliżej siostry, pisała do mnie w liście, ile siostra już zapłaciła panu Pincksi i że Danny świetnie daje sobie radę i sprawuje się jak trzeba, i nie wałęsa się już z tymi tam rozłajdaczonymi chłopakami. Więc jak tylko mogłem, wysłałem Danny'emu te pieniądze na kolej na Florydę. Nigdy nie myślałem, że się czegoś takiego dowiem o tych pieniądzach.

Właśnie to mi pokręciło w głowie. Siostra umiała trochę czytać. Nawet świetnie czytała taki tygodnik kościelny, co go dostawała od księdza, ale z pisaniem to już jej nie szło. Mówiła, że gdyby tylko jej się udało znaleźć ołówek grubości kija od szczotki, taki, co by go mogła trzymać obiema rękami, to na pewno by pisała świetnie. Ale zwyczajne ołówki były dla niej za cienkie. Mówiła, że nawet by nie czuła, że w ogóle trzyma coś w ręku. Więc wcale nie myślałem, że mi coś odpisze o tych pieniądzach. Tyle że je wysłałem, a potem ugodziłem się z gospodynią, u której mieszkałem, żeby Danny miał gdzie mieszkać, jak przyjedzie, i już tylko czekałem, że lada dzień Danny tam wejdzie z walizką. Gospodyni przez cały tydzień trzymała dla mnie ten pokój, a potem ktoś przyszedł i chciał go wynająć, więc jej nie pozostało nic innego, tylko się mnie zapytać, czy ja się tego pokoju zrzekam.

To było bardziej niż w porządku z jej strony, bo przecież czekała na mnie z tym pokojem przez cały tydzień. Więc zacząłem płacić za ten pokój, a jak Danny nie przyjeżdżał, myślałem, że może coś się stało, bo ta ciężka zima, i w ogóle, więc siostra potrzebowała tych pieniędzy na coś innego, czy może uważała, że Danny jeszcze za młody, żeby go wysłać. Więc po trzech miesiącach machnąłem ręką na ten pokój. Co trzy, cztery miesiące dostawałem list od tej pani, sąsiadki siostry, o tym, że siostra co niedziela rano chodzi z tamtymi paniami do pana Pincksi i płaci mu te pięćdziesiąt centów. Po pięćdziesięciu dwóch tygodniach pan Pincksi odstawił trumnę na bok i na trumnie już była przybita tabliczka stalowa z wygrawerowaną pełną godnością siostry: „Margaret z Noonanów Gihon.”

Najpierw to była tania trumna, takie tylko drewniane pudło, ale jak już siostra zapłaciła następne pięćdziesiąt dwie pięćdziesięciocentówki, to pan Pincki odjął stalową tabliczkę od tej trumny i przybił ją do lepszej, i nawet pozwolił siostrze wybrać sobie następną trumnę na wypadek, gdyby umarła jeszcze w tym roku. A po trzecich pięćdziesięciu dwóch połówkach dolara pozwolił siostrze wybrać trumnę jeszcze piękniejszą, a w następnym roku to już była trumna ze złotymi uchwytami. Przez jakiś czas pozwalał tam siostrze przychodzić, żeby się napatrzyła na tę trumnę, ile tylko chciała, i przyprowadzać tam ze sobą, kogo tylko chciała, żeby te osoby też mogły zobaczyć jej trumnę i jej nazwisko na tej stalowej tabliczce, co była przybita do trumny. Nawet o czwartej rano siostra przychodziła tam do niego, a on w nocnej koszuli otwierał drzwi z klucza i zapalał światło i dla niej, i dla tamtych pań, żeby sobie z bliska i z daleka popatrzyły na tę trumnę.

Z roku na rok trumna robiła się coraz lepsza i pan Pincki ołówkiem na papierze pokazywał tamtym paniom, że siostra niedługo spłaci trumnę i będzie już tylko płaciła za te złote uchwyty i wyściółkę. I tę wyściółkę też pozwolił jej wybrać na własny gust, i kiedy ta pani, jej sąsiadka, napisała do mnie następny list, siostra dołączyła do tego listu próbkę tej wyściółki i obrazek tych uchwytów. Siostra sama wyrysowała ten obrazek, ale nie potrafiła obchodzić się z ołówkiem, bo zawsze mówiła, że ołówek jest dla niej za cienki, więc go nie potrafi utrzymać, chociaż świetnie czytała ten kościelny tygodnik, co go dostawała od księdza, bo mówiła, że to sam Pan Bóg rozświeca jej to czytanie.

– Naprawdę? – zapytał młody. – Jezu, tak bym chciał choć raz sztachnąć się papierosem albo już przestać o tym myśleć.

– Właśnie. I próbkę tej wyściółki. Ale niewiele dało się o niej powiedzieć poza tym, że to była wyściółka w guście siostry i że siostrze bardzo się podobało to, że pan Pincki pozwolił, żeby tamte panie też sobie obejrzały ozdoby, jakie miał do wyboru, i pomogły siostrze się zdecydować. Bo pan Pincki powiedział, że jej zaufa, bo nie wierzy, żeby ona mogła umrzeć, póki jeszcze jest mu coś winna, i tak zaszkodzić jego przedsiębiorstwu, jak to poniektóre osoby robią, kiedy on jej nawet nie liczy ani centa procentu, chociaż te towarzystwa ubezpieczeniowe na pewno by liczyły. Nic więcej od siostry nie chciał, tylko żeby co niedziela rano wstępowała tam do niego i płaciła mu te pół dolara.

– Naprawdę? – zapytał młody. – To on chyba jest teraz w przytułku.

– Co? – stary z zastygłą nagle twarzą spojrział na młodego. – Kto w przytułku?

#### IV

– A gdzie przez ten cały czas był Danny? Wciąż jeszcze pracował pod tym dozorem?

– Tak. Pracował, kiedy tylko mu się udawało dostać jakąś pracę. Ale taki krewki

młody człowiek, co nie ma w domu nikogo oprócz matki i jest bez ojca, co by go uczył, jak trzeba dawać i brać na tym świecie... Dlatego właśnie chciałem, żeby był ze mną na Florydzie.

Z jego twarzy już zniknął ów zastygły wyraz skupienia; podjął swoje opowiadanie swobodnie, niejako z fizyczną, na nic niebaczną radością długo powściąganego konia, któremu nagle popuszczono cugli.

– Właśnie to mi pokręciło w głowie. Jak mu już wysłałem te pieniądze na kolej do Jacksonville i nie miałem o nich żadnej wiadomości, to sobie myślałem, że może siostra ich na coś potrzebuje, bo to była ta ciężka zima, i w ogóle, albo może uważała, jak to kobiety, że Danny jest jeszcze za młody. A potem, po jakichś ośmiu miesiącach, odkąd machnąłem ręką na ten pokój, dostałem dziwny list od tej pani, sąsiadki siostry. W tym liście pisało, że pan Pinckski przełożył już tę tabliczkę na następną trumnę, i pisało w tym liście, że siostra się cieszy, że Danny tak się dobrze sprawuje, i że ona wie, że ja się nim na pewno dobrze zajmuję, bo to dobry chłopiec i w dodatku wszystko, co siostra ma na świecie. Tak pisało w tym liście, jakby przez ten cały czas Danny już był na Florydzie.

Ale ja wcale nie wiedziałem, że on już tam jest, póki od niego nie dostałem telegramu. Telegram przyszedł z Augustine, znikąd dalej. Dopiero jak siostra umarła, dowiedziałem się, że pani Zilich, to znaczy ta pani sąsiadka, co to pisała listy za siostrę, napisała do mnie, że Danny jedzie na Florydę, i to było tego samego dnia, kiedy on rzeczywiście wyjechał, a zaraz na drugi dzień po tym jak przyszły ode mnie te pieniądze. Pani Zilich powiedziała, że napisała zaraz ten list za siostrę i dała go Danny'emu do wysłania wtedy wieczorem, kiedy wyjeżdżał. A ja wcale tego listu nie dostałem. Zdaje mi się, że Danny w ogóle go nie wysłał. Zdaje mi się, że Danny, jak to młody, krewki chłopiec, umyślił sobie, że zacznie się dorabiać na własną rękę i pokaże nam, co potrafi zrobić bez naszej pomocy, zupełnie tak samo jak ja to sobie umyśliłem w swoim czasie, kiedy wyjeżdżałem na Florydę.

Pani Zilich powiedziała, że myślała, że jasna rzecz, Danny jest u mnie, tylko że ją trochę dziwiło, że ja w żadnym liście do siostry nic a nic nie piszę o Danny'm. Więc jak czytała siostrze te listy, to zawsze dodawała od siebie coś takiego, że Danny jest zdrow i sprawuje się świetnie. Więc jak dostałem ten telegram od Danny'ego z Augustine, zaraz zatelefonowałem do Nowego Jorku do pani Zilich. Jedenaście dolarów kosztował ten telefon. Powiedziałem jej, że Danny jest trochę w tarapatach, nic poważnego, i żeby nie mówiła siostrze, że to coś poważnego, żeby jej tylko powiedziała, że potrzebujemy trochę pieniędzy. Bo mnie się już skończyły, bo przedtem wysyłałem Danny'emu, żeby przyjechał na Florydę, potem przez trzy miesiące płaciłem za ten pokój i do tego zapłaciłem właśnie ratę za moją polisę ubezpieczeniową, więc ten adwokat patrzył na Danny'ego, a Danny bez kołnierzyka siedział tam na pryczy w celi i powiedział: „Skąd ja wezmę pieniądze!” Tylko że zamiast „pieniądze” Danny powiedział „mułes”.

A ten adwokat się zapytał: „No właśnie, skąd pan je weźmiesz?”, a Danny na to:

„Niech pan mnie tylko puści na dziesięć minut do domu, to panu pokażę skąd.”  
„Siedemdziesiąt pięć dolarów” – mówi i mówi mi jeszcze, że to już wszystko. A potem ten adwokat mówi, że nie ma tej sumy ani tu, ani tam, to ja wtedy zatelefonowałem do pani Zilich i powiedziałem jej, żeby powiedziała siostrze, żeby siostra poszła do pana Pincksi i poprosiła o trochę z tych trumnowych pieniędzy, on przecież może tę stalową tabliczkę przybić na razie z powrotem do trumny z zeszłego roku albo z zaprzeszłego, a ja, jak tylko mi się uda dostać trochę pieniędzy na moją polisę ubezpieczeniową, zaraz panu Pincksi wszystko zwrócę, i to w dodatku z jakimś procentem. Telefonowałem z tego więzienia, ale nie powiedziałem, skąd telefonuję. Powiedziałem tylko, że nam prędko potrzeba trochę pieniędzy.

– A za co on siedział tym razem? – zapytał młody.

– Tamtym razem, kiedy poszło o to pranie na sznurze, on wcale nie był w więzieniu. Ta kobieta kłamała, że to on to zrobił. Jakeśmy jej zapłacili te pieniądze, to od razu powiedziała, że chyba się pomyliła.

– Dobrze – powiedział młody. – Więc za co on siedział?

– Nazwali to wielką kradzieżą i zabiciem policjanta. Ale to go wkopali tamci inni, co go nie lubili. On był tylko trochę rozhukany. Ale to naprawdę dobry chłopiec. Jak siostra umarła, nie mógł przyjechać na pogrzeb. Ale przysłał wieniec za dwieście dolarów co do jednego centa. Pocztą lotniczą przysłał, a to drogo kosztuje.

Umilkł nagle; z jakimś przyjemnym zdziwieniem spojrział na młodego.

– Idę o zakład, że to wygląda na żart. Bo i skąd taki biedny chłopak do takich rzeczy. Ale ja wcale nie żartuję...

– No, pewnie, ja wiem, że to nie miał być żart. I co z tym więzieniem?

– Adwokat już tam był, kiedy przyjechałem. Jacyś przyjaciele mu przysłali tego adwokata do pomocy. A on mi przysiągł na swoją matkę, że nawet w ogóle nie był tam, gdzie tego glinę zastrzelili. Bo był w tym czasie w Orlando. Pokazał mi bilet z Orlando do Waycross, co go kupił, tylko, że się spóźnił na ten pociąg; tak to się właśnie zdarzyło, że miał ten bilet przy sobie. Na bilecie była przedziurkowana data właśnie tej samej nocy, co zabili tego policjanta, i wyraźnie na tym bilecie było widać, że Danny nawet w ogóle tam nie był przy tym zabiciu i tylko tamci chłopcy go tak wkopali. Był wściekły. Ten adwokat powiedział, że chce się zobaczyć z tymi przyjaciółmi, co go przysłali, żeby pomóc Danny’emu, i poprosić ich o pomoc. „Rany Boga, niechby tylko spróbowali nie pomóc – powiedział Danny. – Jeżeli im się zdaje, że ja się z tym tak potulnie pogodzę, to niech tylko spróbują.”

Wtedy ten adwokat znów go uspokoił tak samo jak przedtem, kiedy Danny mówił o tych pieniądzach, co mu się należą w Nowym Yorku, tylko że ktoś tam, u kogo on pracował czy coś takiego, nie chce wypłacić. Więc zatelefonowałem do pani Zilich tak,

żeby siostry nie zdenerwować, i powiedziałem, żeby siostra poszła do pana Pincksi. W dwa dni potem dostałem telegram od pani Zilich. Zdaje mi się, że pani Zilich nigdy przedtem do nikogo nie wysyłała telegramu, więc nie wiedziała, że ma prawo do dziesięciu słów nie licząc adresu nadawcy, bo w tym telegramie było tylko: „Pan i Danny przyjeżdżajcie prędko pani Sophie Zilich New York.”

Nic z tego nie mogłem zrozumieć, a kiedyśmy o tym rozmawiali, to ten adwokat powiedział, że nie ma co, trzeba, żebym tam jechał i sam zobaczył, a on się zajmie Danny’em przez ten czas, póki ja nie wrócę. Więc ułożyliśmy list od Danny’ego do siostry, że to niby Danny czuje się dobrze i sprawuje się świetnie, żeby pani Zilich siostrze o tym przeczytała...

## V

W tej chwili do poczekalni wszedł jakiś mężczyzna w mundurze kolejarza. Kiedy wszedł, gdzieś w jego pobliżu – może spoza niego czy sponad niego – rozległ się czyjś głos. Chociaż to była mowa ludzka, głos ten wcale po ludzku nie brzmiał: zbyt potężny na to, żeby być zwykłym ludzkim głosem, miał w sobie zarazem łoskot grzmotu i taki chłód, taką beznadziejność, jakby te słowa, które mówił, były mu zupełnie obojętne i nieznanne.

– No i masz! – powiedział stary.

Obaj z młodym obejrzeni się w stronę drzwi, tak samo jak zrobili to prawie wszyscy inni, niby poruszone pociągnięciem jednego wspólnego sznurka marionetki. Człowiek w mundurze szedł powoli w głąb poczekalni, przechodząc teraz koło pierwszej ławki. Kiedy tak szedł, mężczyźni, którzy siedzieli na tej ławce i na ławkach sąsiednich, zaczęli wstawać z miejsc i wychodzić, mijając go tak, jakby go w ogóle nie było; również i on zdawał się nie dostrzegać nikogo.

– Chyba musimy się ruszyć.

– Cholera – powiedział młody. – Niech już podejdzie, niech już się zapyta o te bilety. Przecież mu za to płacą.

– Złapał mnie onegdaj w nocy. Już drugi raz w dodatku.

– To co z tego? Teraz to będzie dopiero trzeci raz. Więc przyjechałeś do Nowego Jorku?

– Aha, właśnie – powiedział stary. – Wiedziałem, że po tym telegramie nie ma co, muszę jechać. Bo pani Zilich by nie wydała pieniędzy na telegram bez poważnego powodu. Nie wiedziałem, co ona powiedziała siostrze. Tyle tylko wiedziałem, że pani Zilich widocznie uważała, że nie ma czasu na pisanie listu, i że się starała, żeby ten telegram tanio jej wypadł, a wcale przy tym nie wiedziała, że ma prawo do dziesięciu słów nie licząc nadawcy, i ten urzędnik w okienku też jej tego nie powiedział. Więc zupełnie

nie wiedziałem, co się stało. W ogóle nic nie podejrzewałem. Właśnie to mi pokręciło w głowie, rozumiesz.

Odwrócił się i znów spojrzął za siebie, tam gdzie człowiek w mundurze przechodził od ławki do ławki, płosząc przed sobą mężczyzn przyodzianych w zbieraninę najróżniejszych części garderoby z taką samą u wszystkich schludnością niedostatku, nacechowanych taką samą u wszystkich beznadziejnością cierpliwą i nie do pokonania – mężczyzn, którzy podnosili się teraz z miejsc i ruszali ku wyjściu potwornie i haniebnie podobni do ryb ulatujących zawczasu przed dziobem statku.

– Co ci pokręciło w głowie? – zapytał młody.

– No to, co pani Zilich mi powiedziała. Zostawiłem Danny'ego w więzieniu. (Oni, tamci jego przyjaciele, co to od nich przyszedł ten adwokat, wydostali go zaraz na drugi dzień. Kiedy znów dostałem od niego wiadomość, był już w Chicago na dobrej posadzie; przysłał ten wieniec. Dowiedziałem się, że on wyszedł z więzienia, dopiero jak mu chciałem przesłać wiadomość o siostrze.) Więc przyjechałem do Nowego Jorku. Jeszcze mi na to wystarczyło pieniędzy, a pani Zilich wyszła po mnie na dworzec i powiedziała mi to wszystko. To było tu, na tym dworcu. Taka była noc jak dzisiaj, też padał śnieg. Pani Zilich czekała na szczycie schodów.

„Gdzie siostra? – zapytałem się. – Nie przyszła z panią?”

„Co się znowu stało? – zapytała się pani Zilich. – Mnie pan nie musi mówić, że on jest tylko chory.”

„Powiedziała pani siostrze, że on nie jest tylko chory?” – zapytałem się.

„Nie musiałam – pani Zilich na to. – A nawet gdybym musiała, to i tak bym nie zdążyła.” Opowiedziała mi, jak zimno było tamtej nocy i jak czekała na siostrę i pilnowała, żeby ogień nie wygasł i żeby kawa w garnku była gorąca, i jak czekała, aż siostra zdejmie palto i szal i usiądzie tam z filiżanką kawy, i zacznie się rozgrzewać; wtedy pani Zilich siostrze powiedziała: „Pani brat telefonował z Florydy.” I więcej już nic nie zdążyła powiedzieć. Już nawet nie musiała mówić, że ja powiedziałem, żeby siostra poszła do pana Pinckski, bo siostra od razu na to: „Jemu będzie potrzeba tych pieniędzy.” Właśnie to samo, co ja powiedziałem, rozumiesz.

Pani Zilich też to zauważyła. „Może to dlatego, że państwo krewni, oboje krewni tego łaj...” Wtedy się ugryzła w język, a potem zaraz powiedziała: „Och, ja tam nic o nim nie powiem. Niech pan się nie martwi. Już nie pora na to, żeby o nim coś mówić.” A potem mi opowiedziała, jak tłumaczyła siostrze: „Przecież może pani wstąpić do pana Pinckski dziś po południu, jak pani będzie szła do pracy.” Ale już siostra na powrót wkładała palto i szal, chociaż odkąd wróciła z pracy do domu, nie minęła nawet godzina i śnieg padał. Nie chciała czekać.

– Żeby odebrać te pieniądze za trumnę, prawda? – zapytał młody.

– Właśnie. Pani Zilich powiedziała, że obie z siostrą poszły do pana Pincksi i obudziły go. A on im powiedział, że siostra już dawno odebrała te pieniądze.

– Co? – zapytał młody. – Już dawno?

– Właśnie. Powiedział, że przed jakimś rokiem Danny do niego przyszedł z kartką od siostry, a na tej kartce pisało, że siostra daje Danny’emu te pieniądze, które wpłaciła panu Pincksi, i żeby pan Pincksi te pieniądze oddał. A siostra stała tam z rękami w szalu i w ogóle na nic nie patrzyła, aż pani Zilich powiedziała: „Kartkę przyniósł. Pani Gihon by panu nie przysłała kartki, bo nie umie pisać”, a pan Pincksi na to: „A skąd ja mam wiedzieć, czy ona umie pisać, czy nie umie, kiedy jej rodzony syn przynosi mi kartkę z jej podpisem.” To wtedy pani Zilich mówi: „Pokaż pan tę kartkę.”

Siostra nie powiedziała nic w ogóle, tak jakby jej tam nie było, a pan Pincksi pokazał im tę kartkę. Ja też ją widziałem. Pisało na niej tak: „Otrzymałam od pana Pincksi sto trzydzieści dolarów, co stanowi całą sumę złożoną u niego po potrąceniu odsetek. Margaret N. Gihon.” I pani Zilich powiedziała, że sobie wtedy pomyślała o tych stu trzydziestu dolarach i że pomyślała, jak je siostra płaciła po dwadzieścia sześć dolarów rocznie przez pięć lat i siedem miesięcy, więc wtedy się zapytała: „Odsetki? Jakie odsetki?” A pan Pincksi powiedział: „Za zdejmowanie nazwiska z trumny i za to, że ta trumna już jest używana.” I pani Zilich powiedziała, że siostra się wtedy odwróciła i poszła do drzwi. „Zaraz – powiedziała wtedy pani Zilich. – Nie wyjdziemy stąd, póki pani nie dostanie tych pieniędzy. Coś tu jest dziwnego, bo pani przecież nie umie podpisać kartki.” Ale siostra tylko dalej szła do drzwi, póki pani Zilich nie powiedziała: „Zaraz, Margaret.” I wtedy siostra powiedziała: „Ja to podpisałam.”

## VI

Słysząc teraz było głos człowieka w mundurze, który przepychał się do nich powoli:

– Bilety! Bilety! Proszę okazywać bilety!

– Dosyć chyba trudno wiedzieć, co strzeli do głowy pannie – powiedział stary. – Ale żeby wdowie, i to z dzieckiem! Ja też nie wiedziałem, że ona umie pisać. Chyba się tego wyuczyła, jak tam sprzątała co noc w tych biurach. W każdym bądź razie pan Pincksi pokazał mi tę kartkę i powiedział, że ona się przyznała do tego, że ją podpisała, i wytłumaczył mi, że to potrącenie to się wzięło stąd, że on przecież musi się zabezpieczyć na wypadek, gdyby z trumny jakiś klient rezygnował, a ta trumna już jest używana, a przecież poniekórym osobom zależy na tym, żeby mieć trumnę nowiutką jak spod igły.

Przybił tabliczkę z godnością siostry z powrotem do tej taniej trumny, co to od niej siostra zaczęła, więc jeszcze miała trumnę, chociaż znów bez uchwytów i wyściółki. To ja już nic więcej o tym nie mówiłem, bo te dwadzieścia sześć dolarów, co je siostra wpłaciła

od tamtej pory, jak oddała Danny'emu tamte pieniądze, i tak by nie pomogły. Tyle już wydałem na ten powrót, żeby dopilnować tej sprawy, a bądź co bądź siostra miała jeszcze trumnę...

Głos człowieka w mundurze rozlegał się teraz zupełnie blisko, raz po raz, monotonnie, nieubłaganie:

– Bilety! Bilety! Proszę okazywać bilety! Wszyscy bez biletów kolejowych!

Młody wstał.

– Do widzenia!

Stary wstał też. W poczekalni oprócz człowieka w mundurze nie było już prawie nikogo.

– Chyba już pora – powiedział stary.

Poszedł za młodym do okrągłej hali. Był tam samolot nieruchomo przycupnięty niby martwy chrząszcz, niby olbrzymia zakonserwowana w spirytusie pluskwa. Obok stała tablica informująca o lotach tego samolotu ponad pasmami gór i wielkimi, śnieżnymi pustyniami.

– Mogli go przecież wypróbować nad Nowym Jorkiem – powiedział młody. – Byłoby bliżej.

– Właśnie – powiedział stary. – I mniej by kosztowało. Ale chyba zrobili słusznie, bo tam można lecieć szybciej niż tu, gdzie tyle tych drapaczy do wymijania. Jak siostra umarła, Danny przesłał ten wieniec z kwiatów pocztą lotniczą. To musiało kosztować dwieście dolarów. To znaczy, ten wieniec. Bo nie wiem, ile kosztuje taka przesyłka pocztą lotniczą.

Obaj spojrzeli na rampę, a potem poprzez pasaż ku wyjściom na Seventh Avenue. Zdawało się, że obumierające, gęste światło z ulicy wypełnia pasaż zapachem śniegu i zimna, tak namacalnym, że obaj jeszcze przez chwilę stali zupełnie bez ruchu, jak gdyby przytrzymywani jakimiś straszliwymi szponami niechęci i inercji.

– Więc wróciły do domu – powiedział stary. – Pani Zilich powiedziała, że siostra już miała dreszcze, więc położyła siostrę do łóżka. I tej jeszcze nocy siostra dostała gorączki, i pani Zilich wezwała doktora, a doktor spojrział na siostrę i zaraz powiedział, żeby lepiej pani Zilich zatelegrafowała, jeżeli jest do kogo telegrafować. Kiedy tam przyjechałem, siostra mnie nie poznała. Już tam był ksiądz i nie można było rozpoznać, czy ona jest przytomna, nawet wtedy, jak jej przeczytaliśmy list od Danny'ego, ten, co tośmy go ułożyli w więzieniu, że Danny się dobrze czuje. Ksiądz jej to przeczytał, ale nie można było rozpoznać, czy ona to słyszy, czy nie. Tej nocy umarła.

– Więc tak to było? – powiedział młody patrząc na rampę. Poruszył się. – Idę na dworzec Grand Central.

I stary znów się poruszył z tą samą nieznużoną rześkością.

– Chyba tak będzie najlepiej. Tam byśmy mogli sporą chwilę posiedzieć. – Popatrzył na zegar. – Już pół do drugiej – powiedział przyjemnie zdziwiony. – A tam się idzie pół godziny. Jak będziemy mieli szczęście, to uda się i ze dwie godziny posiedzieć, zanim on zacznie sprawdzać bilety. Może trzy. To już będzie piąta. I wtedy już tylko dwie godziny i jest dzień.

*Przełożyła  
Zofia Kierszys*

# ZWYCIĘSTWO W GÓRACH

## I

Przez okno chaty pięcioro ludzi patrzyło, jak się ta kawalkada wspina pod górę błotnistą drogą, a potem zatrzymuje u bramy. Pierwszy pojawił się mężczyzna, który idąc pieszo prowadził konia. Szeroki kapelusz miał nisko nasunięty na twarz, szary, spłowiały płaszcz pozbawiał jego sylwetkę kształtów, a spod płaszcza wysuwała się lewa ręka trzymająca cugle. Sprzączki uzdy były ze srebra, koń był rasowy, pełnej krwi, chudy, cały umazany błotem, gniadosz, a na nim w miejsce siodła przywiązany był kawałkiem linki granatowy wojskowy koc. Drugi koń – sama skóra i kości – był maści jasnokasztanowatej, miał krótki tułów, wielki łeb i utyłany był w błocie tak samo jak pierwszy. Uzda na nim zrobiona była ze sznurka i drutu, a w wojskowym siodle – stercząc wysoko nad dyndającymi strzemionami – kuliło się coś bezkształtnego, większego niż dziecko – postać, która z tego oddalenia zdawała się nie mieć na sobie żadnego ubrania, a w każdym razie żadnego ludzkiego ubrania.

Jeden z trzech mężczyzn w chacie szybko odszedł od okna. Pozostali nie odwracając się słyszeli, jak prędko przechodzi przez izbę i zaraz wraca; przyniósł długą strzelbę.

– Nie zrobisz tego – powiedział starszy mężczyzna.

– Nie widzisz jego płaszcza? – zapytał młodszy. – Tego płaszcza buntowników?

– Ale na to nie pozwolę – powiedział tamten. – Oni się poddali. Sami przyznali się do przegranej.

Patrzyli przez okno, jak konie zatrzymują się u bramy. Brama była zbita z niekorowanych hikorowych bali, ogrodzenie z kamienia schodziło stromym zboczem w dół, ostre w zarysie na tle doliny i dalekiego łańcucha gór rozpuszczającego się w niskim, siąpiącym deszczem niebie.

Patrzyli, jak stworzenie jadące na drugim koniu zsiada z niego i podaje lejce tej samej, lewej, ręce człowieka w szarym płaszczu, która trzymała lejce rasowego konia. Patrzyli, jak to stworzenie wchodzi za bramę, idzie pod górę ścieżką i przestaje być widoczne z okna. Usłyszeli, jak przechodzi przez ganek i puka do drzwi. Stali i słuchali, jak puka raz jeszcze. Po chwili starszy mężczyzna powiedział nie odwracając głowy:

– Idź i zobacz.

Jedna z kobiet, starsza, odeszła od okna nie robiąc najmniejszego szelestu stopami po podłodze, gdyż była bosa. Podeszła do frontowych drzwi i otworzyła. Padało na nią

chłodne, mokre światło późnego kwietniowego popołudnia – na tę kobietę drobną, o sękiej twarzy bez wyrazu, ubraną w jakąś szarą, bezkształtną suknię. Przed nią za progiem stało stworzenie niewiele większe od dużej małpy, odziane w łamiący się mnóstwem fałdów, za obszerny niebieski płaszcz szeregowca Armii Federalnej i w kawałek nieprzemakalnej płachty, wyciętej być może z budy wozu markietanki, zawiązany na kształt małego namiotu na głowie i opadający na ramiona. Pod płachtą nie mogła dostrzec nic więcej oprócz białek dwojga oczu, które błysnęły krótko i upiornie, kiedy Murzyn jednym spojrzeniem zlustrował tę kobietę stojącą bosą, w spłowiełej perkalowej sukni, i ogarnął puste, nagie wnętrza sieni.

– Pan major Soshay Weddel kazał się kłaniać. Kazał powiedzieć, że trzeba mu miejsca do spania dla niego, jednego człowieka i dwóch koni – przemówił uroczystym, papuzim głosem. Kobieta spojrzała na niego. Twarz jej była niby zniszczona maska. – Myśmy byli daleko, bili Jankeśów. Teraz z tym koniec. Jedziemy do domu.

Zdawało się, że kobieta odezwała się gdzieś zza swojej twarzy, jakby spoza portretu czy malowanej zasłony:

– Zapytam jego.

– My zapłacimy – powiedział Murzyn.

– Zapłacicie? – Zatrzymała się, jakby jeszcze zmusił ją czymś do zastanowienia. – Nie ma tu blisko hotelu na tej górze.

Murzyn wielkodusznie machnął ręką.

– To bez różnicy. Myśmy stawali na noc w gorszych miejscach niż to tutaj. Powiedzcie mu tylko, że to pan major Soshay Weddel. – Zobaczył, że kobieta patrzy poza niego. Odwrócił się i zobaczył, że mężczyzna w zniszczonym szarym płaszczu jest już na ścieżce w połowie drogi od bramy. Mężczyzna zbliżył się i wszedł na ganek zdejmując lewą ręką szeroki kapelusz z opadającym rondem, ozdobiony zmatowiałym liściem majora Armii Federalnej. Miał smagłą twarz, ciemne oczy i czarne włosy, twarz grubą, a jednocześnie chudą i zuchwałą. Nie był wysoki, przerastał jednak Murzyna o jakieś pięć czy sześć cali. Płaszcz na nim był zszargany, spłowieły na ramionach, w miejscach najbardziej wystawionych na działanie światła, spodnie obszarpane, postrzępione, zabłocone; łąta siedziała na łącie, całe ubranie tak było wytarte, że sukno zupełnie straciło włos i świeciło gołymi nitkami.

– Dzień dobry pani – powiedział. – Czy nie znalazłoby się u pani w stajni miejsce dla moich koni i jakieś schronienie dla mnie i dla mojego człowieka na noc?

Kobieta spojrzała na niego nieruchomo, z zadumą, jakby ujrzała ducha i nie przestraszyła się.

– Muszę zobaczyć – powiedziała.

– Zapłacę – mówił mężczyzna. – Wiem, jakie teraz czasy.

– Muszę jego zapytać – powiedziała kobieta. Odwróciła się i zaraz zatrzymała. Za nią starszy mężczyzna wyszedł do sieni. Był wysoki, miał bujną szpakowatą czuprynę i wyblakłe oczy, ubranie z lnianego płótna.

– Nazywam się Saucier Weddel – powiedział mężczyzna w szarym płaszczu. – Wracam do domu, do Missisipi, w Wirginii. Czy to stan Tennessee?

– Tennessee – powiedział tamten. – Wejdźcie.

Weddel zwrócił się do Murzyna:

– Zaprowadź konie do stajni.

Murzyn, bezkształtny w czepku z nieprzemakalnej płachty i wielkim płaszczu, zawrócił do bramy z niedbałą bezczelnością, której nabrał, skoro tylko zobaczył boscie kobiety i ubogie, nagie wnętrza chaty. Ujął cugle obu koni i zaczął na nie pokrzykiwać z niepotrzebnym i obraźliwym hałasem, na który konie nie zwracały uwagi, jakby od dawna były do Murzyna przyzwyczajone. Wyglądało na to, że i Murzyn sam nie traktuje poważnie swoich wrzasków, że wiążą się one po prostu z czynnością odprowadzania koni z miejsca, na którym widać je było od drzwi; niby bieg rzeczy zarówno przez Murzyna jak przez konie akceptowany i przekreślony w tej samej chwili jako coś bez najmniejszego znaczenia.

## II

W kuchni dziewczyna słyszała poprzez ścianę głosy mężczyzn z pokoju, z którego ojciec ją wygnał, kiedy obcy pojawił się w domu. Miała około dwudziestu lat. Była to roślina dziewczyna z gładkimi, prostymi włosami i dużymi, gładkimi rękoma. Stała boscie, ubrana tylko w kieckę z workowego płótna. Stała blisko ściany, nieruchoma, z lekko pochyloną głową, z oczyma szeroko otwartymi i nieruchomymi, i pustymi niby oczy somnambulika. Słyszała, jak ojciec i gość wchodzi do izby za ścianą.

Kuchnia była przybudówką z belek, o pochylonym stropie, dobudowaną do ściany właściwej chaty. W ścianie za dziewczyną glina się między belkami wykruszyła, wysuszona na proch żarem pieca, i miejscami odpadła. Schylając się ruchem powolnym i miękkim, i bezszelestnym jak muśnięcie jej bosych stóp na podłodze, przyłożyła oko do jednej ze szpar. Dojrzała nagi stół, na którym stał kamienny gąsior i skrzynka od naboju muszkietowych z napisem „Armia USA”. Przy stole na wyplatanych krzesłach siedzieli obaj jej bracia. Tylko młodszy, chłopiec jeszcze, spoglądał ku drzwiom, chociaż wiedziała, usłyszała w tej chwili, że obcy jest w izbie. Starszy z braci wyjmował po jednym nabojem ze skrzynki i nagryzając je ustawiał przed sobą na kształt groteskowej parady wojsk; odwrócony był plecami do drzwi, przy których, jak wiedziała, stał teraz obcy. Oddychała po cichu.

– Vatch by go zastrzelił – powiedziała szeptem do siebie, nachylając się. – Tak myślę, że go jeszcze zastrzeli.

Wtem znów usłyszała kroki i matka przeszła przez izbę w stronę drzwi od kuchni. Przechodząc obok ściany na moment zasłoniła szparę. Ale dziewczyna nie poruszyła się, nawet kiedy matka weszła do kuchni. Nachylona ku szparze oddychała równo i spokojnie, słuchając, jak za nią matka szczeka fajerkami. Dopiero teraz zobaczyła obcego i w ciszy powstrzymała oddech, nie wiedząc nawet o tym, że przestała oddychać. Zobaczyła go, jak staje przy stole w swoim nędznym płaszczu, trzymając kapelusz w lewej ręce. Vatch nie podniósł oczu.

– Nazywam się Saucier Weddel – powiedział obcy.

– Soshay Weddel – westchnęła dziewczyna w suchą szparę, w popękana i osypującą się glinę ściany. Widać go było całego, jak stoi w poplamionym i wyłatanym, i wytartym płaszczu, z lekko uniesioną głową i twarzą zniszczoną, niemal wynędzniałą, naznaczoną jakimś zmęczeniem nie do przewyciężenia, a mimo to jednocześnie zuchwałą, stoi tam niby istota z innego świata, oddychająca innym powietrzem, istota, której żyły rozgrzewa inny rodzaj krwi. – Soshay Weddel – westchnęła.

– Napijcie się whisky – powiedział Vatch nie ruszając się.

I nagle, jakby dlatego, że powstrzymała oddech, nie słyszała już wcale słów, jakby nie potrzebowała już słyszeć, jakby ciekawość również nie istniała w atmosferze, w której przebywał obcy i w której ona też się teraz znalazła patrząc, jak obcy staje przy stole i spogląda na Vatcha, Vatch odwraca się na krześle z nabojem w ręku i spogląda na obcego. Spokojnie oddychała w szparę, przez którą głosy pozbawione intonacji i żaru dochodziły teraz z tej ciemnej i dymnej, i gwałtownej, i dziecinnej próżności mężczyzn.

– Chyba sobie przypominacie, co, popatrzcie?

– Dlaczego nie? Myśmy ich też używali. Nie zawsze mieliśmy tyle prochu i czasu, żeby przerywać walkę i zrobić sobie własne. Toteż od czasu do czasu musieliśmy używać waszych. Szczególnie ostatnio.

– Może byście je lepiej poznali, gdyby wam jeden taki wystrzelić w twarz.

– Vatch.

Patrzyła teraz na ojca, bo to on się odezwał. Młodszy brat uniósł się trochę na swoim krześle, pochylony odrobinę do przodu, z na pół otwartymi ustami. Miał siedemnaście lat. Ale obcy wciąż stał i spokojnie patrzył w dół na Vatcha z owym zuchwałym i zmęczonym, i odrobinę ironicznym wyrazem twarzy. Trzymał kapelusz przyciskając go do zniszczonego płaszcza.

– Możecie pokazać i drugą rękę – powiedział Vatch. – Nie bójcie się pokazać swojego pistoletu.

– Nie – powiedział obcy – nie boję się go pokazać.

– No, to napijcie się whisky – powiedział Vatch popychając gąsior ruchem lekceważącym i pogardliwym.

– Jestem nieskończenie zobowiązany – powiedział obcy. – Ale idzie o mój żołądek. Przez trzy lata wojny musiałem przeproszać swój żołądek, teraz, w czasie pokoju, muszę przeproszać za niego. Jeśli można jednak prosić o szklaneczkę dla mojego człowieka... Nie wytrzymuje zimna nawet po tych czterech latach.

– Soshay Weddel – szepnęła dziewczyna w spękanaą glinę, spoza której dochodziły głosy nie podniesione jeszcze, jednak na zawsze już skłócone i objęte przeznaczeniem, jeden jako głos nie znajęcego losu przyszłego skazańca, drugi – nie znajęcego losu przyszłego egzekutora.

– Albo może gdybyście dostali z tyłu, lepiej byście ją poznali.

– Ty, Vatch.

– Niech pan nic nie mówi, proszę pana. Jeśli był w wojsku przynajmniej rok, to też kiedyś uciekał. Może częściej niż raz, jeśli natknął się na oddziały północnej Wirginii.

– Soshay Weddel – szepnęła dziewczyna nachylając się. Teraz zobaczyła Weddela idącego, zdawałoby się wprost do niej z grubym czerpakiem w lewej ręce i kapeluszem wciśniętym pod ramię tej samej ręki.

– Nie tędy – powiedział Vatch. Obcy zatrzymał się i obejrzał na Vatcha. – Dokąd chcecie iść?

– Zanieść to mojemu człowiekowi – powiedział obcy. – Do stajni. Myślałem, że może te drzwi?...

Twarz jego widać było teraz z profilu, zniszczoną, dumną, wychudłą, brwi uniesione w ironicznym i zuchwałym zapytaniu. Nie wstając Vatch szarpnął głową w tył i na bok.

– Z daleka od tych drzwi.

Ale obcy nawet nie drgnął. Jedyne jego głowa poruszyła się lekko, jak gdyby po prostu zmienił kierunek spojrzenia.

– Patrzy na tatę – westchnęła dziewczyna. – Czeka, żeby mu tata powiedział. Nie ma strachu przed Vatchem. Wiedziałam.

– Z daleka od tych drzwi – powiedział Vatch. – Cholerny Negrze.

– Więc to moja twarz, a nie mundur... – powiedział obcy. – I cztery lata walczyłeś, żeby nas uwolnić, no tak.

I zaraz znów usłyszała głos ojca.

– Wyjdźcie frontowymi drzwiami, obcy człowieku, i obejdźcie dom – powiedziała.

– Soshay Weddel – powtórzyła dziewczyna. Za nią matka hałasowała u pieca. – Soshay Weddel – powtórzyła. Nie powiedziała tego głośno. Znów oddychała. Głęboko i spokojnie, i bez pośpiechu. – To jak muzyka. To jak śpiew.

### III

Murzyn przykucnął w przejściu w szopie, której popaczone i połamane przegrody dla koni były puste prócz tych, gdzie stały ich konie. Przy nim leżał otwarty zniszczony podróżny worek. Murzyn zajęty był czyszczeniem pary lekkich balowych pantofli, posługując się szmatą i pudełkiem od pasty pustym prawie oprócz cienkiej obrączki pasty pozostałej wokół ścianki i dna. Jeden pantofel, już oczyszczony, stał na kawałku deski obok Murzyna. Przyszwa była pęknięta, pantofel miał grubą zelówkę przybitą niedawno ordynarnie czyjąś niezręczną ręką.

– Dzięki Bogu, ludzie nie widzą zelówek – powiedział Murzyn. – Dzięki Bogu, ci tutaj to tylko tacy nędzarze z gór. Nawet bym nie ścierpiał, żeby pana Jankesi widzieli w takim czymś na nogach. – Potarł pantofel, skrzywił się krytycznie, chuchnął na pantofel i potarł go o swój bok.

– Coś dla ciebie – powiedział Weddel podając mu czerpak. Czerpak napełniony był płynem bezbarwnym jak woda.

Murzyn przerwał czyszczenie, pantofel i szmata zastygły mu w rękach nieruchome.

– Co? – zapytał. Spojrzał na czerpak. – Co to jest?

– Wypij – powiedział Weddel.

– To woda. Po co mi pan przynosi wodę?

– Bierz – powiedział Weddel. – To nie woda.

Murzyn wziął czerpak bardzo ostrożnie. Trzymał ten czerpak, jakby zawierał nitroglicerynę. Patrzył na ten czerpak mrugając, podnosząc go powoli pod nos. Mrugnął.

– Skąd pan to tutaj wziął?

Weddel nie odpowiedział. Podniósł oczyszczony pantofel i oglądał go. Murzyn trzymał czerpak pod nosem.

– Coś tak pachnie, jak trzeba – powiedział – ale niech mnie, jak to do czego podobne. Uwzięli się ci ludziska człowieka struć.

Stuknął w czerpak i pociągnął ostrożnie. Odjął od ust mrugając.

– Ja tego nie piłem – powiedział Weddel. Postawił pantofel.

– Lepiej nie – powiedział Murzyn. – To ja całe lata staram się, jak mi pani kazała, i dbam o pana, żeby pan wrócił do domu, a tu pan śpi po cudzych szopach jak jaki tramp, jak jaki włóczyki Negr... – Podniósł czerpak do ust, podrzucając go w górę razem z głową jednym szarpnięciem. Odjął pusty czerpak od ust. Oczy miał zamknięte. Powiedział: – Uff! – wstrząsając głową gwałtownym gestem obrzydzenia. – Pachnie, jak trzeba, i robi, co trzeba. Ale niech mnie, jak to wygląda, jak trzeba. Lepiej niech pan to zostawi w spokoju, tak jak dotąd. Jak pana zaczną namawiać do picia, niech pan ich przyśle do mnie. Tyle już tego wytrzymałem, że wytrzymam jeszcze trochę dla mojej pani.

Z powrotem podniósł pantofel i szmatę. Weddel nachylił się nad workiem.

– Potrzebny mi mój pistolet – powiedział.

Murzyn znów przerwał czyszczenie, pantofel i szmata znieruchomiały.

– Na co? – Nachylił się i spojrzał na błotniste zbocze w kierunku chaty. – To Jankesi? – zapytał szeptem.

– Nie – odparł Weddel grzebiąc w worku lewą ręką. Murzyn jakby go nie słyszał.

– W Tennessee? Pan mi powiedział, że my już w Tennessee, gdzie jest Memphis. Choćby mi pan i nie mówił, sam wiem, że cały ten kraj z pieca na łeb to okręg Memphis. Pamiętam, że nigdy żadnego z nich nie widziałem, kiedy byłem z pana tatą wtedy w Memphis. Ale pan też to mówił. A teraz to pan mi mówi, że ludziska w Memphis to Jankesi?

– Gdzie jest pistolet? – zapytał Weddel.

– Mówiłem panu – ciągnął Murzyn. – Jak pan dalej tak będzie... Jak pan będzie tak na ich oczach chodził piechotą i prowadził Cezara, kiedy pan myśli, że on zmęczony. I będzie mi pan kazał jechać, kiedy pan idzie, jak ja całe życie lepiej chodzę niż pan i pan to wie, choć mam czterdzieści lat, a pan dwadzieścia osiem. Powiem pana mamie. Powiem.

Weddel wyprostował się trzymając w ręku ciężki bębnowy pistolet. Trzymając go w jednej ręce, odciągnął z trzaskiem kurek do tyłu i puścił. Murzyn w niebieskim płaszczu Armii Federalnej przyglądał mu się, skurczony jak małpa.

– Niech pan to położy, gdzie było – powiedział. – Już po wojnie. Powiedzieli nam tam, w Ferginny, że już koniec. Nie potrzeba panu teraz żadnego pistoletu. Niech pan go położy, czy pan słyszy?

– Będę się kąpał – powiedział Weddel. – Czy moja koszula...

– Kąpał? Gdzie? W czym? Oni nigdy nie oglądali wanny.

– Będę się kąpał pod studnią. Czy koszula gotowa?

– Co to ma do... Niech pan kładzie ten pistolet, panie Soshay. Powiem mamie. Powiem. Chciałbym, żeby to mój pan widział.

– Idź do kuchni – powiedział Weddel – i powiedz im, że chcę się wykąpać przy studni. Powiedz im, żeby zasłonili firanką to okno.

Pistolet zniknął pod szarym płaszczem. Weddel podszedł do przegrody, w której stał rasowy koń. Koń trącił go chrapami, oczy zwierzęcia patrzyły miękko i dziko. Poklepał go po nozdrzach lewą ręką. Koń parsknął niegłośno, oddech jego był miły, ciepły.

#### IV

Murzyn wszedł do kuchni od tyłu. Zdjął już budkę z nieprzemakalnej płachty i na głowie miał teraz niebieską furażerkę, która – tak samo jak płaszcz – była na niego o wiele za duża, siedziała mu na głowie w taki sposób, że jej brzeg nie znajdujący oparcia, istniejący, jak gdyby oddzielnym istnieniem, odchyłał się lekko przy każdym ruchu Murzyna. Zupełnie nie było go w tym ubraniu widać, oprócz twarzy pomiędzy czapka a kołnierzem, która wyglądała jak zaszuszone głowa Diaka i była prawie tak samo mała i lekko przykurzona od zimna, jakby pokryta cienkim nalotem drzewnego popiołu. Starsza kobieta stała przy płycie kuchennej, na której smażyła się mięso skwierczało i pryskało. Nie podniosła oczu, kiedy Murzyn wszedł. Dziewczyna stała pośrodku izby bezczynnie. Spojrzała na Murzyna przyglądając mu się powolnym, poważnym, ukradkowym spojrzeniem, kiedy przeszedł przez kuchnię z ową nonszalancką, przesadną pewnością siebie, postawił na sztorc klocek drzewa obok pieca i usiadł na nim.

– Jak wy tu cały czas macie w tych górach taką pogodę – powiedział – to niech tam sobie Jankesi zabierają ten kraj.

Rozpiął płaszcz odsłaniając nogi i stopy; coś oblepionego błotem i przypominającego futro, w co owinięte miał nogi, nadawało im wygląd dwóch ubłoconych zwierząt wielkości na pół dorosłych psów leżących na podłodze. Kiedy przysunął się odrobinę bliżej do dziewczyny, pomyślała spokojnie:

„To futro. Wziął i pociął futrzaną kapotę, żeby owinąć nogi.”

– Tak to, tak – powiedział Murzyn. – Dajcie mi tylko wrócić do domu, a Jankesi mogą go sobie zabierać.

– A skąd wy jesteście? – zapytała dziewczyna.

Murzyn spojrzał na nią.

– Z Missisipi. Z Domain. Wyście nigdy nie słyszeli o Countymaison?

– Countymaison?

– To to. Jego dziadek nazwał to miejsce Countymaison, bo żeby je objechać, trzeba więcej czasu niż żeby objechać całe hrabstwo. Wyjedziesz o wschodzie, a do zachodu nie objedziesz Countymaison. I to stąd.

Potarł powoli dłońmi o uda. Twarz odwrócił teraz ku kuchennej płycie, głośno wciągnął zapach. Popielaty nalot zniknął już z jego skóry odsłaniając twarz matowoczną, zmiętą, wokół ust trochę zwiotczałą, jak gdyby mięśnie – nie mięśnie służące przy jedzeniu, mięśnie od mówienia – zwiotczały, zużyte niby gumowe przyczepy.

– Coś mi się zdaje, że już chyba blisko do domu. Jak by nie było, ta wieprzowina pachnie tak samo jak tam w dolinie u nas.

– Countymaison – powtórzyła dziewczyna szybko, z zamyśleniem, patrząc na Murzyna z właściwą sobie poważną uwagą, nawet nie mrugając. Potem odwróciła głowę i spojrzała na ścianę z twarzą zupełnie bez wyrazu, zupełnie nieodgadnioną, bez pośpiechu, w jakimś głębokim i skupionym zamyśleniu.

– To to – powiedział Murzyn. – Nawet i Jankesi słyszeli o Countymaison Weddela i o panu Francisie Weddelu. Możecie widzieli go, jak przejeżdżał tędy powozem, kiedy jechał do Waszyngtonu powiedzieć waszemu prezydentowi, że mu się nie podoba, jak wasz prezydent traktuje ludzi. Całą drogę do Waszyngtonu jechał powozem i z nim dwóch czarnych, żeby pilnowali koni i grzali mu cegły, żeby miał ciepło w nogi. Jednego człowieka wysłał przodem z wozem i świeżymi końmi. Zawiózł waszemu prezydentowi dwie wyprawione niedźwiedzie skóry i osiem półci wędzonej sarniny. Musiał przejeżdżać akurat przed waszym domem. Chyba wasz tata, a może jego tata go widzieli.

Gadał dalej, płynnie, z usypiającą, senną monotonią. Twarz zaczynała mu błyszczeć, świecić się trochę od przytulnego ciepła, podczas gdy matka nachylała się nad płytą, a dziewczyna stała nieruchoma i ociężała. Jej bose stopy przywierały szczelnie i gładko do chropawych belek podłogi, a duże, gładkie i młode ciało wypełniało miękko i bujnie szorstką kieckę. Patrzyła na Murzyna swoimi oczami bez wyrazu, spojrzeniem uważnym, lekko otwierając usta.

Murzyn gadał dalej, oczy miał zamknięte, nie milkł nawet na chwilę, chełpliwy, leniwie tępy, jak gdyby nigdy nie wyjeżdżał z domu, jak gdyby nigdy nie było wojny, jak gdyby nie dotarły do niego wcale brutalne wieści o wolności i zmianie, a on (stajenny, w domowej hierarchii chłopiec od koni) przepędzał wieczór w pomieszczeniach dla służby wśród parobków. Aż starsza kobieta nałożyła jedzenie na talerze i wyszła z kuchni zamykając za sobą drzwi. Otworzył oczy na dźwięk zamykania drzwi, spojrzał ku nim, a potem z powrotem na dziewczynę. Patrzyła na ścianę, na zamknięte drzwi, za którymi zniknęła matka.

– Nie dają ci jeść przy stole ze sobą? – zapytał.

Dziewczyna spojrzała na Murzyna w skupieniu.

– Countymaison – powiedziała. – Vatch mówi, że on też Negr.

– Kto? On? Negr? Pan Soshay Weddel? Który to ten Vatch?

Dziewczyna patrzyła na niego.

– To przez to, że nigdy nigdzie nie byłaś. Nic nie widziałaś. Żyjesz tu na tej gołej górze jak na pustyni, nawet dymu z cudzego komina nie widzisz. On Negr? Niechby jego mama słyszała, co ty mówisz!

Rozejrzał się po kuchni, zmarszczony, jego oczy błyszczały białkami to tu, to tam, nieustannie. Dziewczyna mu się przyglądała.

– Czy dziewczyny tam cały czas chodzą w butach? – spytała.

Murzyn rozejrzał się po kuchni.

– Gdzie to twoi trzymają tę ich tennesseńską źródlaną wodę? Gdzieś schowaną?

– Źródlaną wodę?

Murzyn zamrugał powoli.

– No, tę ich naftę do picia.

– Naftę?

– Tę kolorową naftę, co ją twoi piją. Nie masz tu gdzieś trochę schowanej?

– Och, mówicie o whisky – powiedziała dziewczyna. Podeszła do kąta i podniosła ruchomą deskę w podłodze. Murzyn przyglądał się jej, jak wydobywa drugi kamienny gąsior. Napełniła kubek i podała go Murzynowi; patrzyła, jak jednym szybkim ruchem wlewa sobie zawartość do gardła, zamykając oczy. Znow powiedział: – Uff! – i przeciągnął wierzchem dłoni po ustach.

– O coś to mnie pytała? – zapytał.

– Czy dziewczyny tam w dole, w Countymaison, chodzą w butach?

– Panie chodzą. Jak nie mają butów, pan Soshay sprzedaje stu czarnych, żeby im kupić... Który to powiedział, że pan Soshay to Negr?

Dziewczyna patrzyła na niego.

– Czy on żonaty?

– Kto żonaty? Pan Soshay? – Dziewczyna patrzyła na niego. – Kiedy miał czas się ożenić, jak biliśmy Jankesów przez cztery lata? Nie był w domu już cztery lata, a tam nie ma takich dam, żeby się z nimi żenił. – Spojrzał na dziewczynę, białka zaszyły mu trochę krwią, skóra lśniła bladymi, nieustającymi błyskami. Kiedy się rozgrzał, był jakby trochę wyższy.

– Po co ci wiedzieć, czy on żonaty, czy nie?

Patrzyli na siebie. Murzyn słyszał jej oddech. I nagle nie patrzyła już na niego, choć ani nie mrugnęła, ani nie odwróciła głowy.

– Chybaby nie zawracał sobie głowy dziewczyną, co nie ma butów – powiedziała.

Podeszła do ściany i nachyliła się znów ku szparze. Murzyn przyglądał się jej. Starsza kobieta weszła, wzięła znów jedzenie z płyty i oddaliła się nie spojrzawszy ni razu ani na dziewczynę, ani na Murzyna.

## V

Przy kolacji siedziało czterech mężczyzn – trzech dorosłych i chłopiec. Na grubych talerzach leżało pokrajane mięso. Noże i widelce były żelazne. Na stole stał ten sam co przedtem gąsior. Weddel był teraz bez płaszcza, ogolony, mokre jeszcze włosy zaczesane miał do tyłu. Na piersiach fałdy koszuli bielily się śnieżnie w świetle lampy, prawy rękaw, pusty, przypięty był w poprzek jego piersi cienką złotą szpilką. Pod stołem wykwinne i połatane balowe pantofle spoczywały wśród grubych trzewików dwóch mężczyzn i bosych, rozplaszczonych stóp chłopca.

– Vatch mówi, że jesteście czarny – powiedział ojciec.

Weddel siedział na krześle trochę odchylony do tyłu.

– Więc teraz rozumiem – powiedział. – Myślałem, że on jest po prostu z natury taki wściekły. I jeszcze przy tym jest zwycięzcą.

– Czy jesteście czarny? – zapytał ojciec.

– Nie – powiedział Weddel. Patrzył na chłopca, jego zniszczona i wychudzona twarz była lekko ironiczna. Z tyłu na karku długie włosy miał przycięte niezręcznie, jakby zrobiono to nożem czy może bagnetem. Chłopiec patrzył na niego w zupełnym bezruchu, jakby nieobecny. „Jakbym był duchem – pomyślał Weddel. – Straszę. Może jestem duchem.”

– Nie – powiedział. – Nie jestem Murzynem.

– Kim jesteście? – zapytał ojciec.

Weddel siedział trochę bokiem na krześle, rękę położył na stole.

– Czy wy w Tennessee zawsze pytacie gości, kim są?

Vatch nalewał do kubka z gąsiora. Nachylił twarz, ręce miał duże i twarde. Twarz miał twardą. Weddel spojrzał na niego.

– Zdaje mi się, że wiem, jak się czujecie – powiedział. – Myślę, że kiedyś czułem się tak samo. Ale trudno czuć to samo przez cztery lata. Nawet w ogóle coś czuć po czterech latach.

Vatch powiedział coś nagle i ochryple. Stuknął kubkiem w stół wychlapując z niego trochę whisky. Wyglądała jak woda o ostrym, palącym zapachu i jakiejś specjalnej lotności, która przeniosła bryźnięcie w poprzek stołu i na gors zgniecionej, lecz nieskalanie białej koszuli na piersiach Weddela, poprzez materiał uderzając

nieoczekiwanym chłodem jego ciało.

– Vatch! – powiedział ojciec.

Weddel się nie poruszył. Wyraz jego twarzy, zuchwały, ironiczny i zmęczony, nie zmienił się.

– On to zrobił nieumyślnie – powiedział.

– Jak co zrobię – powiedział Vatch – to nie będzie wyglądało, że zrobiłem nieumyślnie.

Weddel patrzył na Vatcha.

– Zdaje się, że raz już ci powiedziałem. Nazywam się Saucier Weddel. Jestem z Missisipi. Z plantacji Contalmaison. Mój ojciec ją założył i nadał jej nazwę. Był wodzem Choctawów, nazywał się Francis Weddel, prawdopodobnie nic o nim nie słyszeliście. Był synem kobiety Choctaw i francuskiego emigranta z Nowego Orleanu, generała wojsk napoleońskich i kawalera Legii Honorowej. Dziadek nazywał się François Vidal. Mój ojciec jeździł kiedyś swoim powozem do Waszyngtonu, żeby zaprotestować u prezydenta Jacksona przeciwko represjom rządu wobec jego ludu. Wysłał przodem wóz z prowizją i darami i świeże konie do powozu, pod opieką człowieka – wolnego człowieka, nadzorcy, który był pełnej krwi Choctawem i kuzynem mojego ojca. W dawnych czasach słowo „Człowiek” było dziedzicznym tytułem głowy naszego rodu, ale kiedy ucywilizowaliśmy się jak biali ludzie, chociaż zatrzymaliśmy niewolników i ziemię, straciliśmy ów tytuł na rzecz gałęzi rodu, która nie uległa skażeniu. Człowiek mieszka teraz w domu niewiele większym niż chaty Murzynów – jako zaufany służący. To w Waszyngtonie ojciec poznał i poślubił moją matkę. Zginął w wojnie meksykańskiej. Moja matka umarła dwa lata temu, w sześćdziesiątym trzecim, na skutek komplikacji po zapaleniu płuc, którego nabawiła się doglądając zakopywania sreber podczas deszczowej nocy, kiedy wojska federalne wchodziły do hrabstwa, i z niedożywienia. Ale mój Murzyn nie chce uwierzyć, że umarła. Nie chce wierzyć, że Ameryka mogła pozwolić, żeby Północ pozbawiła nas importowanej kawy z Martyniki i biskwitów, które matka jadła każdej niedzieli w południe i każdego czwartku wieczorem. Wierzy, że cała Ameryka powinna raczej powstać zbrojnie. No cóż, to tylko Murzyn, członek uciśnionej rasy, na którą włożono brzemię wolności. Robi sobie codziennie spis moich błędów, o które ma zamiar oskarżyć mnie przed nią, jak tylko będziemy w domu. Uczyłem się we Francji, ale niezbyt pilnie. Jeszcze dwa tygodnie temu byłem majorem piechoty z Missisipi pod komendą człowieka zwanego Longstreet, o którym mogliście słyszeć.

– Więc byłeś majorem – powiedział Vatch.

– Aha, więc tak brzmi skierowany przeciwko mnie akt oskarżenia. Tak, byłem.

– Widziałem już kiedyś majora buntowników – powiedział Vatch. – Chcesz, żebym ci powiedział gdzie go widziałem?

– Powiedz.

– Leżał pod drzewem. Musieliśmy się tam zatrzymać i odpocząć, a on leżał pod drzewem i prosił o wodę. „Masz trochę wody, przyjacielu?”, spytał. „Owszem, mam wodę, powiedziałem. Mam mnóstwo wody.” Musiałem się czołgać, nie mogłem wstać. Podczołgałem się do niego i podniosłem go tak, żeby mu głowę oprzeć o drzewo. Odwróciłem go twarzą do siebie.

– Nie miałeś bagnetu? – zapytał Weddel. – Ach, zapomniałem, nie mogłeś wstać.

– Potem odczołgałem się. Musiałem się czołgać ze sto jardów, żeby...

– Odczołgać się?

– Było za blisko. Kto może uczciwie strzelać z tak bliska? Musiałem się odczołgać, a ta przeklęta strzelba...

– Przeklęta strzelba? – Weddel siedział trochę bokiem na krześle, rękę trzymał na stole, twarz miał ironiczną i kpiącą, i opanowaną.

– Chybiłem za pierwszym strzałem. Oparłem mu głowę i odwróciłem, otworzył oczy i patrzył na mnie, i chybiłem. Trafiłem go w gardło i musiałem strzelać jeszcze raz przez tę piekielną strzelbę.

– Vatch – powiedział ojciec.

Ręce Vatcha leżały na stole. Głowę, twarz miał takie jak ojciec, chociaż bez tego wyrazu wyrachowania co u ojca. Vatcha twarz była wściekła, zastygła, nieobliczalna.

– Ta przeklęta strzelba. Musiałem wystrzelić trzy razy. I wtedy miał troje oczu rzędem przez twarz opartą o drzewo, wszystkie trzy otwarte, jakby na mnie patrzył tymi trzema oczami. Zrobiłem mu jeszcze jedno, żeby lepiej widział. Ale musiałem dwa razy strzelać przez tę przeklętą strzelbę.

– Ty, Vatch – powiedział ojciec. Wstał teraz, kładąc ręce na stole, żeby podeprzeć swoją chudą postać. – Nie zważajcie na Vatcha, obcy człowieku. Teraz już po wojnie.

– Nie zważam na niego – powiedział Weddel. Jego ręka zniknęła na piersi wśród spienionych zakładek gorsu koszuli, a on patrzył na Vatcha czujnym, ironicznym, kpiącym spojrzeniem. – Za często i za wielu takich widziałem, żeby jeszcze zważać.

– Napij się whisky – powiedział Vatch.

– Czy muszę?

– Do diabła z pistoletem – powiedział Vatch. – Napij się whisky.

Weddel z powrotem położył rękę na stole. Jednak zamiast nalać Vatch trzymał wciąż gąsior wzniesiony nad kubkiem. Patrzył Weddelowi poprzez ramię. Weddel odwrócił się. W pokoju była dziewczyna, stała w drzwiach, a tuż za nią matka. Matka

powiedziała, jakby zwracała się do podłogi pod stopami:

– Staralam się jej nie puścić, jak kazałeś. Staralam się. Ale ona silna jak chłop, uparta jak chłop.

– Wynoś się – powiedział ojciec.

– Ja? – powiedziała matka do podłogi.

Ojciec wymówił imię. Weddel nie dosłyszał go, nie zauważył nawet, że go nie dosłyszał.

– Wynoś się.

Dziewczyna się poruszyła. Nie patrzyła na nikogo. Podeszła do krzesła, na którym leżał zniszczony i wyłatany płaszcz Weddela, i rozłożyła go odsłaniając cztery postrzępione cięcia w miejscu, gdzie sobolowe podbicie było wycięte jakby nożem. Patrzyła na płaszcz, kiedy Vatch chwycił ją za ramię, ale widziała tylko Weddela.

– To wyście wycięli, żeby dać czarnemu, żeby sobie owinął nogi – powiedziała. Potem z kolei Vatcha chwycił ojciec. Weddel ani drgnął, odwrócił w bok twarz, patrząc przez ramię; za nim chłopiec, opierając się na rękach, uniósł się z krzesła, jego młoda, łagodna twarz zwrócona była ku lampie. Ale oprócz oddechów Vatcha i ojca w izbie nic nie było słychać.

– Jestem jeszcze wciąż silniejszy niż ty – powiedział ojciec. – Wciąż jeszcze jestem lepszy, a przynajmniej taki sam dobry jak ty.

– Nie będziesz wiecznie – powiedział Vatch.

Ojciec obejrzał się przez ramię na dziewczynę.

– Wynoś się – powiedział. Odwróciła się i wyszła do sieni cicho jak na gumowych podszwach. Znów ojciec powiedział to imię, którego Weddel nie dosłyszał. I teraz go nie dosłyszał i nie zauważył nawet, że nie dosłyszał go. Wyszła za drzwi. Ojciec spojrział na Weddela. Weddel nie zmienił pozycji, tylko jeszcze raz jego ręka ukryła się na piersiach. Patrzyli jeden na drugiego – zimna nordycka twarz i na pół celtycka, na pół mongolska, chuda i zmęczona, niby brązowa płaskorzeźba z oczami jak oczy umarłego, które nie widzą, chociaż patrzą.

– Zabierajcie konie i wynoście się – powiedział ojciec.

## VI

W sieni było ciemno i zimno. Kąśliwy chłód górskiego kwietnia szedł od podłogi ku jej bosym nogom i ciału w jednej szorstkiej sukni.

– Wyciął futro z kapoty, żeby temu czarnemu owinąć nogi – powiedziała. – Wyciął

dla czarnego.

Drzwi za nią się otworzyły. W blasku lampy zamajaczyła sylwetka mężczyzny i drzwi się za nim zamknęły.

– To Vatch czy tata? – zapytała. Wtem coś uderzyło ją po plecach: rzemienny pas. – Byłam w strachu, że to będzie Vatch – powiedziała. Uderzenie się powtórzyło.

– Idź spać – powiedział ojciec.

– Możesz mnie bić, ale jego nie możesz – powiedziała.

Uderzenie się powtórzyło: miękkie, płaskie, ciche klaśnięcie o jej nagie ciało pod grubym workowym płótnem.

## VII

Kiedy obie wyszły z kuchni, Murzyn posiedział jeszcze chwilę na postawionym na sztorc klocku przed piecem, patrząc na drzwi. Potem wstał ostrożnie, jedną ręką trzymając się ściany.

– Uff – powiedział. – Żebyśmy to w Domain mieli źródło z taką wodą. Ludzie by się trawowali na śmierć.

Zerknął na drzwi, nasłuchując, i ruszył posuwając się ostrożnie przy ścianie, co chwila zatrzymując się, żeby obejrzeć się na drzwi i posłuchać. Poruszał się przebiegle, chwiejnie i czujnie. Doszedł do kąta i podniósł luźną deskę schylając się ostrożnie, opierając się o ścianę. Wydobył gąsior i wtedy stracił równowagę, i rozciągnął się jak długi, padając na twarz komiczną i poważną ze zdziwienia. Podniósł się i siadł ciężko na podłodze, uważnie trzymając gąsior między kolanami. Podniósł gąsior i pił. Pił długo.

– Uff – powiedział. – W Domain takie tam coś byłoby dla wieprzy. Ale ta ciemna górską hołota... – Pił znów, potem, kiedy trzymał jeszcze gąsior w górze, pojawił mu się na twarzy wyraz skupienia i wreszcie zaskoczenia. Postawił gąsior i spróbował wstać dźwigając się na czworaki nad gąsiorem, wreszcie wstając na nogi, pochylony, chwiejny, zaśliniony, z wyrazem gwałtownego zaskoczenia na twarzy. I runął na podłogę, przewracając gąsior.

## VIII

Pochylili się nad Murzynem mówiąc do siebie cicho – Weddel w swojej eleganckiej koszuli, ojciec i chłopiec.

– Musimy go dźwignąć – powiedział ojciec.

Dźwignęli Murzyna. Swoją jedną ręką Weddel podniósł mu głowę i potrząsnął nim.

– Jubal – powiedział.

Murzyn machnął niepewnie ręką.

– Zostaw go – mruknął. – Niech sobie...

– Jubal – powtórzył Weddel.

Murzyn szarpnął się niespodziewanie silnie.

– Ty go zostaw – powiedział. – Pójdę do Człowieka, powiem. Pójdę, powiem... –  
Uspokoił się mamrocząc: – Parobki. Wsiowe Murzyny.

– Musimy go wynieść – powiedział ojciec.

– Tak – odrzekł Weddel. – Przykro mi za to, co się stało. Powinienem był was ostrzec. Ale nie przypuszczałem, że jest jeszcze jeden gąsior, do którego on się dobierze.

Nachylił się podkładając swoją jedną rękę pod plecy Murzyna.

– Odsuńcie się – powiedział ojciec. – My z Hule'em możemy go wziąć.

Obaj z chłopcem podnieśli Murzyna. Weddel otworzył drzwi. Wyszli w przejmujące, czarne zimno. Niżej majaczyła szopa. Ponieśli Murzyna w dół zboczem.

– Wyprowadź konie, Hule – powiedział ojciec.

– Konie? – zapytał Weddel. – On teraz nie może jechać. Nie utrzyma się na koniu.

Spojrzeli na siebie, każdy w tę stronę, skąd dochodził głos drugiego w zimnej, lodowatej ciszy.

– Nie jedziecie? – zapytał ojciec.

– Przykro mi... Widzicie, że nie mogę odjechać. Będę musiał zostać do rana, aż on wytrzeźwieje. Wtedy wyjedziemy.

– Zostawcie go tu. Zostawcie mu jednego konia i sami jedźcie. To tylko czarny.

– Wybaczcie. Nie po tych czterech latach. – Głos jego był ironiczny, niemal kpiący, a jednak z owym tonem nie dającego się przewyciężyć zmęczenia. – Nie zostawiłem go nigdzie dotąd, to myślę, że już go dowiozę do domu.

– Ostrzegłem was – powiedział ojciec.

– Dziękuję. Wyruszymy o świcie. Gdyby Hule zechciał pomóc mi go wnieść na strych...

Ojciec odstąpił na bok.

– Połóż tego czarnego, Hule – powiedział.

– Zmarznie tu – powiedział Weddel. – Muszę go wnieść na strych. – Podciągnął Murzyna w górę, oparł go o ścianę i nachylił się, aby przerzucić sobie bezwładne ciało

przez ramię. Ciężar zmniejszył się znacznie, chociaż Weddel nie wiedział dlaczego, póki ojciec nie odezwał się znowu:

– Hule, zabieraj się stąd.

– Tak, idź – powiedział cicho Weddel – po drabinie będę mógł go sam wnieść.

Słyszał oddech chłopca, prędki, młody, szybki może z podniecenia. Weddel nie zastanawiał się nad tym ani przez chwilę, nawet kiedy dosłyszał ton nieuchwytny niemal hysterii w głosie chłopca:

– Pomogę wam.

Weddel dłużej nie protestował. Obudził Murzyna paroma płaskimi uderzeniami ręki i obaj z chłopcem postawili go na szczeblu drabiny i popychali w górę. W połowie drogi stanął, znów obruszył się na nich.

– Pójdę, powiem mu. Pójdę do Człowieka, powiem. Pójdę, powiem pani. Parobki, wsiowe Murzyny...

## IX

Leżeli obok siebie na strychu przykryci płaszczem i dwiema derkami. Nie było siana. Murzyn chrapał, oddech miał cuchnący i ostry, chrapliwy. Pod nimi w swojej przegrodzie Cezar od czasu do czasu przestępował z nogi na nogę. Weddel leżał na wznak, rękę trzymał w poprzek piersi, ściskając dłonią kikut drugiej ręki. Nad nim przez szpary w dachu widać było niebo – przejmująco zimne, czarne niebo, z którego deszcz będzie padał jutro i pojutrze, i popojutrze, zanim nie zejda z gór.

– Jeśli zejda z gór... – powiedział cicho, nieruchomo leżąc na plecach obok chrapiącego Murzyna i wpatrując się w niebo. – Nie byłem obojętny. Myślałem już, że to się wyczerpało, że straciłem łaskę strachu. Ale nie. Więc jestem szczęśliwy. Całkiem szczęśliwy. – Leżał sztywno na plecach w zimnej ciemności, myśląc o domu. „Contalmaison. Nasze życia sumują się w słowach i nabierają znaczenia. Zwycięstwo. Klęska. Pokój. Dom. To dlatego tyle trzeba wysiłku, żeby znaleźć znaczenie dla słów, tyle diabelnego wysiłku. Szczególnie jeśli się nie miało na tyle szczęścia, żeby być zwycięzcą; tyle diabelnego wysiłku. To miło przegrać, to wygodnie przegrać. Przegrać i spocząć pod dziurawym dachem, i myśleć o domu.” Murzyn zachrapał. „Tyle diabelnego wysiłku.” Zdawało mu się, że widzi, jak słowa przybierają kształt cicho w ciemności nad jego ustami. „Co się stanie, pomyśl, jakiś człowiek w korytarzu Gayoso, w Memphis, zaśmiał się na głos. Ale ja jestem szczęśliwy...”

Wtem usłyszał ten szmer. Leżał więc najzupełniej cicho, dłonią ściskając rękojeść pistoletu ciepłą pod kikutem prawej ręki, nasłuchując cichego, prawie niesłyszalnego szmeru, który wznosił się po drabinie. Ale nie poruszył się, aż ujrzał, że ledwie widoczny

otwór w podłodze coś zasłania.

– Zatrzymaj się, gdzie jesteś – powiedział.

– To ja – powiedział głos, głos chłopca, ciągle tak samo szybki, zdyszany. Weddel nawet teraz nie poświęcił mu uwagi na tyle, aby przypisać ten ton podnieceniu czy w ogóle go zauważyć. Chłopiec posuwał się na rękach i kolanach po suchych, trzeszczących łuskach, które zaściewały podłogę.

– No, strzelajcie – powiedział. Zamajaczył nad Weddelem wspierając się na rękach i kolanach, szybko chwytając oddech. – Chciałbym nie żyć. Tak bym chciał. Chciałbym, żebyśmy obaj nie żyli. Czasami chcę, jak Vatch chce. Czy musieliście się tu zatrzymać?

Weddel nie poruszył się.

– Dlaczego Vatch chce mnie zabić?

– Bo on ciągle słyszy, jak wy krzyczycie. Spałem z nim i on się budzi w nocy, i kiedyś tata musiał go trzymać, boby mnie udusił na śmierć, zanim się obudził; i on się cały poci, jak was ciągle słyszy, jak krzyczycie. Nie macie nic, tylko strzelby, nawet bez naboju, lecicie i krzyczycie, mówi Vatch, jak strachy na wróble przez pole. – Płakał teraz po cichu. – Idźcie do diabła, idźcie do piekła!

– Tak – powiedział Weddel. – Sam ich słyszałem. Ale dlaczego ty chciałbyś nie żyć?

– Bo ona próbowała tu przyjść sama. Tylko musiała...

– Kto? Ona? Twoja siostra?

– ...musiała przejść przez izbę. Tata nie spał. Mówi: „Jak wyjdiesz za te drzwi, więcej nie wracaj.” A ona mówi: „Nie mam zamiaru.” I Vatch nie spał, i mówi: „Powiedz mu, niech się z tobą szybko żeni, bo rano będziesz wdowa.” I ona wróciła, i powiedziała mi. Ale ja też nie spałem. Powiedziała, żeby wam powiedzieć.

– Powiedzieć mi? Co? – zapytał Weddel.

Chłopiec płakał cicho w jakiejś cierpliwej, głębokiej rozpacz.

– Powiedziałem jej, że jak wy jesteście czarni i jak ona to zrobi... powiedziałem jej, to ja...

– Co? Jak co zrobi? Co ci kazała powiedzieć?

– O oknie na strych, gdzie ona i ja śpimy. Że tam jest drabina, co ją zrobiłem, żeby móc wejść, jak wracam z polowania. Żebyście weszli. Ale powiedziałem jej, że jak wy jesteście czarni i jak ona to zrobi, to ja...

– No, no – powiedział Weddel ostro. – Weź się w garść. Przecież wiesz. Nawet jej nie widziałem, chyba wtedy, kiedy weszła do pokoju i twój ojciec kazał jej wyjść.

– Ale wtedy ją widzieliście. A ona was widziała.

– Nie – powiedział Weddel.

Chłopiec przestał płakać. Zupełnie cicho siedział obok Weddela.

– Co nie?

– Nie zrobię tego. Nie wejdę po tej twojej drabinie.

Przez chwilę chłopiec jakby się zastanawiał nad tym, nieruchomy, oddychając teraz cicho i powoli. Przemówił wreszcie zamyślonym, niemal rozmarzonym głosem:

– Łatwo mógłbym was zabić, chociaż jestem młodszy. Macie tylko jedną rękę...

Nagle poruszył się z niewiarygodną szybkością. Weddel wtedy dopiero poczuł, że coś się dzieje, kiedy twarde, duże ręce chłopca chwyciły go za gardło. Weddel nie poruszył się.

– Łatwo mógłbym was zabić. I nikt by nic nie powiedział.

– Ciiicho – powiedział Weddel. – Ciszej. – Nikogo by to nie obeszło.

Trzymał Weddela za gardło twardym, niezręcznym chwytem. Weddel czuł, jak chęć duszenia i szarpania wyczerpuje się gdzieś jeszcze w przedramionach chłopca, zanim spłynie do jego dłoni, jakby między mózgiem chłopca a rękoma połączenie było przerwane.

– Nikogo by to nie obeszło. Tylko Vatch by był wściekły.

– Mam pistolet – powiedział Weddel.

– To zastrzelcie mnie, no.

– Nie.

– Co nie?

– Już ci powiedziałem.

– Przysięgacie, że nie zrobicie tego? Przysięgacie?

– Posłuchaj no – powiedział Weddel, mówił teraz z uspokajającą cierpliwością, jakby przemawiał monosylabami do dziecka: – Chcę tylko wrócić do domu. To wszystko. Nie byłem w domu od czterech lat. Chcę tylko wrócić do domu. Nie rozumiesz? Chcę zobaczyć, co tam zostało po czterech latach.

– Co tam robicie? – Dłonie chłopca leżały luźno i twardo na gardle Weddela, ramiona były sztywne, nieruchome. – Czy polujecie cały dzień i całą noc, jak wam się podoba, na koniu i z czarnymi do pomocy, do czyszczenia butów i siodłania konia, i siedzicie na ganku i jecie, zanim znów nie pójdziecie polować?

– Chciałbym. Widzisz, nie byłem w domu cztery lata. I dlatego już nie pamiętam.

– Weźcie mnie z sobą.

– Widzisz, nie wiem, jak tam jest. Może tam nic nie ma: ani koni pod wierzch, ani zwierzyny. Tam byli Jankesi i zaraz po tym umarła moja matka, i nie wiem, co tam zastaniemy, muszę wrócić i zobaczyć.

– Będę pracować. Będziemy oboje pracować. Możecie się pobrać w Maysfield. To niedaleko.

– Pobrać? Och, twoja... Tak... Skąd wiesz, czy nie jestem już żonaty? – Teraz dłonie chłopca zamknęły się na jego gardle, potrząsając nim. – Przestań! – powiedział.

– Jak powiecie, że macie żonę, to was zabiję – powiedział chłopiec.

– Nie – powiedział Weddel. – Nie mam żony.

– I nie wejdziecie po tej drabinie?

– Nie. Widziałem ją tylko raz. Mógłbym jej nawet nie poznać, gdybym ją znów zobaczył.

– Ona mówi co innego. Wam nie wierzę. Kłamiecie.

– Nie – powiedział Weddel.

– To dlatego, że się boicie tam wejść?

– Tak. Dlatego.

– Że się boicie Vatcha?

– Nie Vatcha. Po prostu się boję. Myślę, że szczęście mnie opuściło. Wiem, że trwało za długo. Boję się, że się okaże, że zapomniałem, jak się człowiek boi. Więc nie mogę ryzykować. Nie mogę ryzykować, bo jeszcze się okaże, że nie czuję prawdy. Nie jak Jubal. On wierzy, że ja wciąż należę do niego, i nigdy nie uwierzy, że stałem się wolny. Nie da sobie nawet tego powiedzieć. Widzisz, on nie potrzebuje się martwić o prawdę.

– Będziemy pracować. Ona może nie będzie zupełnie jak kobiety z Missisipi, co cały czas noszą buty. Ale my się nauczymy. Nie przyniesiemy ci wstydu.

– Nie – powiedział Weddel. – Nie mogę.

– To wynoście się. Zaraz.

– Jak? Widzisz, że on nie może jechać, nie utrzyma się na koniu.

Chłopiec nie odpowiedział od razu; w chwilę później Weddel prawie dotykalnie wyczuł to napięcie, najzupełniejszą nieruchomość, chociaż sam nie słyszał żadnego szelestu. Wiedział, że chłopiec, skulony, wstrzymujący oddech, patrzy w stronę drabiny.

- Który to? – szepnął Weddel.
- To tata.
- Zejdę na dół. Zostań tu. Potrzyмай mój pistolet.

## X

Ciemność była wysoka, chłodna, zimna. W nieobjętej, niewidocznej ciemności leżała dolina, naprzeciwko zimny i niewidoczny łańcuch gór, czarny na czarnym niebie. Przyciskając kikut urwanej ręki do piersi trząsł się powoli i ciągle.

- Wyjeżdżajcie – powiedział ojciec.
- Wojna skończona – powiedział Weddel. – Zwycięstwo Vatcha to nie mój kłopot.
- Zabierajcie swoje konie i czarnego i jedźcie.
- Jeśli myślicie o córce... Widziałem ją tylko raz i nie spodziewam się jej więcej zobaczyć.
- Jedźcie – powiedział ojciec. – Zabierajcie, co wasze, i jedźcie.
- Nie mogę. – Stali naprzeciwko siebie w ciemnościach. – Te cztery lata uodpomiły mnie przeciw ucieczkom.
- Tylko do rana.
- Miałem mniej czasu niż do rana przez te cztery lata w Wirginii. A to jest już Tennessee.

Ale tamten się odwrócił. Wtopił się w czarne zbocze. Weddel wszedł do stajni i wdrapał się po drabinie. Chłopiec siedział nieruchomo obok chrapiącego Murzyna.

- Zostawcie go tu – powiedział. – To tylko czarny. Zostawcie go i jedźcie.
- Nie – powiedział Weddel.

Chłopiec siedział obok chrapiącego Murzyna. Nie patrzył na Weddela, a jednak leżała między nimi – spokojna i bezgłówna – gęstwina, ostry suchy trzask, niespodziewany dziki tętent spłoszonego konia i smuga dymu.

– Mogę wam pokazać krótszą drogę w dolinę. W dwie godziny zjedziecie z gór. O świcie będziecie dziesięć mil stąd.

– Nie mogę. On też chce wrócić do domu. Jego też muszę dowieźć do domu. – Nachylił się, swoją jedną ręką niezręcznie rozpostarł koc, okrywając szczelniej Murzyna. Słyszał, jak chłopiec czołga się z powrotem, ale nie spojrział. Po chwili potrząsnął Murzynem.

– Jubal – powiedział. Murzyn jęknął. Odwrócił się na drugi bok ciężko, usypiając znowu. Weddel usiadł obok niego jak przedtem chłopiec.

– Myślałem, że straciłem go zupełnie – powiedział. – Spokój i ciszę. Siłę, żeby się znów bać.

## XI

W niewyraźnym, zimnym brzasku chata robiła wrażenie nędznej i opuszczonej, kiedy dwa konie minęły walącą się bramę i wyjechały na kamienistą drogę, Murzyn na Cezarze, Weddel na kasztanku. Murzyn dygotał: Siedział na koniu zgarbiony, usadowiony wysoko, z podciągniętymi kolanami. Twarz miał prawie niewidoczną pod budką z nieprzemakalnej płachty.

– Mówiłem panu, że się uwzięli nas struć tym świństwem – powiedział. – Mówiłem panu. Przeklęta górską hołota. I mało, że pan im pozwolił mnie struć, jeszcze pan własną ręką przyniósł mi tę truciznę. O Boże! o Boże! Żebyśmy już wreszcie byli w domu.

Weddel obejrzał się na chatę, na zniszczony, bezbarwny budynek, w którym nie widać było śladu życia ani nawet dymu.

– Ona ma pewno jakiegoś swojego chłopca, jakiegoś kawalera – powiedział na głos, w zamyśleniu, z ironią. – A ten mały, ten Hule. Powiedział, żeby jechać, aż zobaczymy laurowy krzak, koło którego droga się kończy, i skręcić ścieżką na lewo. Mówił, żeby nie przejeżdżać koło krzaka.

– Co? Kto mówił? – zapytał Murzyn. – Ja nigdzie nie jadę. Wracam na ten strych i idę spać.

– Jak chcesz – powiedział Weddel. – Zsiadaj.

– Zsiadać?

– Będą mi potrzebne oba konie. Możesz iść piechotą, kiedy się wyśpisz.

– Powiem pana mamie – powiedział Murzyn. – Powiem jemu. Powiem, jak to po czterech latach pan jeszcze nie umie poznać Jankesa, kiedy go pan zobaczy. Żeby nocować z Jankesami i dać im struć jednego z Murzynów pani. Powiem mu.

– Myślałem, że tu zostajesz – powiedział Weddel. On też się trząsł. – Ale nie zimno mi – powiedział. – Nie zimno mi.

– Zostaję? Ja? Jak by pan beze mnie wrócił do domu? Co ja powiem pani, jak wrócę bez pana i ona zapyta, gdzie pan jest?

– Jedziemy – powiedział Weddel. Popędził kasztanka.

Obejrzał się spokojnie na chatę i jechał dalej. Za nim na Cezarze Murzyn sam do

siebie mamrotał i mrucał żałośnie i monotonicznie. Droga, podłużny grzbiet wzgórze, na które wczoraj mozolnie się wspinali, teraz opadała w dół. Była błotnista, zasypana kamieniami, przecinała nagi i skalisty krajobraz pod mżącym niebem, zeskakując w dół, gdzie zaczynały się sosny i laurowe zarośla. Po chwili chata zniknęła im z oczu.

– A więc uciekam – powiedział Weddel. – Kiedy wrócę do domu, nie będę z tego zbyt dumny. A jednak będę. To znaczy, że jeszcze jestem żywy. Jeszcze żywy, bo wciąż jeszcze doznaję strachu i pragnienia. Bo życie jest afirmacją przeszłości i obietnicą na przyszłość. Więc jestem jeszcze żywy... Ach!

Był to krzak laurowy. Jakieś trzysta jardów przed nimi, nieruchomy i tajemniczy, jakby wystrzelał w powietrze, które było bardziej deszczem niż powietrzem. Weddel gwałtownie ściągnął cugle. Murzyn, skurczony i jęczący, z twarzą zupełnie zakrytą, wyprzedził go. Dopiero Cezar sam się zatrzymał.

– Ale nie widzę żadnej ścieżki... – powiedział Weddel; wtem jakaś postać wyłoniła się zza krzaka i pobiegła w ich stronę. Weddel przerzucił sobie cugle przez udo i ukrył rękę w zanadrzu płaszcza. I teraz zobaczył, że to chłopiec. Podbiegł do Weddela. Twarz jego była biała, napięta, oczy śmiertelnie poważne.

– To tu – powiedział.

– Dziękuję – powiedział Weddel. – To ładnie z twojej strony, żeś przyszedł i pokazał nam, chociaż myślę, że sami byśmy też ją znaleźli.

– Tak – powiedział chłopiec, jakby go nie słyszał. Wziął już kasztanka za uzdę. – Prosto przez te krzaki. Nie widać, jej, aż się na nią nie wejdzie.

– Na co? – zapytał Murzyn. – Powiem mu: po czterech latach jeszcze pan nie umie...

– Cicho – powiedział Weddel. Zwrócił się do chłopca: – Dziękuję ci. Będzie ci to musiało wystarczyć. A teraz wracaj do domu. Znajdziemy już tę ścieżkę. Damy sobie radę.

– Oni też znają ścieżkę – powiedział chłopiec. Pociągnął kasztanka. – Ruszajcie.

– Czekać no – powiedział Weddel wspinając konia. Chłopiec ciągle szarpał za uzdę spoglądając przed siebie, na krzak. – Więc to tak. Panu Bogu świeczkę, a diabłu ogarek. Więc to tak?

– Niech was diabli, prędko! – powiedział chłopiec głosem załamującym się z podniecenia. – Rzygać się chce od tego. Rzygać się chce.

– No cóż – powiedział Weddel. Rozejrzył się ironiczny, kpiący. Twarz miał chudą, zmęczoną i wyniszczoną. – Muszę jechać. Nie mogę tu zostać, nawet gdybym miał dom, jakiś dach nad głową. Więc muszę wybrać spośród trzech rzeczy. To właśnie człowieka pokonuje – ta dodatkowa alternatywa. Właśnie wtedy, kiedy zrozumiał, że żyć to znaczy

błędnie wybrać między dwiema możliwościami, musi wybierać jedną spośród trzech. Wracaj do domu.

Chłopiec odwrócił się i spojrzał na niego.

– Będziemy pracowali. Możemy teraz wrócić do domu, tata i Vatch są... Możemy zjechać z góry, dwoje na jednym koniu i dwoje na drugim. Możemy wrócić w dolinę i wy się pobierzecie w Maysfield. Nie zrobimy wam wstydu.

– Ale ona ma swojego chłopca, nie? Kogoś, kto na nią czeka po kościele co niedziela i odprowadza do domu, i je niedzielny obiad, i może się o nią bije z innymi.

– Więc nas nie zabierzecie?

– Nie. Wracaj do domu.

Chwilę chłopiec stał z pochyloną głową, trzymając konia za uzdę. Potem odwrócił się. Powiedział cicho:

– No to chodźmy, musimy się spieszyć.

– Zaczekaj – powiedział Weddel. – Co chcesz zrobić?

– Pójdę z wami kawałek. Ruszajcie. Pociągnął naprzód kasztanka do skraju drogi.

– Słuchaj – powiedział Weddel – wracasz do domu. Wojna się już skończyła. Vatch o tym wie.

Chłopiec nie odpowiedział. Prowadził kasztanka w niskie krzaki. Cezar się ociągał.

– Hej, ty, Cezar! – powiedział Murzyn. – Zaczekajcie, paniczu Soshay. Nie zjadę tędy w żaden...

Chłopiec nie zatrzymując się spojrzał na niego przez ramię.

– Ty zostań tam – powiedział. – Zostań, gdzie jesteś.

Ścieżka była niewyraźną szczeliną, zakręcała i wiła się wśród zarośli.

– Widzę ją już – powiedział Weddel. – Wracaj.

– Pójdę kawałek z wami – powiedział chłopiec tak cicho, że Weddel zauważył, iż chłopiec powstrzymuje oddech w czujnym napięciu. Odetchnął znów, gdy kasztanek się potknął, sztywno schodząc za nim w dół.

„Nonsens – pomyślał Weddel. – Jeszcze chwila, a zechce się ze mną zabawić w Indian. Chciałem odzyskać siły, żeby się bać, ale zdaje się, że poszedłem w tym za daleko.” Ścieżka się rozszerzyła, Cezar dogonił go, chłopiec szedł między nimi. Znów spojrzał na Murzyna.

– Jedź z tyłu, mówiłem ci – powiedział.

– Dlaczego z tyłu? – zapytał Weddel. Spojrzał na bladą, napiętą twarz chłopca. Pomyślał szybko: „Sam nie wiem, czy bawię się w Indian, czy nie.” Powiedział na głos:

– Dlaczego ma jechać z tyłu?

Chłopiec spojrział na Weddela. Zatrzymał się zadzierając kasztankowi głowę do góry.

– Będziemy pracować – powiedział. – Nie zrobimy wam wstydu.

Twarcz Weddela była teraz równie poważna jak twarcz chłopca. Patrzyli na siebie.

– Czy myślisz, że wybraliśmy źle? Musimy wybierać. Musimy wybrać jedno spośród trzech.

I znów wydawało się, że chłopiec go nie słyszy.

– Nie będziecie myśleć, że to przeze mnie? Słowo?

– Tak. Słowo – mówił spokojnie, patrząc na chłopca; rozmawiali teraz jak dwaj mężczyźni albo dwoje dzieci. – Jak myślisz, co mamy zrobić?

– Zawrócić. Chyba już sobie poszli. Możemy... – Pociągnął do tyłu za uzdę. Znów Cezar zrównał się z nimi i wysunął naprzód.

– To znaczy, że to może być gdzie tutaj? – zapytał Weddel. Nagle uderzył kasztanka piętami, odpychając czepiającego się chłopca.

– Puść – powiedział. Chłopiec czepiał się uzdy, odepchnięty, zanim konie znów się nie zrównały. Na Cezarze siedział jak na grzędzie Murzyn podciągając kolana, usta mu się nie zamykały w gładzeniu, obwisłe i zwiotczałe od gadaniny, jak but rozdeptany od chodzenia.

– Mówiłem mu i mówiłem... – gadał Murzyn.

– Puszczaj! – powiedział Weddel uderzając piętami kasztanka, najeżdżając piersią konia na chłopca. – Puszczaj!

– Nie zawracacie? – zapytał chłopiec. – Nie zawracacie?

– Puszczaj! – powiedział Weddel. Zęby błysnęły mu pod wąsem. Spiął konia. Chłopiec puścił uzdę i dał nurka pod szyję Cezara. Weddel oglądając się, kiedy koń pod nim się wspiął, zobaczył, jak chłopiec wdrapuje się na grzbiet Cezara i spycha Murzyna do tyłu i na ziemię.

– Oni myślą, że będziecie jechali na tym dobrym koniu – powiedział chłopiec cienkim, zdyszonym głosem. – Powiedziałem im, że będziecie... Na dół! – krzyknął, gdy Cezar mijał kasztanka. – Ten koń to robi! Zjedźcie ze ścieżki! Ze ścieżki... – Weddel spiął kasztanka. Prawie pierś w pierś oba konie wypadły na zakręt, gdzie ścieżka biegła z powrotem w splątaną gęstwinę lauru i rododendronów. Chłopiec obejrzał się przez ramię.

– Zawracaj! – krzyknął. – Zjedź ze ścieżki!

Weddel ubódł kasztanka piętami. Na twarzy miał ostry grymas uniesienia i gniewu, prawie jak uśmiech. Miał go jeszcze na twarzy martwej, kiedy spadł na ziemię. Nogę wciąż jeszcze mocno trzymało strzemię. Kasztanek skoczył spłoszony hukiem i pociągnął Weddela do skraju ścieżki, i zatrzymał się, i zakręcił się, i parsknął, i zaczął grzebać nogą. Cezar jednak też runął za zakręt i zakręcił, i skoczył z powrotem z derką zwiniętą pod brzuchem i płonącymi oczami, i przeskoczył przez ciało chłopca tam, gdzie leżało na ścieżce z twarzą wykręconą w tył na kamieniu, z rękami rozrzuconymi na boki, z rozwartymi dłońmi, niby kobieta, która unosząc spódnice skacze przez kałużę. Potem koń zakręcił się i stanął nad ciałem Weddela, węsząc, potrząsając głową, zerkając na laurowy krzak i rozplywającą się w powietrzu i niknącą smugę czarnego prochowego dymu.

Murzyn podniósł się na czworaki, kiedy zza krzaka wyłonili się ci dwaj. Jeden z nich biegł. Murzyn patrzył, jak tamten biegnie krzycząc ciągle to samo:

– Przeklęty głupiec! Przeklęty głupiec! Przeklęty głupiec! – a potem staje nagle i upuszcza strzelbę. Kucając Murzyn widział, że tamten staje jak wryty nad upuszczoną strzelbą, z wyrazem szoku i osłupienia patrząc w dół na ciało chłopca, jakby się budził ze snu. Potem Murzyn zobaczył tego drugiego. Zatrzymując się ten drugi podniósł strzelbę i zaczął ją ładować na nowo. Murzyn nie poruszył się. Na czworakach patrzył na tych dwóch białych, źrenice biegały mu dziko w przekrwionych białkach. Potem on też się poruszył i – ciągle na czworakach – odwrócił się i pokuśtykał tam, gdzie leżał Weddel u stóp kasztanka, i zgarbił się nad Weddelem, i spojrzał znów, i zobaczył, jak ten drugi wraca powoli w górę ścieżki, ładując strzelbę. Widział, jak tamten się zatrzymuje, nie zamknął oczu ani nie odwrócił spojrzenia. Widział, jak strzelba się wydłużyła, a potem unosi i zmniejsza się powoli, i staje się okrągłym punktem na białej plamie twarzy Vatcha niby kropka na pustej stronicy. Murzyn skulił się, jego oczy biegały niepowstrzymane, dzikie i czerwone jak oczy osaczonego zwierzęcia.

*Przełożyła  
Ewa Życieńska*

# MISTRAL

## I

Była to już reszta brandy z Mediolanu. Napilem się i podałem manierkę Donowi, który podniósł ją do ust, aż płyn przechylił się żółto w wąskiej szparze skórzanego pokrowca; kiedy trzymał ją w górze, nadszedł ścieżką żołnierz; mundur miał rozpięty pod szyją i popychał rower. Był to młody człowiek o śmiałej szczupłej twarzy. Rzucił chmurne „dzień dobry” i mijając nas spojrzął na manierkę. Patrzyliśmy za nim, aż skrył się za szczytem pagórka, i widzieliśmy jeszcze, jak wsiada na rower.

Don napił się, a resztę wylał. Brandy rozbryznęła się na spieczonej ziemi, żłobiąc w niej znikające natychmiast dołki. Wytrząsnął manierkę do ostatniej kropli.

– *Salut* – powiedział oddając mi ją. – Dzięki wam, o bogowie. Mój Boże, jak pomyślę, że miałbym iść do łóżka z jeszcze jednym łykiem tego w żołądku...

– Okropne, że człowiek tak musi to pić – powiedziałem. – Po prostu musi.

Schowałem manierkę i poszliśmy dalej, przez szczyt pagórka. Ścieżka zaczęła schodzić w dół, wciąż w cieniu. Powietrze było rześkie, pełne słońca, które miało jeszcze jakąś inną właściwość oprócz zwykłych: światła i ciepła, i unosił się w nim daleki i swobodny dźwięk koziego dzwonka dochodzący nie wiadomo skąd, gdzieś zza najbliższego zakrętu ścieżki.

– Głupi pomysł ciągać ze sobą tyle dni to świństwo – powiedział Don. – Dlatego to zrobiłem. – Nie możesz tego pić, a nie wylejesz.

– Miałem wylać? Kosztowała dziesięć lirów. Na co ją kupowałem?

– Licho wie – powiedział Don. Na tle pełnej słońca doliny drzewa wyglądały jak pręty kraty, ścieżka była wyrwą między prętami, dolina niebieska i słoneczna. Dźwięk koziego dzwonka dobiegał gdzieś przed nas. Węższa ścieżka odchodziła w bok, pod ostrym kątem, bardziej stroma niż ta szeroka, którą szliśmy. – Zjechał tędy – powiedział Don.

– Kto?

Don wskazywał na niewyraźny ślad opon roweru, tam gdzie skręciły one na wąską ścieżkę.

– Patrz – powiedział Don.

– Ta ścieżka musiała być dla niego za mało stroma.

– Pewno się śpieszył.

– Jak tutaj skręcił, to się na pewno pośpieszył.

– Może tam w dole jest stóg siana.

– Albo może przejedzie przez dolinę i wjedzie na górę po tamtej stronie, i zjedzie z niej, i wjedzie znów na tę górę, i tak dalej, póki nie straci rozpędu.

– Albo zanim nie umrze z głodu.

– Albo tak. Czy słyszałeś kiedy, żeby kto umarł z głodu na rowerze?

– Nie. A ty?

– Nie – powiedziałem.

Schodziliśmy. Ścieżka zakręciła i znaleźliśmy się w miejscu, skąd rozchodził się dźwięk koziego dzwonka. Dzwonek wisiał na szyi objuczonego muła szczypiącego delikatnymi, dźwięcznymi szarpnięciami trawę na skraju ścieżki w pobliżu kamiennej kapliczki. Pod kapliczką siedział mężczyzna w roboczym ubraniu i kobieta w jasnym szalu, a obok kobiety stał przykryty koszyk. Patrzyli na nas, kiedy podchodziliśmy.

– Dzień dobry, *signor* – powiedział Don. – Daleko jeszcze?

– Dzień dobry, *signori* – powiedziała kobieta. Mężczyzna na nas patrzył. Miał niebieskie oczy ze źrenicami rozpluwającymi się, jakby przez długi czas moczo je w wodzie. Kobieta dotknęła jego ramienia, potem szybko wykonała palcami kilka ruchów przed jego oczami. Suchym, metalicznym głosem jak skrzypienie cykad, powiedział:

– Dzień dobry, *signori*.

– On nie słyszy – powiedziała kobieta. – Nie, już niedaleko. Widać stąd dachy.

– To dobrze – powiedział Don. – Jesteśmy zmęczeni. Czy można tu odpocząć, *signora*?

– Siadajcie, *signori* – powiedziała kobieta.

Zsunęliśmy plecaki i usiedliśmy. Słońce padało z ukosa na kapliczkę, na spokojną, wystawioną na wiatr i deszcz statwę w niszy i na dwa bukiety uschniętych górskich astrów, które tam leżały. Kobieta migąła palcami przed oczyma mężczyzny. Jej druga ręka, spoczywająca na koszyku obok, była węzlasta i szorstka. Nieruchoma, miała ów sztywny wygląd ręki nieprzywykłej do bezczynności i nie tyle spoczywała, co leżała zupełnie wyczerpana, martwa. Wyglądała jak sztuczna dłoń przytwierdzona do brzegu szala, jakby kobieta przysłoniła ją szalem, żeby wyglądała normalnie. Druga dłoń, ta, którą kobieta mówiła do mężczyzny, była szybka i gibka jak ręka prestidigitatora.

Mężczyzna spojrział na nas.

– Wędrujecie, *signori* – powiedział swoim jasnym, pozbawionym intonacji głosem.

– *Si* – powiedzieliśmy.

Don wyjął papierosy. Mężczyzna podniósł rękę gestem uprzejmej odmowy. Don nalegał. Mężczyzna siedząc skłonił się uroczyście i pogrzebał w pudełku z papierosami. Kobieta wyjęła z pudełka papierosa i włożyła mu go do ręki. Skłonił się znów, przyjąwszy ogień.

– Z Mediolanu – powiedział Don. – To daleko.

– To daleko – powiedziała kobieta. Jej palce mignęły krótko. – On tam był – powiedziała.

– Byłem tam, *signori* – powiedział mężczyzna. Trzymał papierosa uważnie pomiędzy kciukiem a wskazującym palcem. – Trzeba uważać, aby nie wpaść pod koła.

– Tak – powiedział Don – żeby nie wpaść pod koła tych wozów bez koni.

– Bez koni – powiedziała kobieta. – Dużo ich. Nawet tu w górach o tym słyszymy.

– Dużo – powiedział Don. – Wciąż huuumps, huuumps, huuumps.

– *Si* – powiedziała kobieta – nawet tu je widziałam.

Jej ręka zamigłała w świetle słońca, mężczyzna paląc spojrzał na nas spokojnie.

– Było zupełnie inaczej, kiedy on tam był – powiedziała.

– Byłem tam dawno, *signori* – powiedział. – To daleko. – Mówił tym samym tonem co ona, tym samym tonem poważnego i uprzejmego wyjaśnienia.

– To daleko – powiedział Don. Paliliśmy. Muł szczypał trawę z delikatnym, krótkim pobrękiwaniem dzwonka. – Ale tu możemy odpocząć – powiedział Don wyciągając rękę ku dolinie, która mieniła się niebieska i słoneczna za urwiskiem, tam gdzie skręcała ścieżka. – Talerz zupy, wino, łóżko?

Kobieta patrzyła na nas poprzez niewzruszony, nie do przebicia mur głuchoty tego mężczyzny; papieros dymił między jego palcem wskazującym a kciukiem. Dłoń kobiety zatrzepotała mu przed oczami.

– *Si* – powiedział – *si*. U księdza, dlaczego nie? Ksiądz ich przyjmie. – Powiedział coś jeszcze, ale za szybko, żebym mógł zrozumieć. Kobieta zdjęła wzorzystą chustkę przykrywającą koszyk i wyjęła bukłak. Don i ja ukłoniliśmy się i wypiliśmy po kolei, mężczyzna odpowiedział na ukłony.

– Czy to daleko do księdza? – powiedział Don.

Ręka kobiety zatrzepotała z niewiarygodną szybkością. Jej druga ręka, oparta na koszyku, mogła należeć do kogoś innego. – Niech tam na niego poczekają – powiedział mężczyzna. Spojrzał na nas. – Dzisiaj jest pogrzeb. Znajdziecie go w kościele. Pijcie, *signori*.

Wypiliśmy, zachowując należną kolejność, wszyscy trzej. Wino było cierpkie, ostre

i mocne. Muł szczypał trawę, jego mały dzwoneczek brzęczał, jego długi cień w chylącym się słońcu kładł się w poprzek ścieżki.

– Kto to umarł, *signora*? – powiedział Don.

– Miał się ożenić z wychowanicą księdza w tym roku po żniwach – powiedziała kobieta. – Zapowiedzi już wyszły i wszystko. Bogaty człowiek i niestary. Ale dwa dni temu umarł.

Mężczyzna patrzył na jej wargi.

– Czk. Miał ziemię, dom. To i ja mam. To nic wielkiego.

– Był bogaty – powiedziała kobieta. – Był młody i szczęście mu się, dlatego mój mąż mu zazdrościł.

– Ale teraz nie – powiedział mężczyzna. – Co, *signori*?

– Dobrze jest żyć – powiedział Don. Powiedział: *é bello*.

– Dobrze – powiedział mężczyzna. On też powiedział: *bello*.

– Miał się ożenić z siostrzenicą księdza? – zapytał Don.

– To nie jest żadna jego krewna – powiedziała kobieta. – Ksiądz ją tylko wychował. Kiedy ją wziął do siebie, miała sześć lat, żadnej rodziny, żadnych krewnych. Jej matka była z przytułku. Mieszkała tu w górach w jakiejś chacie. Nikt nie wiedział, kto jest ojcem tego dziecka, chociaż ksiądz długo próbował namówić któregoś z nich, żeby się z nią ożenił, żeby to dziecko...

– Któregoś z nich? – powiedział Don.

– Któregoś z tych, co mogli być ojcami, *signor*. Ale nikt się nie dowiedział, który to był, aż do tysiąc dziewięćset szesnastego. To był młody chłopak, parobek. Na drugi dzień wszyscy się dowiedzieli, że matka odeszła też, też na wojnę, bo nigdy nikt z tych, co ją znali, jej nie spotkał, aż dopiero jeden z naszych chłopców wrócił do domu po Caporetto, gdzie zabili ojca, i opowiedział, że matkę widzieli w takim jednym domu w Mediolanie, w niedobrym domu. Więc ksiądz poszedł i zabrał to dziecko. Miała wtedy sześć lat, czarna i chuda jak jaszczurka. Schowała się w górach, kiedy ksiądz tam poszedł, w domu nikogo nie było. Ksiądz ganiał ją po skałach i złapał jak jakie zwierzę. Była na pół naga i bez butów, i to w zimie.

– I ksiądz ją zatrzymał – powiedział Don. – Odważny gość.

– Nie miała rodziny ani dachu nad głową, ani w ogóle nic swojego, tylko to, co ksiądz jej dał. Ale nikt by się tego nie domyślił. Co niedziela czy święto w czerwonej albo zielonej sukience, nawet kiedy miała czternaście i piętnaście lat, kiedy dziewczyna powinna uczyć się skromności i pracy, żeby kiedyś być chlubą swojego męża. Ksiądz mówił, że przeznacza ją Bogu, a wszyscy czekali, kiedy każe jej wyrzec się tego

wszystkiego dla chwały bożej. Ale kiedy miała czternaście i piętnaście lat, już taka była wesoła i niezmordowana na tańcach jak nikt i chłopcy zaczęli się już za nią oglądać, nawet wtedy, kiedy wszystko było ułożone między nią a tym tam, nieboszczykiem.

– Ksiądz się rozmyślił i zamiast klasztoru znalazł jej męża – powiedział Don.

– Znalazł dla niej najlepszą partię w parafii, *signor*. Młody i bogaty, co rok nowe ubranie od krawca z Mediolanu. A potem przyszedł żniwa, i co powiecie, *signori*? Nie poszła za niego.

– Przecież mówiliście, że ślub miał być dopiero tego roku po żniwach – powiedział Don. – Więc odłożyli go już rok temu?

– Odkładali ślub już trzy lata. Trzy lata temu wyznaczili go na po żniwach. Trzy lata temu, w tym samym tygodniu, kiedy Giulia Farinzale wzięli do wojska. Pamiętam, jak wszyscy się dziwili, bo nikt nie myślał, że tak prędko przyjdzie jego kolej, chociaż był kawalerem i nie miał nikogo oprócz wuja i ciotki.

– Więc to tak? – powiedział Don. – Rząd czasami robi dziwne rzeczy. No i jak się wykręcił?

– Nie wykręcił się.

– Ach, i dlatego wesele zostało odłożone?

Kobieta przyglądała się chwilę Donowi.

– To nie narzeczony nazywał się Giulio.

– Aha. Kto to był Giulio?

Kobieta nie odpowiedziała zaraz. Siedziała z pochyloną lekko głową. Mężczyzna patrzył na wargi jej i Dona, kiedy rozmawiali.

– Mów dalej – powiedział. – Opowiedz im. To mężczyźni, mogą słuchać babskiego gadania jednym uchem. Baba plecie, *signori*, dajcie jej tylko nabrać tchu, a gdacze jak kura. Napijmy się.

– Z tym spotykała się wieczorami nad rzeką; był jeszcze młodszy i dlatego wszyscy się dziwili, że tak prędko go wzięli do wojska. Ona, zanim kto pomyślał, dorosła już do takich rzeczy i spotykała się z nim. A przed księdzem ukrywała to tak sprytnie jak jaka dorosła kobieta... – Wyblakłe oczy mężczyzny błysnęły w naszą stronę drwiąco.

– I przez cały czas, kiedy była zaręczona z tamtym, spotykała się z Giuliem? – zapytał Don.

– Nie. Zaręczyny były później. Myśleliśmy wszyscy, że jest jeszcze na to za młoda. Kiedyśmy się dowiedzieli, pomyśleliśmy, że takie niczyje dziecko jest jak list na poczcie: koperta może wyglądać jak każda inna koperta, ale kiedy się ją otworzy... A świętego człowieka równie łatwo grzech zwiedzie jak mnie czy was, *signori*. Łatwiej, bo to święty

człowiek.

– Czy on się o tym dowiedział?

– Tak. Niedługo. Wymykała się z domu o zmroku; ludzie ją widzieli i ksiądz widzieli, jak chował się w ogrodzie, żeby pilnować domu; żeby sługa boży musiał być za psa podwórzowego, na oczach świata. Tak się nie godzi, *signori*.

– I wtedy tego młodego człowieka nagle wzięli do wojska – powiedział Don. – Tak?

– Zupełnie nagle. Wszyscy byli zdziwieni. Ale zrozumieliśmy, że to ręka boska i że teraz ksiądz pośle ją do klasztoru. I w tym samym tygodniu ludzie się dowiedzieli, że między nią a tym, co już dziś nie żyje, wszystko jest ułożone na po żniwach. Więc mówiliśmy, że to ręka boska, że Bóg jej daje męża, na jakiego nie zasłużyła, i że robi to dla dobra swego sługi. Święci ludzie też ulegają złu, tak samo jak wy, *signori*, czy ja; bez pomocy boskiej są tak samo słabi i grzeszni.

– Czk, czk. Nic się nie stało – powiedział mężczyzna. – Ksiądz też na nią spoglądał. Mężczyzna to jest mężczyzna, nawet pod sutanną. Co, *signori*?

– Gadaj tak – powiedziała kobieta. – Ty bezbożniku.

– I ksiądz też na nią spoglądał – powiedział Don.

– Bóg go doświadczył i pokarał za to, że był dla niej za pobłażliwy. I kara jeszcze się nie skończyła: przyszły żniwa i okazało się, że wesele jest odłożone na rok. Co powiecie, *signori*? Ta dziewczyna, co to wiadomo, skąd się wzięła i przy tym, co ksiądz dla niej zrobił, żeby jej pomóc, żeby się ustrzegła samej siebie, własnej krwi... Ludzie słyszeli, jak się kłócili, ona i ksiądz, jak nic sobie z niego nie robiła i wykradała się z domu po zmroku, i szła na tańce, gdzie jej narzeczony mógł ją zobaczyć albo dowiedzieć się o tym w każdej chwili.

– Czy ksiądz wciąż na nią spoglądał? – powiedział Don.

– To była jego kara, pokuta. Przyszły następne żniwa i wesele znowu odłożyli do drugich żniw; zapowiedzi się nawet nie zaczęły, tak nic sobie z niego nie robiła, *signori*, ona, ta nędzarka. Wszyscy mówiliśmy: „Kiedyż wreszcie jej narzeczony o tym usłyszy i dowie się, że to takie nic dobrego, i że są jeszcze córki z dobrych domów, co się nauczyły skromności i przystojności?”

– Macie niezamężne córki, *signora*? – zapytał Don.

– *Si*. Jedną. Dwie już wydałam, jedna jeszcze w domu. Dobra dziewczyna, *signori*. Sama to powiem.

– Czk, kobieto – powiedział mężczyzna.

– Bez wątpienia – powiedział Don. – A więc tamten poszedł do wojska, a wesele odłożyli na drugi rok.

– A potem jeszcze na rok i jeszcze na rok trzeci raz. Miało być tego roku po żniwach, miało być za jakiś miesiąc. Zapowiedzi wyszły, ksiądz sam je wyczytał w kościele, w ostatnią niedzielę trzeci raz; i on tam był w swoim nowym ubraniu z Mediolanu, a obok niego ona w szalu, który jej podarował – kosztował sto lirów – i w złotym łańcuszku, bo on jej dawał prezenty jak dla królowej, a nie dla takiej, co nie zna imienia własnego ojca, i wszyscy byli pewni, że wreszcie ksiądz skończył swoją pokutę i że zło na koniec zostało zdjęte z jego domu, bo i temu żołnierzowi służba kończy się tego roku w jesieni. A teraz narzeczony nie żyje.

– Czy ciężko chorował? – zapytał Don.

– To się stało nagle. Zdrowy człowiek, każdy by powiedział, że będzie długo żył. Jednego dnia był zdrowy, drugiego ciężko chory. Trzeciego dnia nie żył. Posłuchajcie, może usłyszycie dzwon, macie młode uszy. – Góry przed nami były w cieniu. Między nimi, jeszcze niewidoczna, leżała dolina. W słonecznej ciszy dzwonek muła brzęczał rzadkimi szarpnięciami.

– Życie jest w rękach Boga – powiedziała kobieta.

– Kto się ośmieli powiedzieć, że jest panem własnego życia?

– Kto się ośmieli? – powiedział Don. Nie spojrzał na mnie. Powiedział po angielsku. – Daj papierosa.

– To ty masz papierosy.

– Nie, nie mam.

– Masz. W kieszeni spodni.

Wyjął papierosy. Mówił dalej po angielsku.

– I umarł nagle. I zaręczył się nagle. I w tym samym czasie Giulia nagle wzięli do wojska. To dziwne. Wszystko było nagle, tylko nie było czyjejs zbytej ochoty do małżeństwa. Tutaj, zdaje się, nie było najmniejszego pośpiechu, co?

– Nie wiem. Nie rozumiem po włosku.

– Co prawda, wszystko przestało dziać się nagle, póki nie przyszedł czas powrotu do domu dla Giulia. Wtedy znów zaczęło być nagle. Trzeba by się dowiedzieć, czy księża we Włoszech pracują w komisjach poborowych. – Stary mężczyzna patrzył mu na wargi, jego wyblakłe oczy były poważne i czujne.

– A jeżeli ta ścieżka to główna droga w dół, a rower skręcił wyżej, w tamtą wąską, co myślicie o tym, *signori*?

– Myślę, że było dobre. Trochę drapiące w gardle. Może uda nam się dostać tam w dole czegoś, co spłucze ten smak.

Mężczyzna patrzył nam na usta. Kobieta znowu przechyliła głowę; swoją sztywną

ręką wygładzała wzorzyste przykrycie koszyka.

– Znajdziecie go w kościele, *signori* – powiedział mężczyzna.

– Tak – powiedział Don. – W kościele.

Wypiliśmy znów. Mężczyzna przyjął drugiego papierosa z tą samą co przedtem, nienaganną, formalną uprzejmością, nadającą jego ruchom coś skończenie ceremonialnego, a jednak zupełnie naturalnego. Kobieta włożyła bukłak z powrotem do koszyka i znów go nakryła. Wstaliśmy i podnieśliśmy plecaki.

– Szybko rozmawiacie ręką, *signora* – powiedział Don.

– On czyta i z ust. To z ręką wymyśliliśmy leżąc w łóżku po ciemku. Starzy nie śpią wiele. Starzy leżą w łóżku i rozmawiają. To jeszcze nie dla was.

– Tak. Czy urodziliście swemu *padrone* dużo dzieci, *signora*?

– *Si*. Siedmioro. Ale teraz jesteśmy starzy. Leżymy w łóżku i rozmawiamy.

## II

Dzwon zaczął dzwonić, zanim doszliśmy do wioski. Odmierzane dźwięki zdawały się odrywać od ostrej wieży kościoła jak od zimowej gałęzi, jak strząsane przez wiatr. Wiatr podniósł się, kiedy tylko słońce zaszło. Widzieliśmy, jak słońce dotknęło gór, nad którymi niebo utraciło swój blady, rzeński błękit i nabrało lekko zielonawego odcienia, niby szkło, a na jego tle niedawno opuszczone wzgórze z szarzejącą kapliczką i pękiem suchych kwiatów pod szarzejącym krucyfiksem występowało czarno i ostro. Wtedy podniósł się wiatr. Uporczywa ruchoma ściana powietrza pełna jakichś niewidocznych cząsteczek. Gałęzie gięły się pod nią bez drżenia jak pod naciskiem niewidocznej ręki, a w nas krew zaczęła stygnąć od razu, jeszcze zanim zatrzymaliśmy się w miejscu, gdzie ścieżka przechodziła w brukowaną ulicę.

Dzwon wciąż dzwonił.

– Dziwna godzina na pogrzeb – powiedziałem. – Zdawałoby się, że może poleżeć dłużej na tej wysokości. Nie ma się po co tak śpieszyć z pakowaniem kogoś do ziemi.

– Ci, co się nim zajęli, działają szybko – powiedział Don.

Kościół nie było stąd widać, zasłaniał go mur. Staliśmy przed jakąś furtką, zaglądając w podwórko otoczone z trzech stron murem, a w górze osłonięte pnącym winem na tyczkach schodzących się jak krokwie dachu. Na podwórzu stał stół i dwie ławki bez oparcia. Staliśmy w furtce zaglądając na podwórko, kiedy Don powiedział:

– Więc to jest dom wuja?

– Wuja?

– „Nie miał nikogo oprócz wuja i ciotki” – powiedział Don. – Spójrz, tam przy drzwiach. – Drzwi znajdowały się w głębi podwórka. Za nimi widać było ogień, a obok nich stał rower oparty o ścianę.

– Oto rower, ślepe narzędzie – powiedział Don.

– To rower?

– Tak. To rower.

Był to rower starego typu, z wykręconymi do tyłu jak rogi gazeli rączkami wysokiej kierownicy. Patrzyliśmy na rower.

– Ta druga ścieżka to tylne wejście – powiedziałem. – Prywatne wejście.

Zaglądając w podwórko, słyszeliśmy dzwon.

– Może tu wiatr nie wieje – powiedział Don. – Poza tym mamy czas. I tak go nie zobaczymy, póki się to nie skończy.

– Takie domy to czasami hotele.

Weszliśmy. Nagle zobaczyliśmy żołnierza. Kiedy podchodziliśmy do stołu, stanął w drzwiach i stał na tle światła padającego od ognia, patrząc na nas. Był teraz w białej koszuli. Poznaliśmy go jednak po nogach. Potem cofnął się do domu.

– A więc Malborough w domu – powiedział Don.

– Może przyjechał na pogrzeb.

Słyszeliśmy dzwon. Na podwórku zmrok był gęściejszy. W górze liście układały się sztywno w prądzie wiatru, czarny pointylistyczny rysunek na sinym, przejrzystym niebie. Uderzenia dzwonu brzmiały, jak gdyby one także były liśćmi układającymi się z wiatrem płasko na giętkim pnączu wina.

– Skąd on się dowiedział, że będzie jakiś pogrzeb? – zapytał Don.

– Może ksiądz mu napisał.

– Może tak – powiedział Don.

Światło ognia za drzwiami wyglądało przytulnie. Teraz stanęła w nim kobieta i przyglądała się nam.

– Dzień dobry, *padrona* – powiedział Don. – Czy można się tu napić wina? – Przyglądała się nam, nieruchoma na tle ognia. Była wysoka. Stała wysoka i nieruchoma na tle ognia, nie dotykając odrzwi. Dzwon dzwonił. – Ona też była żołnierzem – powiedział Don. – Sierżantem.

– Może tym pułkownikiem, co rozkazał Malboroughowi wracać do domu.

– Nie. Gdyby to była ona, bardziej by się spieszył wtedy, kiedyśmy go tam spotkali

na drodze.

Nagle kobieta powiedziała:

– Tak, *signori*. Siadajcie. – Cofnęła się do domu. Zsunęliśmy plecaki i usiedliśmy. Patrzyliśmy na rower.

– Kawaleria – powiedział Don. – Ciekawe, dlaczego przyjechał boczną drogą.

– Tak – powiedziałem.

– Co tak?

– Tak. Ciekawe.

– Czy to żart?

– Tak. To żart. To dlatego, że jesteśmy starzy. Leżymy w przeciągu. To też żart.

– Powiedz coś, co by nie było żartem.

– Dobrze.

– Zdaje mi się, że o czymś słyszałem tam na drodze, czy słyszałeś to samo?

– Nie mówię po włosku. Uwielbiam Włochy. Przepadam za Mussolinim. – Kobieta przyniosła wino. Postawiła je na stole i odwracała się już, żeby odejść. – Zapytaj ją – powiedziałem. – Dlaczego nie pytasz?

– Dobrze, zapytam. Macie żołnierza w domu, *signora*?

Kobieta spojrzała na niego.

– Nie zważajcie na to, *signor*. To mój siostrzeniec wrócił.

– Skończył służbę, *signora*?

– Skończył, *signor*.

– Szczęśliwy to dla was dzień. Na pewno ma wielu przyjaciół, którzy ucieszą się z jego powrotu. – Kobieta była szczupła, niestara, miała zimne oczy, spoglądające na Dona z wyzywającą uwagą, oczekiwaniem. – Macie dziś we wsi pogrzeb. – Nic nie powiedziała. Stała tylko czekając, aż Don skończy mówić. – Zostawił po sobie żałobę – powiedział Don.

– Miejmy nadzieję – powiedziała. Odchodziła już; Don zapytał ją o pokój. Odpowiedziała kategorycznie, że nie ma żadnego.

Wtedy spostrzeżliśmy, że dzwon przestał dzwonić. Słyszeliśmy nieustający szept wiatru w liściach nad nami.

– Słyszeliśmy, że ksiądz... – powiedział Don.

– Tak? Słyszeliście, że ksiądz?

– Że może tam znajdziemy nocleg.

– A więc dobrze zrobicie, jak porozmawiacie z księdzem, *signor*.

Wróciła do domu. Weszła dużymi, męskimi krokami w światło padające od ognia i znikła. Kiedy spojrzałem na Dona, odwrócił wzrok i sięgnął po wino.

– Dlaczego nie pytałeś jej dalej? – powiedziałem. – Dlaczego tak szybko przestałeś?

– Spieszyła się. Powiedziała, że jej siostrzeniec właśnie wrócił z wojska. Wrócił dziś po południu. Chce być z nim, on nikogo nie ma.

– Może ona się boi, że go wezmą do wojska?

– Czy to też żart?

– Dla mnie to by nie był żart. – Napełnił szklanki. – Zawołaj ją z powrotem. Powiedz jej, że słyszałeś, że jej siostrzeniec żeni się z wychowanicą księdza. Powiedz jej, że chcemy im dać prezent. Sondę do płukania żołądka. To też nie żart.

– Wiem, że nie. – Ostrożnie napełniał szklankę. – Co byś wolał zrobić, żeby nie nocować dziś u księdza?

– *Salut* – powiedziałem.

– *Salut*. – Wypiliśmy. Liście wydawały suchy, dziki, nieprzerwany dźwięk. – Chciałbym, żeby jeszcze było lato.

– Dziś w nocy będzie całkiem zimno, nawet w stodole.

– Tak. Szczęście, że nie musimy dzisiaj spać w stodole.

– Nie byłoby tak źle, wygrzalibyśmy sobie miejsce w sianie i usnęli.

– Ale nie musimy. Możemy się wygodnie wyspać i wczesnie rano wyruszyć. – Napełniłem szklanki. – Ciekaw jestem, jak daleko do najbliższej wsi.

– Za daleko. – Wypiliśmy. – Chciałbym, żeby to było lato, a ty?

– Też. – Wylałem resztę z butelki do szklanek. – Napij się. – Podnieśliśmy szklanki. Spojrzeliśmy na siebie. Cząsteczki wiatru zdawały się przedzierać przez ubranie, przez ciało, do kości, przenikając przez cegłę i tynk murów, żeby nas dosięgnąć. – *Salut*.

– Już przedtem to mówiliśmy – powiedział Don.

– Nie szkodzi. *Salut*.

– *Salut*.

Byliśmy młodzi: Don miał dwadzieścia trzy lata, ja dwadzieścia dwa. A wiek jest tak bardzo, tak nieodłącznie związany z miejscem, gdzie się człowiek urodził czy wzrósł. Do tego stopnia, że z dala od domu, na pewną odległość – odległość w czasie, przestrzeni

lub doświadczeniu – jest się jednocześnie starszym i o całe wieki młodszym od siebie.

Staliśmy w czarnym wietrze i patrzyliśmy na przechodzący kondukt – ksiądz, trumna, niewielka grupka żałobników; ubrania, szczególnie zrudziałe czarne ubranie księdza wydymające się u czoła konduktu, dawały złudzenie nieprzystojnego pośpiechu, jak gdyby wszyscy oni biegli na wyścigi przez ostry, zielony zmierzch (powietrze było jak łyk mrożonej lemoniady zimą) do kościoła.

– My się też schowamy przed wiatrem – powiedział Don.

– Jeszcze z godzinę, będzie widno.

– Na pewno. Do nocy możemy być już na wzgórzu. – Spojrzał na mnie. Teraz ja odwróciłem oczy. Czerwone dachówki też już były czarne. – Schowamy się przed wiatrem. – A wtedy dzwon znów zaczął dzwonić. – O niczym nie wiemy. Na pewno nic się nie stało. Bądź co bądź, nic o tym nie wiemy. Możemy nie wiedzieć. Chodźmy z tego wiatru.

Był to jeden z tych surowych, czworokątnych, kamiennych kościołów zbudowanych kiedyś przez wojowniczych, zakutych w żelazo hrabiów i biskupów Lombardii. Był zbudowany dawno; długie lata nawet go nie nadkruszyły, nie mogły go skruszyć, w ogóle czas nie mógłby tego dokonać. Równie dobrze mogli ci budowniczości wznieść góry i stworzyć zmrok gdzieś w lochu pod ziemią, w czarnej ziemi. Obok wejścia oparty był rower. Spojrzeliśmy na niego spokojnie, kiedy wchodziliśmy do kościoła, i powiedzieliśmy cicho, jednocześnie:

– Biber.

– Jest jednym z tych, co niosą trumnę – powiedział Don. – To dlatego wrócił.

Dzwon dzwonił. Przeszliśmy przez otwarte balaski przed dużym ołtarzem i zatrzymaliśmy się w głębi kościoła. Byliśmy teraz schronieni przed wiatrem, tylko chłodne jego języki lizwały nas po plecach. Słyszeliśmy go na zewnątrz, jak odrywa powolne uderzenia dzwonu, zaledwie półnarodzone, od dzwonnicy, tak że zanim je usłyszeliśmy, zdawały się już wracać jak echa z dużej odległości. W nawie, sklepiającej się wznwyż ku głębokiemu cieniowi, karłała skąpa garstka pochylonych postaci. Za nimi nad nieruchomymi świecami unosił się Pan wzlatując ku smolistym cieniom, zwisającym jak w festonach pajęczyny, jak skrzydła, jednocześnie smutno i triumfalnie. Organy nie grały, nie było żadnej muzyki, w ogóle z początku żadnego ludzkiego dźwięku. Klęczeli tylko pomiędzy przytłaczającym cieniem a zimnym, spokojnym, słabym światłem świec. Równie dobrze wszyscy mogli być nieżywi.

– Nim skończą, dawno już będzie ciemno – szepnął Don.

– Może to dlatego, że są źniwa – szepnąłem. – Pewno muszą pracować cały dzień. Żywi nie mogą czekać na umarłych.

– Ale jeśli on był taki bogaty, jak nam powiedziano, to...

– Kto grzebie bogatych? Bogaci czy biedni?

– Biedni – szepnął Don. Teraz ponad schyłonymi głowami pojawił się ksiądz. Z początku nie widzieliśmy go, ale teraz był tam, bezkształtny, ciemniejący pośród cieni pod świecami, jego twarz jak plama, odcisk palca na głębokim mroku, gdzie Pan unosił się w serii blasków rozpierzchających się niby wodospad; jego głos wypełnił kościół, powolny, równy jak uderzenia skrzydeł o zimny kamień, na rezonansie wiatru, w którym nieruchome płomyki świec stały niczym namalowane. – Więc i on na nią spoglądał – szepnął Don. – Musiał siedzieć naprzeciwko niej przy stole i patrzeć na nią. Patrzeć, jak je chleb, który sprawił, że z niczego stała się wszystkim, i wiedzieć, że ona nie ma własnego chleba, że to jego chleb to sprawia i nie dla niego ją zmienia. Wiadomo: dziewczęta są niczym i nagle stają się wszystkim. Patrzysz, jak na twoich oczach stają się wszystkim.. Nie, nie na oczach; to samo dzieje się w ciemności. Wiesz o tym, zanim jeszcze się zmienia; boisz się nie tego, że staną się wszystkim, ale tego, że odkryją to, kiedy ty już dawno o tym wiedziałeś: umiera się za często. To nie w porządku. Nieuczciwe. Mam nadzieję, że nie będę miał córki.

– To jest kazirodztwo – szepnąłem.

– Nigdy nie mówiłem, że nie jest. Powiedziałem, że to jest jak pożar. Jakbyś patrzył na ogień, który wystrzela w górę i wybucha gwałtownym płomieniem.

– Nie ma rady: trzeba pilnować ognia, jeśli się nie chce w nim spłonąć. Albo w ogóle do ognia się nie zbliżać. Co byś wybrał?

– Nie wiem. Gdyby to była dziewczyna, wolałbym się spalić.

– Więc lepiej nawet do tego ognia się nie zbliżać?

– Tak.

To dlatego, że byliśmy młodzi. A młodzi ludzie nie przyjmują nic prócz żartów. Potrafimy ubierać żarty w tragiczną powagę, i to jest świat. Bo właściwie nie ma nic szczególnie poważnego w rzeczywistości. Bo kiedy się odnajduje rzeczywistość gdzieś około czterdziestu, pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu lat, okazuje się, że leży ona zaledwie sześć stóp głęboko i zajmuje przestrzeń osiemnastu stóp kwadratowych.

A potem to się skończyło. Znów byliśmy na dworze, wiatr wciąż wiał w dół od ciemnych gór, wydmuchując coraz szerzej zielony, szklany klosz nieba. Patrzyliśmy, jak wychodzą jeden za drugim z kościoła i niosą trumnę na cmentarz. Czterech ludzi niosło żelazne latarnie, w zmierzchu zakrzepły one zupełnie groteskowo nad grobem, a wiatr uporczywie spadał na ludzi i na płomienie latarni i wpędzał drobny kurz do grobu, jak gdyby cała natura spieszyła się, żeby go ukryć. Wreszcie wszystko było skończone. Latarnie zachybotwały, drgnęły i ruszyły w naszą stronę, a my patrzyliśmy na księdza. Biegł przez cmentarz w stronę plebanii szybkim krokiem, popychany przez porywisty wiatr

wydymający jego czarną suknię. Żołnierz był teraz w cywilnym ubraniu. Odłączył się od pozostałych, idąc tak samo jak jego ciotka dużymi krokami ludzi o długich nogach. Zwrócił ku nam swoją śmiałą, mroczną twarz, wszedł na rower i odjechał.

– Był jednym z tych, co nieśli trumnę – powiedział Don. – A co wy o tym powiecie, *signori*?

– Nie mówię po włosku – powiedziałem. – Uwielbiam Włochy, przepadam za Mussolinim.

– Już to mówiłeś.

– Tak. A więc: *salut*.

Don spojrzał na mnie. Twarz miał zupełnie poważną.

– *Salut* – powiedział.

Potem spojrzał ku plebanii podciągając plecak. Drzwi plebanii były zamknięte.

– Don – powiedziałem.

Zatrzymał się patrząc na mnie. Góry straciły perspektywę, zdawało się, że się pochylają nad nami. Jakbyśmy byli na dnie wygasłego wulkanu wypełnionego tym dzikim, zielonym, martwym w swoim pędzie i nie znajdującym ujścia wiatrem i własnym popiołem rozpędzonym i nie opadającym. Spojrzeliśmy na siebie.

– Dobrze, do diabła z tym – powiedział Don. – Mów, co teraz robić.

Patrzyliśmy na siebie. Po jakimś czasie wiatr mógłby brzmieć usypiająco, może. Może, gdyby się było w ciepłe i między czterema ścianami.

– Wszystko w porządku – powiedziałem.

– Dlaczego nie możesz zrozumieć, że naprawdę wszystko w porządku? Do diabła z tym. Musimy coś zrobić. Jest październik, to nie lato. I o niczym nie wiemy. O niczym nie słyszeliśmy. Nie mówimy po włosku. Uwielbiamy Włochy.

– Powiedziałem, że wszystko w porządku – powiedziałem.

Plebania była również z kamienia, zagubiona i wystawiona na wiatr w zapuszczonym ogrodzie. Byliśmy w połowie wyłożonej kamiennymi płytami ścieżki, kiedy okno pod gzymsem dachu otworzyło się i jakaś postać w bieli spojrzała w dół, na nas, i zamknęła z powrotem okiennicę. Trwało to jedną chwilę. Znów powiedzieliśmy jednocześnie, cicho:

– Biber. – Ale było za ciemno, żeby coś więcej zobaczyć, i okno już się zamknęło. Nie trwało to dziesięciu sekund.

– Należałoby powiedzieć: rodzaju żeńskiego – powiedział Don.

– Tak. Czy to żart?

– Tak. To żart.

Drzwi otworzyła chłopka o drewnianej twarzy. Trzymała świecę. Wiatr przechylał płomień do wewnątrz. Sien za nią była ciemna i dobywał się z niej kwaśny, piwniczny zapach. Stała i patrzyła na nas, surowe płaszczyzny jej twarzy jak chropawa płaskorzeźba, oczy jak dwie jamy z dwoma migocącymi płomykami.

– No, dalej – powiedziałem. – Powiedz coś.

– Słyszeliśmy, że jego wielebność, *signora*... – powiedział Don. – Że możemy... – Płomień nachylił się i wyprostował. Uniosła drugą rękę i osłoniła go, zastawiając sobą drzwi. – Jesteśmy podróżni, *en promenade*. Słyszeliśmy... kolacja i nocleg.

Idąc za nią w głąb sieni unieśliśmy ze sobą w uszach przeciągły szum wiatru, z którego dopiero wyszliśmy – niby szum w morskiej muszli. Oprócz świecy, którą niosła kobieta, nie było innego światła. Więc posuwając się za nią, szliśmy w mroku, z którego zygzakowaty cień schodów na ścianie wspinał się mgliście ku sunącej świecy i rozpływał we wstępujących coraz wyżej załamaniach, prowadząc za sobą oczy wzwyż po ścianie, aż tam, gdzie nie dochodziło światło.

– Niedługo będzie za ciemno, żeby coś dojrzeć z tego okna – powiedział Don.

– Może już wtedy nie będzie potrzebowała nic dojrzeć.

– Może.

Kobieta otworzyła jakieś drzwi i weszliśmy do oświetlonego pokoju. Znajdował się w nim stół, na którym stała świeca w żelaznym lichtarzu i karafka z winem obok podłużnego bochenka chleba i blaszanej puszki na pieniądze. Stół był nakryty na dwie osoby. Zrzuciliśmy plecaki w kącie i widzieliśmy, jak kobieta kładzie jeszcze jedno nakrycie i przynosi z sieni trzecie krzesło. Ale w ten sposób przygotowała tylko trzy miejsca. Patrzyliśmy, jak zabiera świecę i wychodzi przez drugie drzwi. Don spojrzał na mnie.

– Może ją jednak zobaczymy.

– Skąd wiesz, że on nie będzie jadł?

– Teraz? Nie wiesz, gdzie on teraz jest? – spojrzałem na niego. – Będzie musiał zostać w ogrodzie.

– Skąd wiesz?

– Ten żołnierz był w kościele. Ksiądz musiał go widzieć. Musiał słyszeć... – Spojrzeliśmy na drzwi, ale to kobieta weszła. Niosła trzy talerze. – Zupa, *signora*? – zapytał Don.

– *Si*, zupa.

– Świetnie. Idziemy z daleka. – Postawiła talerze na stole. – Z Mediolanu. – Spojrzała krótko przez ramię na Dona.

– Trzeba było tam zostać – powiedziała i wyszła. Don i ja popatrzyliśmy na siebie. Uszy miałem ciągle pełne wiatru.

– A więc jest w ogrodzie – powiedział Don.

– Skąd wiesz?

Po chwili Don odwrócił ode mnie oczy.

– Nie wiem.

– Nie. Nie wiesz. I ja nie wiem. Nie chcemy wiedzieć. No, nie?

– Tak. Nie rozumiemy po włosku.

– Tak, rozumiemy za mało.

– Właśnie to chciałem powiedzieć – powiedział Don.

Szum w naszych uszach jakby napełniał pokój wiatrem. Nagle zdaliśmy sobie sprawę, że to, co słyszymy, to rzeczywisty wiatr, chociaż okiennice jedyne okna są szczelnie zamknięte. Jak gdyby ten cichy pokój był szczelnie zamknięty gdzieś na najdalszym krańcu świata, szemrzący, wydrążony w chaosie i odwiecznej czarnej furii czasu. Wydawało się dziwne, że płomień świecy stoi tak prosto nad knotem.

### III

A więc nie zobaczyliśmy się z nim, dopiero w tym domu. Przedtem był tylko nędzną, bezkształtną postacią niewielkiego wzrostu, drepczącą w wietrznym mroku na czele pogrzebu. I głosem. Jak gdyby jedno było niezależne od drugiego: postać w powiewającej czerni i głos zakłócający nieruchomą ciszę nad świecami, samotny i spokojny, niestrudzony, a zmęczony i opuszczony.

Było coś desperackiego w jego ruchach, kiedy wszedł, niby nurek, który bierze pełny oddech przed zanurzeniem się w wodę. Nie spojrzał na nas, a już mówił, witał nas i przeproszał za swoje spóźnienie jednym tchem, niskim, szybkim głosem. Wciąż nie przestając mówić i nie patrząc na nas podszedł do krzesła, usiadł, pochylił głowę nad talerzem i zaczął łacińską modlitwę nie zmieniając tonu; znów jego głos mknął powoli i bez wysiłku tuż nad szumem wiatru, jak w kościele. Trwało to jakiś czas, toteż po chwili uniosłem głowę. Don patrzył na mnie, lekko podnosząc brwi. Spojrzeliśmy na księdza i spostrzeżliśmy, jak kurczy i rozkurcza dłonie po obu stronach swojego talerza. Nagle kobieta powiedziała coś ostro za moimi plecami; nie słyszałem, jak wchodziła. Była chuda, niewysoka, miała twarz koloru bladego mahoni, twarz kobiety między dwudziestym piątym a sześćdziesiątym rokiem życia. Ksiądz umilkł. Spojrzał na nas po raz

pierwszy swymi zmęczonymi rozbieganymi oczami. Oczy były brązowe, bez źrenic – same tęczęwki – jak oczy starego psa. Kiedy na nas patrzył, zdawało się, że je podnosi batem i trzyma tak rozbiegane w gwałtownej rozpaczy.

– Zapominam – powiedział. – Czasami...

Znów kobieta uderzyła go jakimś słowem, stawiając wazę na stole; cień jej ręki padł na twarz księdza i tam pozostał, ale my już przedtem spuściliśmy oczy. Przeciągły powiew wiatru przemknął na zewnątrz po kamiennym gzymsie; płomień świecy nieruchomo jak ostrze ołówka stał w nieustającym szumie wiatru. Słyszeliśmy, jak kobieta napełnia talerze, ale nie odchodziła jeszcze, twarz księdza była w cieniu jej ręki. Jakby nas powstrzymywała aż do chwili, kiedy coś – cokolwiek to było – minie. Wyszła, Don i ja zaczęliśmy jeść. Nie patrzyliśmy na niego. Kiedy się wreszcie odezwał, mówił tonem spokojnej, uprzejmej obojętności:

– Z daleka idziecie, *signori*?

– Z Mediolanu – powiedzieliśmy.

– Przedtem Florencja – powiedział Don.

Głowa księdza pochylała się nad talerzem. Jadł szybko. Nie podnosząc oczu wyciągnął rękę po chleb. Przysunąłem chleb do niego. Odłamał kawałek i jadł dalej.

– Ach – powiedział – Florencja, To dopiero miasto. Bardziej, jak by to powiedzieć, bardziej uduchowione niż nasz Mediolan. – Jadł z pośpiechem, niedbale. Sutanna, rękawy sutanny były odwinięte ukazując flanelową, ciepłą koszulę. Szczęknął łyżką; natychmiast weszła kobieta z półmiskiem *broccoli*. Zebrała talerze. Ksiądz wyciągnął rękę. Podała mu karafkę, a on napełnił szklanki nie podnosząc oczu i uniósł swoją szklankę krótkim gestem. Ale udał tylko, że pije; patrzył na mnie, kiedy spojrzałem na niego. Odwróciłem oczy. Usłyszałem, jak szczęka półmiskiem, i Don też patrzył na mnie. Ramię kobiety znalazło się między nami a księdzem. – Czasami... – powiedział. Szczękał półmiskiem. Kiedy kobieta powiedziała coś do niego szybko w swoim ostro brzmiącym dialekcie, odepchnął krzesło do tyłu i przez moment widzieliśmy ponad jej ramieniem jego zaszczute oczy. – Czasami... – powiedział podnosząc głos. Kobieta zagłuszyła dalszy ciąg zdania przesuwając się zupełnie między niego i nas, i Don, i ja nie patrzyliśmy już, słyszeliśmy, jak oboje wychodzą z pokoju. Kroki umilkły. Potem słyszeliśmy tylko wiatr.

– To były modlitwy za umarłych – powiedział Don. Don był katolikiem. – To, co odmawiał.

– Tak – powiedziałem. – Nie wiedziałem,

– Tak. To były modlitwy za umarłych. Pomyliło mu się.

– Rzeczywiście – powiedziałem. – A więc tak. Co robimy ?

Plecaki leżały w kącie. Dwa plecaki potrafią wyglądać tak po ludzku, tak bardzo po

ludzku i tak zmęczone jak para butów. Patrzyliśmy na drzwi, kiedy kobieta weszła. Ale nie miała zamiaru się zatrzymać. Nie spojrzała na nas.

– Co mamy teraz zrobić, *signora*? – powiedział Don.

– Jedzcie.

Nie zatrzymała się. Wtedy znów usłyszeliśmy wiatr.

– Napij się – powiedział Don.

Wziął do ręki karafkę, podniósł ją nad moją szklanką i nastawiliśmy uszu. Głos dochodził zza ściany, być może zza paru ścian, brzmiał w nieustającym pośpiechu nie dających się odróżnić słów. Ksiądz nie mówił tam do nikogo, wiedziało się na pewno. Gdziekolwiek był, był sam, wiedziało się to. Albo być może był to wiatr. Być może w jakiegokolwiek zwyczajnej, tylko wyjątkowo udramatyzowanej sytuacji, jak: wiatr, deszcz, susza – człowiek jest zawsze sam. Głos brzmiał dłużej niż minutę i przez ten czas Don trzymał karafkę nad moją szklanką. Potem nalał. Zaczęliśmy jeść. Głos był stłumiony i jednostajny, jakby wydawała go maszyna.

– Gdyby to było lato – powiedziałem.

– Napij się. – Nalał. Trzymaliśmy podniesione szklanki. Głos brzmiał zupełnie jak maszyna. Wiedziało się, że ksiądz jest sam. Każdy by to poznał. – Najgorsze – powiedział Don – że tam nikogo nie ma. Nikogo w całym domu.

– Ta kobieta.

– Ach, i my. – Spojrzał na mnie.

– Och.

– Oczywiście. Czy mogła sobie wymarzyć lepszą okazję? Był tutaj co najmniej pięć minut. A tamten właśnie wrócił z wojska po trzech latach. Pierwszy dzień po powrocie, a potem popołudnie, a potem zmierzch i wreszcie noc. Widziałeś ją. Widziałeś ją w oknie?

– On zamknął drzwi. Wiesz, że zamknął.

– Ten dom należy do Boga, nie można go zamknąć. Nie wiesz o tym?

– Ach, tak. Zapomniałem, że jesteś katolikiem. Ty się na tym znasz. Wiesz coś niecoś.

– Nie. Nic nie wiem. Ja też nie rozumiem po włosku. Ja też uwielbiam Włochy.

Weszła kobieta. Nic teraz nie niosła. Podeszła do stołu i zatrzymała się, jej chuda twarz nad świecą spoglądała na nas z góry.

– Posłuchajcie – powiedziała. – Idźcie stąd.

– Iść stąd? Nie zostawać tutaj na noc? – powiedział Don. Patrzyła na nas z góry, jej

ręka leżała na stole. – Gdzie się możemy zatrzymać? Kto nas przyjmie? Nie można nocować w górach w październiku, *signora*.

– Tak – powiedziała. Teraz nie patrzyła na nas. Przez ściany słuchaliśmy tego głosu i wiatru.

– Ale co to jest? – zapytał Don. – Co się tu dzieje, *signora*?

Spojrzała na niego poważnie, w zamyśleniu, jakby był dzieckiem.

– Widzicie palec Boży, *signorino* – powiedziała. – Dziękujcie Bogu, że jesteście jeszcze za młodzi, aby to pamiętać. – Potem wyszła. Po chwili głos umilkł przecięty jak nić. Więc słyhać było tylko wiatr.

– Jeżeli uda się nam gdzieś schować przed wiatrem, nie będzie tak źle – powiedziałem.

– Napij się. – Don podniósł karafkę. Wina było już mniej niż połowa.

– Lepiej nie pijmy więcej.

– Nie. – Napełnił szklanki. Zaczęliśmy pić. Potem znieruchomieliśmy. Głos odezwał się znowu, nagle od razu pełny, jakby tym razem nicią była cisza. Wypiliśmy. – Lepiej już skończyć i *broccoli*.

– Nie chcę więcej.

– Więc napijmy się.

– Już i tak wypijeś więcej niż ja.

– Tak, – Nalał mi do szklanki. Wypiłem. – No, napijmy się.

– Nie powinniśmy wypijać wszystkiego.

Podniósł karafkę.

– Jeszcze jest ze dwie szklanki. Nie ma sensu zostawiać.

– Nie starczy na dwie szklanki.

– Założę się o lira, że starczy.

– Dobrze, ale ja naleję.

– Dobrze. – Podał mi karafkę. Nalałem do swojej szklanki i sięgnąłem po szklankę Dona. – Słuchaj – powiedział. Prawie przez minutę teraz głos wznosił się i opadał jak koło staczające się w dół, I już się nie wznosił. Słyhać było tylko przeciągłe wycie wiatru. – Nalej – powiedział Don. Nalałem. Poziom wina dosięgnął trzech czwartych szklanki, wino zaczęło kapać z karafki. – Przechył lepiej... – Przechyliłem. Jedna kropla zawisała na chwilę, potem spadła do szklanki. – Jestem ci winien lira – powiedział Don.

Pieniądze zabręczały głośno w puszcze. Kiedy podniósł ją ze stołu i potrząsnął, nie było nic słyhać. Wyjął kilka monet z kieszeni i wrzucił je przez szparę. Znow potrząsnął.

– Brzęczy, jakby było za mało. Sięgnij no do kieszeni. – Wrzuciłem parę monet w szparę. Znow potrząsnął puszką. – Teraz brzęczy dobrze. – Spojrzał na mnie przez szerokość stołu, przed nim stała odwrócona dnem do góry pusta szklanka. – Może się napijemy?

Kiedy wstaliśmy, podniosłem z kąta swój plecak. Leżał pod plecakiem Dona. Musiałem tamten odsunąć na bok. Don patrzył na mnie.

– Co z nim zrobisz? – zapytał. – Bierzesz go na spacer?

– Nie wiem – powiedziałem. Po zimnych, niewidocznych gzymsach wciąż przeciągle wzdychał wiatr. Płomień nad świecą stał nieruchomy jak piórko utrzymywane w równowadze na długim, białym nosie clowna.

Sień była ciemna. Nie było w niej żadnego dźwięku. Nic w niej nie było oprócz piwnicznego zapachu nie znajdującego słońca tynku i ciszy, i zapachu życia, miejsca, gdzie ludzie kiedyś i teraz żyją i będą żyli. Nieśliśmy nasze plecaki nisko w rękach, przyciskając je do siebie, jakbyśmy je ukradli. Podeszliśmy do drzwi i otworzyliśmy je wchodząc znow w czarny wiatr. Wiatr omiółł niebo do czysta, opróżnił je z reszty światła, reszty zmierzchu. Byliśmy w połowie drogi do furtki, kiedyśmy go zobaczyli. Chodził szybko tam i z powrotem pod murem. Był z gołą głową, suknia wydymała się wokół niego. Nie zatrzymał się, kiedy nas zobaczył. Nie spieszył się też. Po prostu, idąc prędko, odwrócił się i odszedł wzdłuż muru, i zawrócił znow. Czekaliśmy u furtki. Podziękowaliśmy mu za posiłek. Stał bez ruchu w trzepoczącej się sukni, z głową pochyloną i lekko odwróconą, jak słuchają ludzie głusi. Kiedy Don ukląkł przed nim, odskoczył do tyłu, jak gdyby Don zamierzył się, żeby go uderzyć. Wtedy i ja poczułem się jak katolik i też ukląłem, a on szybko zrobił nad nami znak krzyża, nad czarnym i zielonym wiatrem i zmrokiem, jak gdyby kreślił go na wodzie. Kiedy wyszliśmy za furtkę i obejrzeliśmy się, widzieliśmy jeszcze na tle nieba i pustego, ciemnego domu jego głowę przemykającą tam i z powrotem niby karzeł biegający po murze.

#### IV

*Café* była po osłoniętej stronie ulicy; siedzieliśmy bezpieczni od wiatru. Ale widzieliśmy, jak podrywa i unosi wiry śmieci wzdłuż rynsztoka. Od czasu do czasu zimnym językiem lizał nas po nogach i słyszeliśmy nieustający jego pęd w wysokim zmroku pomiędzy dachami. Na krawężniku siedziało dwóch muzykantów z gór – skrzypek i flecista – grali dziką, skoczną melodię. Od czasu do czasu przerywali, żeby się napić, potem podejmowali tę samą melodię. Nie miała początku i – zdaje się – końca. To,

co było w niej dzikie i skłócone, wirowało z wiatrem, jednocześnie skoczne i smutne. Kelner podał nam brandy i kawę. Brudny fartuch poderwał mu się gwałtownie i odsłonił pod spodem drugi, z zielonej białej, sztywny jak oksydowana miedź. Przy drugim stole siedziało pięciu młodych ludzi, pili i od czasu do czasu dzwonili drobnymi monetami w tacę kelnera; poznawał te monety i liczył po barwie brzęku, zanim jednym ruchem zgarnął wszystkie do kieszeni. Młoda wieśniaczka o smukłych udach niosąc na biodrze małe dziecko wstała, żeby posłuchać muzyki. Postawiła dziecko na ziemi, a ono podreptało pod stół, przy którym siedzieli młodzieńcy. Kiedy kobieta nie patrzyła, podciągnęli nogi, żeby mu zrobić przejście. Przyglądała się muzykantom, twarz miała okrągłą i spokojną, usta z lekka otwarte.

– Napijmy się wina – powiedział Don.

– Dobrze – powiedziałem. – Lubię Włochy.

Znów wypiliśmy po jednej brandy. Kobieta usiłowała wywabić dziecko spod stołu. Jeden z młodzieńców wydobył je i podał kobiecie. Ludzie zatrzymywali się na ulicy, żeby posłuchać muzyki; wysoki dwukołowy wózek, pełen chrustu, ciągnięty przez kobietę i małego muła, przejechał nie zatrzymując się, a potem tamta dziewczyna nadeszła ulicą w swojej białej sukni i nie czułem się już jak katolik. Cała była w bieli, bez płaszcza, szła szczupła i gibka. W ogóle przestałem się czuć jak ktokolwiek, patrząc, jak jej biała suknia porusza się szybko w zmierzchu, niosąc ją dokądś albo też przez dziewczynę dokądś niesioną; w każdym razie suknia szła także, poruszając się, kiedy dziewczyna się poruszała, i na skutek tego, że dziewczyna się poruszała, suknia szła także odłączając się od dziewczyny, kiedy dziewczyna odchodziła, bowiem kiedy dziewczyna się poruszała, suknia poruszała się także i szła z nią aż do momentu odłączenia i utraty. Pamiętam, jak płakałem, kiedy uczyłem się o Thaw i White, i Evelyn Nesbitt. Płakałem, gdyż Evelyn, która była słowem, była piękna i zgubiona, a gdyby była inna, nie byłbym o niej sływał. Ponieważ musiała odejść po to, abym ją znalazł, i musiałem ją znaleźć, żeby utracić. A kiedy się dowiedziałem, że miała tyle lat, że mogłaby mieć dorosłe dziecko, córkę lub syna, płakałem, ponieważ wtedy straciłem sam siebie i nigdy już więcej nie mogła mnie zranić utrata. Patrzyłem więc na białą suknię myśląc: „Za chwilę będzie tak blisko mnie jak nigdy, a potem odejdzie w swojej białej sukni na zawsze, w zmierzchu na zawsze.” Nagle poczułem, że Don też na nią patrzy, i zobaczyliśmy, jak żołnierz zeskakuje z roweru. Podeszli razem i zatrzymali się, przez chwilę stali tam, na ulicy, między ludźmi, patrząc jedno na drugie, ale nie dotykając się. Może nawet nie rozmawiali, i nie liczyło się, jak długo to trwa, czas się nie liczył; nagle Don mnie trącił.

– Tamten stół – powiedział.

Pięciu młodzieńców odwróciło się, skupili się głowami do środka, od czasu do czasu ukazywała się jakaś ręka, dłoń tajemnicza, gestykułująca. Twarze zwrócone w jednym kierunku. Wyprostowali się nie odwracając głów, kelner z tacą opartą o biodro przyglądał się także – przysadzista, ironiczna postać, starsza niż Odwieczna Żądza.

Wreszcie odwrócili się i poszli w górę ulicy, w kierunku, z którego on przyszedł. Prowadził rower. Zanim zniknęli nam z oczu, zatrzymali się i popatrzyli na siebie znowu, widoczni między ludźmi, między ludzkimi głowami, nie dotykając się. Potem odeszli.

– Napijmy się – powiedział Don.

Kelner postawił dwie brandy na stole, jego fartuch nagle podniósł się jak chorągiew na wietrze.

– Macie żołnierza w mieście – powiedział Don.

– Tak – powiedział kelner. – Jednego.

– O, jeden wystarczy – powiedział Don. Kelner spojrział w ulicę. Ale zniknęli już, jej biała suknia kształtowała uroki, dziewiczo biała nie dla nas.

– Niektórzy mówią, że to nawet za dużo. – Kelner był bardziej podobny do mnicha niż ksiądz, miał długi, cienki nos i łysą czaszkę. Wyglądał jak oskubany jastrząb. – Zatrzymaliście się u księdza?

– Nie macie hotelu – powiedział Don.

Kelner wydał resztę z kieszeni kurtki, uważnie dzwoniąc pieniędzmi o stół.

– A po co? Taki się tu zatrzyma, co przyjdzie pieszo. Nikt nie chodzi oprócz was, Anglików.

– My jesteśmy Amerykanie.

– Tak. – Lekko uniósł ramiona. – To wasza rzecz.

– Nie patrzył wprost na nas; to znaczy nie na Dona.

– Próbowaliście u Cavalcantich?

– To ta winiarnia na skraju miasta? U ciotki żołnierza? Tak. Ale ona powiedziała...

Kelner przyglądał mu się teraz.

– Nie odesłała was chyba do księdza?

– Nie.

– Ach – powiedział kelner. Fartuch uniósł mu się gwałtownie. Poskromił go i wytarł nim stół. – Amerykanie?

– Tak – powiedział Don. – Dlaczego nam nie powiedziała, dokąd iść?

Kelner wycierał stół.

– Ta Cavalcanti, Ona nie należy do tej parafii.

– Nie?

– Od trzech lat nie należy. Jej *padrone* należy do parafii za tą górą. – Wymienił wioskę, przez którą przechodziliśmy przed południem.

– Aha – powiedział Don. – Oni są nietutejsi.

– O nie, tutaj się urodzili. Trzy lata temu należeli jeszcze do tej parafii.

– Ale zmienili parafię trzy lata temu.

– Zmienili. – Znalazł jeszcze jedną plamę na stole. Wytarł ją fartuchem. Potem obejrzał fartuch. – Są zmiany i zmiany, jedne większe od drugich.

– Więc *padrona* zmieniła parafię na jeszcze dalszą niż ta za górą?

– *Padrona* nie należy do żadnej parafii. – Spojrzał na nas. – Jak ja.

– Jak wy?

– Czy próbowaliście mówić z nią o Kościele? – Patrzył na Dona. – Wstąpcie tam jutro i wspomnijcie o Kościele.

– I stało się to trzy lata temu – powiedział Don. – To był dla nich rok zmian.

– Powiedzieliście. Siostrzeniec poszedł do wojska, *padrone* za górę, *padrona*... I wszystko w jednym tygodniu. Wstąpcie tam jutro i zapytajcie.

– I co tu ludzie myślą o wszystkich tych zmianach?

– Jakich zmianach?

– Ostatnich zmianach.

– Których ostatnich? – spojrzał na Dona. – Nie ma ustawy przeciwko zmianom.

– Nie ma. Nie wtedy, kiedy zachodzą według prawa. Czasami prawo pilnuje tylko tego, czy prawidłowo zachodzą. Może nie?

Kelner cały z wyjątkiem oczu i pociągłej twarzy przybrał wyraz aroganckiego lekceważenia. Jego twarz była dla niego za duża.

– Skąd wiecie, że to policjant?

– To policjant?

– Powiedzieliście „żołnierz”. Domyśliłem się, że chcecie powiedzieć „policjant”, tylko nie mówicie dobrze po włosku. Ale wprawicie się. – Spojrzał na Dona. – Więc wy też go poznaliście, tak? Przyjechał dziś po południu; powiada, że jest kowalem. Ale ja go poznałem.

– Już tutaj... – powiedział Don. – Dziwię się, dlaczego nie przerwał... zanim oni...

– Skąd wiecie, że to policjant? – zapytałem. Kelner spojrzał na mnie.

– Nic mnie to nie obchodzi, czy on jest glina, czy nie. Jak uważacie: czy lepiej

myśleć, że ktoś jest glina, i przekonać się, że nie, czy myśleć, że nie jest, i przekonać się, że jest?

– Macie rację – powiedział Don. – Więc tak tu mówią.

– Mówią dużo. Zawsze mówili i zawsze będą. Jak w każdym mieście.

– A co wy mówicie? – zapytał Don.

– Nic nie mówię. Wy też.

– Tak.

– To nie mój interes. Jeśli chcą się napić, podaję, jeśli chcą pogadać, słucham. To wystarcza, żebym miał co robić przez cały dzień.

– Macie rację – powiedział Don. – Nie wam się to zdarzyło.

Kelner spojrział na ulicę, było prawie zupełnie ciemno. Zdawało się, że nie słuchał. – Ciekawe, kto posłał po tego glinę – powiedział Don.

– Jak ktoś ma wypchany worek, to nawet kiedy już nie żyje, znajdzie się wielu takich, co mu pomogą, żeby innym narobił kłopotu – powiedział kelner. Spojrział na nas. – Może ja? – powiedział. Nachylił się i lekko poklepał się po piersi. Szybko spojrział na drugi stół, nachylił się nisko, syknął: – Jestem ateistą jak wy w Ameryce. – Wyprostował się i spojrział na nas. – W Ameryce wszyscy są ateistami. My wiemy. – Stał w swoim brudnym fartuchu, ze swoją pociągłą zniszczoną, rozwiązłą twarzą, kiedy podnieśliśmy się obaj i poważnie podawaliśmy mu rękę. Pięciu młodzieńców odwróciło się w naszą stronę. Kelner drugą ręką pomachał nisko przy boku. – Siadajcie, siadajcie – syknął. Spojrział przez ramię na tamtych. – Siadajcie – szepnął. Skinął głową ku wejściu za naszymi plecami, gdzie za ladą siedziała *padrona*. – Człowiek musi jeść. – Podreptał od nas i wrócił z dwoma brandy, niosąc je jak przedtem niechlujnie i niepewnie, jak gdyby nie zamienił był z nami ani słowa poza przyjęciem zamówienia. – Ja stawiam – powiedział – wypijcie.

– Co teraz? – powiedział Don.

Muzyka się urwała; z drugiej strony ulicy patrzyliśmy, jak skrzypek, ze skrzypcami pod pachą, gestykując drugą ręką ściskającą kapelusz, stoi przed stołem zajęтым przez pięciu młodych ludzi.

Młoda kobieta odchodziła już ulicą, dziecko znów siedziało na jej biodrze, jego główka kiwała się w sennym rytmie niby głowa człowieka jadącego na słoniu.

– Co teraz?

– Mnie jest wszystko jedno.

– No, idziemy.

– Nie.

– Tu nie ma detektywa. On nigdy nie widział detektywa. Nie poznałby go. We Włoszech nie ma detektywów. Czy wyobrażasz sobie włoskiego urzędnika w zwykłym ubraniu zamiast uniformu?

– Nie.

– Ona nam pokaże, gdzie jest łóżko, a jutro rano, wcześniej...

– Nie. Ty możesz iść, jak chcesz. Ale ja nie idę.

Spojrzał na mnie. Potem zarzucił plecak na ramię.

– Dobranoc. Do rana. Spotkamy się w *café*.

– Dobrze.

Nie obejrzał się. Potem skręcił za róg. Stałem w tym wietrze. Przynajmniej miałem płaszcz. Był to myśliwski tweedowy płaszcz. Zapłaciliśmy za ten płaszcz jedenaście gwinei. Tego dnia, kiedy jeden z nas nosił płaszcz, drugi wkładał sweter. W Tyrolu zeszłego lata straciliśmy trzy dni przez Dona, kiedy próbował przygadać sobie dziewczynę, która sprzedawała w gospodzie piwo. Nosił płaszcz trzy dni pod rząd zwodząc mnie przez tydzień, że będę mógł zrobić to samo, kiedy tylko będę chciał. Trzeciego dnia wrócił narzeczony dziewczyny. Był wielki jak stóg, nosił zielone piórko na kapeluszu. Widzieliśmy, jak jedną ręką przesadził ją przez ladę. Myślę, że ona mogłaby to samo zrobić z Donem. Cała była brązowa, różowa i biała: jak wielki sad. Albo jak widok na zaśnieżone pole wczesnym rankiem. Mogła to zrobić każdej chwili w czasie tych trzech dni, wystarczyło wyciągnąć rękę. Don utył cztery funty przez ten czas, kiedyśmy tam byli.

## V

Potem wyszedłem w pełny pęd wiatru. We wszystkich domach było ciemno, jednak zostało jeszcze trochę światła nisko nad ziemią, jak gdyby wiatr więził je tam przypłaszczone do ziemi, a ono nie mogło podnieść się i ulecieć. Mury się skończyły, kiedy doszedłem do mostu; rzeka wyglądała jak stalowa. Myślałem przedtem, że jestem w pełnym pędzie wiatru, ale nie byłem. Most był kamienny, balustrady i jezdnia, cały; skurczyłem się pod osłoną balustrady. Słyszałem wiatr nad głową i pod sobą, pędzący w dół rzeki przeciągłym, porywistym jękiem jak po drutach. Kucnąłem za balustradą, czekając. Nie czekałem długo.

Nie zobaczył mnie, póki nie wstałem.

– Czyś chociaż pomyślał o tym, żeby napełnić manierkę? – zapytał.

– Zapomniałem. Miałem zamiar. Przeklęty pech. Wróćmy...

– Mam butelkę. Którędy teraz?

– Obojętne. Chodźmy z tego wiatru. Obojętne.

Przeszliśmy most. Nie słyhać było naszych kroków po kamieniach, ponieważ wiatr zwiewał dźwięki. Rozpłaszczał wodę, zamiatał ją; wyglądała zupełnie jak stal. Była jasna, zatrzymywała światło jak ziemia pomiędzy sobą a wiatrem, odbijała dosyć światła, żeby można było coś niecoś dojrzeć. Ale wiatr porywał każdy dźwięk, jeszcze zanim ten dźwięk powstał, toteż kiedy byliśmy na drugim końcu mostu i weszliśmy już na pochyłość, gdzie zaczynała się wznosić droga, minęło parę minut, zanim byliśmy zdolni coś usłyszeć prócz szumu w uszach. Potem usłyszeliśmy. Był to zduszony, jękliwy głos, który jakby dochodził z powietrza nad nami. Stanęliśmy.

– To dziecko – powiedział Don. – Niemowlę.

– Nie, to zwierzę. To jakieś zwierzę. – Spojrzeliśmy jeden na drugiego w bladej ciemności, słuchając.

– To gdzie wyżej – powiedział Don.

Wdrapaliśmy się na zbocze. Był tam niski kamienny mur ogradzający jakieś pole. Pole było jeszcze jasne, ale wnikało w ciemność. Tuż po tej stronie ciemności, jakieś sto jardów od nas, czarno rysował się krzak, bezkształtna plama w mroku. Wiatr przeleciał przez pole, słuchając głosu przycisnęliśmy się do muru wpatrzni w ten krzak. Ale głos wydobywał się skądś bliżej i po chwili zobaczyliśmy księdza. Leżał twarzą do ziemi, tuż za murem, sutannę miał narzuconą na głowę, czarna plama jego sukni poruszała się lekko i nieustannie, może od wiatru, a może dlatego, że on poruszał się pod nią. I cokolwiek znaczył ten głos, który ksiądz wydawał, nie był to głos przeznaczony do słuchania, więc ucichł, kiedy ksiądz nas posłyszał. Ale nie podniósł głowy i słabe drżenie sutanny nie ustawało. Cokolwiek to było, czy drżał, czy się szarpał, czy rzucał z boku na bok.

Nagle Don mnie trącił. Zeszliśmy z muru.

– Zejdz tędy, wygodniej – powiedział cicho. Niewyraźna droga podnosiła się pod nami stopniowo, a wzgórek stawał się bardziej płaski. Krzak był już czarną plamą. – Ale roweru nie widziałem.

– No to wracaj do Cavalcantich – powiedziałem. – Gdzie, u diabła, chciałeś zobaczyć rower?

– Na pewno go schowali. Nie pomyślałem o tym. Oczywiście, że go schowali.

– Chodź – powiedziałem. – Nie gadaj tak cholernie dużo.

– Chyba że myśleli, że zajmie się nami i nie... – urwał i zatrzymał się.

Wpadłem na niego i wtedy ja też ten rower zobaczyłem, kierownicę wystającą zza muru jak rogi zaczajonej antylopy. Na tle mroku plama krzaka zdawała się pulsować i zacierać, jak gdyby oddychała, żyła. Bo my byliśmy młodzi, a noc, ciemność są straszne dla młodych ludzi, nawet taka rozpędzona, lodowata ciemność jak ta. Młodzi ludzie powinni być tak przystosowani, żeby zapadać w sen razem z zachodem słońca, odgradzeni

bezpiecznie przez sen od ciemności, tajemniczego, tęsknego poczucia zawodu i bezprzedmiotowego, niezaspokojonego pragnienia.

– Nachyl się, do diabła – powiedziałem. Ze swoim wysoko wygarbionym plecakiem, w obcisłym swetrze był śmieszny. Wyglądał jak clown. Był przerażający, ohydny i smutny jednocześnie, ponieważ był śmieszny i nie mając płaszcza na pewno bardzo zmarzł. Taki sam byłem ja: ohydny i przerażający, i smutny.

– Ten przeklęty wiatr. Ten przeklęty wiatr. – Wróciliśmy na drogę. Na chwilę byliśmy osłonięci, Don wyjął butelkę i wypiliśmy. To było wściekle mocne. – I mówić tu o mojej brandy z Mediolanu – powiedziałem. – Ten przeklęty wiatr. Ten przeklęty wiatr. Ten przeklęty wiatr.

– Daj papierosa.

– Ty masz papierosy,

– Dałem tobie.

– Jesteś cholerny łgarz. Nie dałeś.

Znalazł je w mojej kieszeni. Ale ja nie czekałem.

– Chcesz zapalić? Lepiej zapal tu, póki jesteśmy...

Nie czekałem. Droga podniosła się, zrównała się z polem. Po chwili usłyszałem Dona tuż za sobą i weszliśmy w wiatr. Poprzez ramię mogłem dostrzec, jak jego papieros ulatuje strzępkami w ognistych smugach na niepowstrzymanym pędzie mistralu, tego czarnego, zimnego wiatru pełnego kurzu niby lodowych iskier.

*Przełożyła  
Ewa Życieńska*